

CHRISTOPHERISHERWOOD

POŻEGNANIE Z BERLINEM

Przełożyła Maria Skroczyńska

Tytuł oryginału angielskiego *Goodbye to Berlin*

Johnowi i Beatrix Lehmannom

DZIENNIK BERLIŃSKI

Jesień 1930

Z mojego okna przepastna, dostojna, zwarta ulica. Sklepy w podziemiach, gdzie lampy palą się przez cały dzień; w cieniu przeladowanych, upstrzonych balkonami fasad brudne tynki, ozdobione od frontu wymyślnymi stiukami i godłami herbowymi. Cała dzielnica jest taka: ulica za ulicą pełne domów podobnych do obskurnych, monumentalnych szaf pancernych, wypełnionych po brzegi zaśniedziałymi precjozami i zużytymi meblami zbankrutowanego mieszczaństwa.

Jestem jak aparat fotograficzny z otwartą migawką, aparat całkiem bierny, taki, który nie myśli, tylko rejestruje. Rejestruje mężczyznę gołociałego się w oknie naprzeciwko i kobietę w kimonie, zajęętą myciem włosów. Kiedyś to wszystko będzie musiało zostać wywołane, zdjęcia starannie odbite, utrwalone.

O ósmej wieczór zarygluje się drzwi domów. Dzieci jedzą kolację. Zamyka się sklepy. Zapala się światelko nad nocnym dzwonkiem małego narożnego hoteliku, gdzie można wynająć pokój na godziny. I niebawem zaczną się rozlegać gwizdy. Kawalerowie przywołują swe dziewczyny. Wystają tam w dole na chłodzie i gwizdzą w kierunku oświetlonych okien ciepłych wnętrz, gdzie już rozesłano na noc łóżka. Chcą, by ich wpuszczono. Ich sygnały — pożądliwe, intymne, smutne — powtarza echo w pustym parowie ulicy. Z powodu tych gwizdów niechętnie pozostają tutaj wieczorami. Przypominają mi, że jestem sam, daleko od domu, w obcym mieście. Czasem postanawiam ich nie słuchać, biorę książkę i próbuję czytać. Ale po chwili nieuchronnie docierają do mnie, tak przejmujące, natarczywe, tak rozpaczliwie ludzkie, że w końcu muszę wstać i wyjrzeć przez szparę między listewkami rolet, by się upewnić o tym, o czym i tak wiem bardzo dobrze: że nie jest to wezwanie skierowane do mnie.

Niezwykły zapach w tym pokoju, kiedy piec jest rozgrzany, a okno zamknięte; wcale nie taki nieprzyjemny, mieszanina kadzidła z czerstwymi maślanymi bułeczkami. Wysoki piec kaflowy mieni się kolorami jak ołtarz. Umywarka niczym gotycka kaplica. Kredens też jest gotycki, z rzeźbionymi katedralnymi oknami: Bismarck naprzeciw króla pruskiego w witrażowych szybkach. Moje najlepsze krzesło mogłoby służyć za tron biskupowi. W kącie trzy niby to średniowieczne halabardy (pozostałość po wędrowniej trupie teatralnej?), przymocowane do siebie tak, że tworzą wieszak na kapelusze. Frl. Schroeder od czasu do czasu odkręca ich główce, by je wypolerować. Są ciężkie i wystarczająco ostre, żeby zabić.

Wszystko jest takie w tym pokoju — niepotrzebnie masywne, nienaturalnie ciężkie i niebezpiecznie ostre. Kiedy siedzę przy biurku, atakuje mnie horda metalowych przedmiotów: dwa lichtarze w kształcie poskręcanych węży, popielniczka, z której wyziera głowa krokodyla, nóż do papieru skopiowany ze sztyletu florenckiego, mosiężny delfin dzierzący na końcu ogona mały zepsuty zegarek. Co się dzieje z takimi przedmiotami? Czyby się w ogóle kiedykolwiek dały zniszczyć? Przetrwają pewnie w nietkniętym stanie przez całe tysiąclecia, ludzie będą je gromadzić i chronić w muzeach. Chyba że po prostu zostaną przetopione na amunicję w jakiejś wojnie. Frl. Schroeder ustawia je co rano bardzo skrupulatnie według niezmiennego porządku i stoją tam tak, jakby wyrażały jej bezkompromisowy pogląd na Kapitał i Społeczeństwo, Religię i Seks.

Frl. Schroeder przez cały dzień drepcze po rozległym, zapuszczonym mieszkaniu. Nieforemna, lecz czujna, toczy się z pokoju do pokoju w bamboszach i kwiecistym szlafroku zapiętym na agrafkę tak zmyślnie, że nie wyziera spod niego nawet skrawek halki czy gorsetu, i śmigając ściereczką do kurzu, zagląda tu i tam, szpieguje, wsadza swój spiczasty krótki nos do szaf i do walizek swoich lokatorów. Ma ciemne, połyskliwe, świdrujące oczka i brunatne, ładnie falowane włosy, z których jest dumna. Wygląda na jakieś pięćdziesiąt pięć lat.

Kiedyś, przed wojną i inflacją, całkiem nieźle sobie żyła. Jeździła nad Bałtyk na wakacje i miała w domu służącą. Od trzydziestu lat mieszka tutaj i ma sublokatorów. Zdecydowała się na to, bo lubi mieć towarzystwo.

— „Lina, jak możesz? — mówili moi przyjaciele. — Jak możesz znieść, żeby w twoich pokojach mieszkali obcy ludzie i niszczyli ci meble, zwłaszcza gdy stać cię na niezależność?” — A ja im zawsze odpowiadałam to samo: „M o i sublokatorzy to nie sublokatorzy — mówiłam. — To są moi goście”.

— Bo widzi pan, Herr Issyvoo, w tamtych czasach mogłam sobie pozwolić na przebieranie w ludziach, którzy tu się zgłaszali na mieszkanie. Mogłam wybierać jak chciałam. Brałam tylko tych z naprawdę dobrych domów, ludzi wykształconych... osoby z towarzystwa (tak jak pan, Herr Issyvoo). Mieszkał tu raz jeden Freiherr [Freiherr znaczy po niemiecku baron, a Rittmeister — rotmistrz (przyp. tłum.).] i Rittmeister, i Professor. Często dawali mi prezenty: butelkę koniaku albo pudło czekoladek, albo kwiaty. A jak któryś pojechał na urlop, zawsze przysyłał mi pocztówkę, czy to z Londynu, czy z Paryża albo z Baden-Baden. Takie piękne pocztówki dostawałam...

Za to teraz Frl. Schroeder nie ma nawet własnego pokoju. Musi sypiać w saloniku, za parawanem, na małej

kozetce z pogruchotanymi sprężynami. Nasz salonik, jak w tyłu innych starych berlińskich mieszkaniach, łączy frontową część domu z tylną. Ci, co mieszkają od frontu, muszą przechodzić do łazienki przez salonik, toteż Frl. Schroeder często jest niepokojona w nocy. „Ale ja zaraz znów zasypiam. To mi nie przeszkadza. Jestem zbyt zmęczona.” Sama musi utrzymywać dom w porządku, a to jej zabiera prawie cały dzień. „Dwadzieścia lat temu gdyby mi ktoś powiedział, żebym sobie sama szorowała podłogi, tobym mu dała w pysk. Ale człowiek się przyzwyczaja. Można się przyzwyczaić do wszystkiego. Pamiętam, że dawniej prędzej bym sobie odcięła prawą rękę, niż opróżniła ten noc... A teraz — dopowiada Frl. Schroeder, wcielając w czyn własne słowa — co mi tam! To tak, jakbym wylewała herbatę z filiżanki!”

Z upodobaniem pokazuje mi nieraz przeróżne rysy i plamy pozostawione przez lokatorów, którzy ten pokój wcześniej zajmowali.

— Tak, Herr Issyvoo, każdego z nich pamiętam przez te... Spójrz pan tylko na ten dywan... posyłałam go do czyszczenia nie wiem ile razy, ale wszystko na nic... To Herr Noeske tutaj zwracał po urodzinowym przyjęciu. Co on takiego jadł, żeby narobić takiej szkody? Przyjechał do Berlina na studia, pan rozumie? Jego rodzice mieszkali w Brandenburgu, rodzina pierwsza klasa, może pan być pewien! Mieli kupę pieniędzy! Herr Papa był chirurgiem i oczywiście chciał, żeby syn poszedł w jego ślady... Co za uroczy młody człowiek! „Herr Noeske — mówiłam do niego nieraz — niech się pan nie gniewa, ale naprawdę musi pan wziąć się porządnie do roboty, pan, z takimi zdolnościami! Niech pan pomyśli o swoim Herr Papa i swojej Frau Mama; to się nie godzi, tak marnotrawić ich majątek! Już lepiej, żeby pan wyrzucił te pieniądze do Szprewy, przynajmniej by fest chlupnęło!” Byłam dla niego jak matka. I zawsze jak tylko znalazł się w opałach, przychodził prosto do mnie. „Schroederschen — mówił — niech pani na mnie się nie gniewa... Graliśmy zeszłej nocy w karty i przegrałem całą miesięczną gażę. Nie śmiem się przyznać ojcu...” I patrzył na mnie tymi swoimi wielkimi oczyskami. Dobrze wiedziałam, o co mu chodziło, hultajowi! Ale nie miałam serca mu odmówić. Więc siadałam i pisałam do jego Frau Mama, żeby mu przebaczyła ten ostatniusieńki raz i przysłała trochę grosza. Zawsze mnie posłuchała... Naturalnie że ja, kobieta, wiedziałam, jak poruszyć serce matki, choć sama nie mam dzieci... Dlaczego pan się uśmiecha, Herr Issyvoo? Trudno, czasem zdarza się pobłądzić!

— A tutaj Herr Rittmeister ciągle oblewał kawą tapetę. Siadywał tam na kanapie ze swoją narzeczoną. Mówiłam mu nieraz: „Herr Rittmeister, niechże pan pija kawę przy stole. Na inne rzeczy, za pozwoleniem, ma pan jeszcze dużo czasu potem...” Ale gdzie tam, on wolał zawsze siadywać na kanapie. A później nie dziwota, że jak się trochę podochocił, to szur! — i filiżanki z kawą szły za burtę... Taki przystojny młody panicz! Jego Frau Mama i siostra przyjeżdżały do nas czasem w odwiedziny. Lubiły przyjeżdżać do Berlina. „Fraulein Schroeder — mówiły — pani nawet nie wie, jaka pani jest szczęśliwa, że pani tu mieszka, w samym sercu wszystkiego. My, jako krewne z prowincji, pani zazdrościmy! Niechże nam pani opowie o wszystkich skardalikach, jakie ostatnio wydarzyły się na Dworze!” Żartowały sobie tylko, oczywiście. Miały rozkoszny domek niedaleko Halberstadt, w Harzu. Pokazywały mi zdjęcia. Istne marzenie!

— A widzi pan te atramentowe plamy na dywanie? To Herr Professor Koch strząsał w tym miejscu wieczne pióro. Setki razy mu mówiłam. W końcu nawet porozkładałam bibułę na podłodze dookoła jego krzesła. Był taki roztargniony... Słodki starowina! I jaki prosty w obejściu. Bardzo byłam do niego przywiązana. A jak mu nareperowałam koszulę albo zacerowałam skarpetki, to dziękował mi ze Izami w oczach. Lubił sobie pozartować, a jakże. Czasem, jak słyszał, że się zbliżam, gasił światło i chował się za drzwiami, a potem wyskakiwał z rykiem, żeby mnie przestraszyć. Zupełnie jak dziecko...

Frl. Schroeder potrafi tak mówić godzinami i wcale się nie powtarza. A ja, słuchając jej, zapadam po jakimś czasie w stan dziwnego, hipnotycznego przygnębienia. Czuję się wtedy głęboko nieszczęśliwy. Gdzie są teraz ci wszyscy lokatorzy? I gdzie ja sam będę za następne dziesięć lat? Na pewno nie tutaj. Ile mórz i granic będę musiał przemierzyć do tego odległego dnia? Jak daleko będę musiał podróżować — pieszo, konno, samochodem, na rowerze, samolotem, statkiem, pociągiem, windą, ruchomymi schodami i tramwajem? Ile pieniędzy będę potrzebował na tę gigantyczną podróż? Ile pokarmu będę musiał stopniowo, pracowicie wchłonać w siebie po drodze? Ile par obuwia zedrę? Ile tysięcy papierosów wypalę? Ile filiżanek herbaty i kufli piwa wypiję? Co za straszliwa, mdła perspektywa! I jeszcze do tego — trzeba umrzeć... Jakiś gwałtowny, nieokreślony lęk chwyta jak w szpony moje wnętrzności i muszę przeprosić gospodynię, by bieć do toalety.

Usłyszawszy, że studiowałem kiedyś medycynę, Frl. Schroeder zwierza mi się, że bardzo jej dokuczają ten jej obfity gors. Mięwa palpacje i jest pewna, że to z racji nadmiernego wysiłku serca. Zastanawia się, czy nie powinna się poddać operacji. Niektórzy znajomi jej to doradzają, inni są przeciwni.

— Mój Boże, nosić stale taki ciężar! I niech pan tylko pomyśli, Herr Issyvoo, byłam kiedyś szczuplutka tak jak pan!

— Pewnie pani miała mnóstwo wielbicieli, Frl. Schroeder?

A jakże, miała ich na tuziny. Ale tylko jednego prawdziwego przyjaciela. Choć żonaty, żył w separacji z żoną,

która mu nie chciała dać rozwodu.

— Byliśmy razem jedenaście lat. Aż umarł na zapalenie płuc. Nieraz się budzę w nocy, jak jest zimno, i tak mi żal, że go przy mnie nie ma. Kiedy człowiek sypia sam, to nigdy się porządnie nie rozgrzeje.

W naszym mieszkaniu jest jeszcze czworo sublokatorów. W moim bezpośrednim sąsiedztwie, w dużym pokoju frontowym, mieszka Frl. Kost. Pokój naprzeciwko, ten, który wychodzi na podwórze, zajmuje Frl. Mayr. Z tyłu, za salonem, mieszka Bobby. A za pokojem Bobby'ego, nad łazienką, u szczytu drabiny mieści się malutki stryżek, który Frl. Schroeder z jakiejś tajemnej przyczyny nazywa „Szwedzkim Pawilonem”. Wynajmuje go za dwadzieścia marek miesięcznie pewnemu komiwojażerowi, który przez cały dzień i większą część nocy przebywa poza domem. Spotykam go od czasu do czasu w niedzielne ranki w kuchni, kiedy w spodniach i podkoszulku snuje się po niej, nieśmiało rozglądając się za zapalkami.

Bobby jest mikserem w barze „Trojka” na zachodnim krańcu miasta. Nie znam jego prawdziwego imienia. To przybrał dlatego, że angielskie imiona chrześcijańskie są teraz modne w berlińskim półświatku. Bobby jest sztywno ubranym młodym mężczyzną o zmęczonej, bladej cerze i ciemnych, rzadkich, ulizanych włosach. Wczesnym popołudniem, tuż po wstaniu z łóżka, chodzi po mieszkaniu w koszuli, bez marynarki, i z siatką na włosach.

Bobby jest w zażyłych stosunkach z Frl. Schroeder. Łaskocze ją i poklepuje po zadku, a ona ciska w niego patelnią lub miotłką. Za pierwszym razem, gdy ich przyłapałem na takiej utarczce, oboje byli dość speszzeni. Teraz moja obecność już im nie przeszkadza.

Frl. Kost jest rumianą blondynką o dużych, głupawych niebieskich oczach. Gdy się spotykamy w szlafrokach, w drodze do łazienki czy z powrotem, skromnie unika mego wzroku. Jest pulchna, ale ma dobrą figurę.

Ktoregoś dnia zapytałem Frl. Schroeder bez ogródek, jaki zawód ma Frl. Kost.

— Zawód? Cha! Cha! Cha! Dobrze sobie! „Zawód” to jest właśnie odpowiednie słowo! A jakże, ona ma piękny zawód. O, taki...

I Frl. Schroeder, z miną świadczącą, że robi coś bardzo komicznego, kołysząc biodrami, jęła przechadzać się po kuchni ze ściereczką do kurzu utrzymaną wytwornie w dwóch palcach. Przy drzwiach zrobiła triumfalny obrót, powiewając szmatką, jakby to była jedwabna chusteczka, i przesłała mi ręką pocałunek.

— *Ja, ja, Herr Issyvo!* One tak to robią!

— Nie bardzo rozumiem, Frl. Schroeder. Czy to znaczy, że ona jest akrobatką i chodzi po linie?

— He, he, he! Świetny kawał, Herr Issyvo! Tak, zgadza się, rzeczywiście! Chodzi po linie zarobkowo. To jest dla niej właściwe określenie!

Ktoregoś wieczoru, wkrótce po tej rozmowie, spotkałem na schodach Frl. Kost z jakimś Japończykiem. Frl. Schroeder wytłumaczyła mi potem, że to jeden z najlepszych klientów Frl. Kost. Zapytała ją kiedyś, co robią, kiedy nie leżą w łóżku, bo przecież ten Japończyk prawie nie zna niemieckiego.

— Co robimy? Słuchamy płyt i zajadamy czekoladki — wyjaśniła Frl. Kost. — A poza tym śmiejemy się ile wlezie. On bardzo chętnie się śmieje...

Frl. Schroeder naprawdę lubi Frl. Kost i na pewno nie ma żadnych moralnych zastrzeżeń co do jej zawodu. Niemniej, gdy się zezłości, bo Frl. Kost stukła dziobek od czajniczka do herbaty albo po swoich telefonicznych rozmowach nie zrobiła krzyżyków na tabliczce w saloniku, wtedy niezmiennie wykrzykuje:

— Ale ostatecznie, czego się można spodziewać po kobiecie jej pokroju, zwyczajnej prostytutce? No bo wie pan, Herr Issyvo, czym ona przedtem była? Służącą! Aż weszła w konszachty z panem domu, no i pewnego pięknego dnia, rzecz jasna, okazało się, że jest w ... kłopotcie... Więc kiedy tego małego kłopotu się pozbyli, musiała wynieść się truchcikiem...

Frl. Mayr jest *jodleriną* music-hallu, najlepszą w całych Niemczech, jak mnie zapewnia z uznaniem Frl. Schroeder, która zresztą w gruncie rzeczy jej nie lubi. Frl. Mayr budzi w niej lękliwy podziw i trudno się temu dziwić. Ma szczęki buldoga, potężne bary i szcecinowate włosy koloru sznurka. Mówi bawarskim dialektem z mocno agresywną intonacją. Gdy przebywa w domu, zasiada wyprężona jak woskowy rumak przy stole w saloniku i pomaga Frl. Schroeder rozkładać karty. Obie są biegłymi wróżbitkami i żadnej by się nie śniło rozpocząć dnia bez zasięgnięcia rady u wróżebnych znaków. Główna rzecz, jaką chciałyby obecnie wiedzieć, to: kiedy Frl. Mayr dostanie następny angaż? — sprawa, która interesuje Frl. Schroeder nie mniej niż Frl. Mayr, jako że ta ostatnia zalega z komornym.

Na rogu Motzstrasse, gdy pogoda sprzyja, stoi wylupiastooki oberwaniec, a przy nim przenośny brezentowy stragan, obwieszony ze wszystkich stron astrologicznymi wykresami i własnoręcznie podpisanymi

rekomendacjami zadowolonych klientów. Frł. Schroeder chadza do niego zawsze po porady, ilekroć stać ją na opłatę w wysokości jednej marki. Jegomość ów w istocie pełni w jej życiu niezwykle ważną rolę i Frł. Schroeder zarzuca go na przemian pochlebstwami lub groźbami. Obiecuje, że jak się spełnią jego dobre wróżby, to go ucałuje, zaprosi na obiad, kupi mu złoty zegarek, a jak się nie spełnią, to go udusi, wytarga za uszy, doniesie na niego policji. Astrolog przepowiedział jej między innymi, że wygra los na Pruskiej Loterii Państwowej. Szczęście jej jak dotąd nie sprzyjało, ale zawsze rozważa z nami, co zrobi z wygraną. Wszyscy, rzecz jasna, dostaniemy prezenty. Ja dostanę kapelusz, bo zdaniem Frł. Schroeder to rzecz wysoce niestosowna, żeby tak wykształcony dżentelmen chodził z gołą głową.

W przerwach między rozkładaniem kart Frł. Mayr popija herbatę i robi wykład Frł. Schroeder o swoich dawnych triumfach scenicznych:

— I dyrektor mówi do mnie: „Fritzi, niebo mi ciebie zsyła! Rozchorowała się moja prymadonna, więc musisz dziś jechać do Kopenhagi”. W dodatku nie znosił sprzeciwu. „Fritzi — powiada (bo on tak mnie nazywał) — Fritzi, chyba nie zawiedziesz starego przyjaciela?” No więc pojechałam... — I Frł. Mayr upija łyk herbaty zatopiona we wspomnieniach. — Czarujący mężczyzna. I jak dobrze wychowany! Bezpośredni... — uśmiecha się — ale przecie znał granice.

Frł. Schroeder przytakuje skwapliwie, chłonec każde słowo, delektując się opowieścią.

— Pewnie niejeden z tych dyrektorów to brutal z piekła rodem. (Zje pani jeszcze trochę kielbasy, Frł. Mayr?)

— (Dziękuję, Frł. Schroeder, plasteczek.) Tak, niektórzy... Pani by nie uwierzyła! Ale ja się zawsze pilnowałam. Nawet jak byłam tycią dzierlatką...

Muskuły nagich mięsistych ramion Frł. Mayr pulsują niezachęcająco. Wysuwa naprzód podbródek.

— Ja jestem Bawarką. A Bawarczyk nigdy nie zapomina krzywdy.

Wczoraj wieczorem, gdy wszedłem do salonu, zastałem Frł. Schroeder i Frł. Mayr leżące plackiem twarzą do ziemi na podłodze, każda z uchem przyciśniętym do dywanu. Od czasu do czasu wymieniały uśmieški zachwyty albo radośnie poszcypywały się nawzajem, wykrzykując jednocześnie: „Tss!”

— Słyszysz pani? — szepnęła Frł. Schroeder. — On rozwała wszystkie meble!

— Biję ją na kwaśne jabłko! — zawołała Frł. Mayr w radosnym uniesieniu.

— Łup! Niech pani posłucha tylko!

— Tss! Tss!

— Tss!

Frł. Schroeder po prostu wychodziła z siebie. Gdy zapytałem, o co chodzi, z trudem dźwignęła się z podłogi i przelewając z nogi na nogę ciężar ciała, ruszyła w moją stronę, po czym chwyciwszy mnie wpół, odtańczyła ze mną coś w rodzaju walca: „Herr Issyvoo! Herr Issyvoo! Herr Issyvoo!”, aż jej tchu zabrakło.

— Ale co się stało?

— Tss! — nakazała Frł. Mayr z podłogi. — Tss! Znow zaczynają!

Tuż pod nami mieszka niejaka pani Glanterneck. Jest galicyjską Żydówką, co już samo przez się wystarczy, by mieć wroga we Frł. Mayr. Bo nie trzeba tu tłumaczyć, że Frł. Mayr jest zagorzałą nazistką. A prócz tego zdaje się, że obie panie przemówiły się kiedyś na schodach, bo chodziło o jodłowanie Frł. Mayr. Frau Glanterneck, może dlatego, że nie jest Aryjką, powiedziała, że woli już kocie wrzaski. Obraziła w ten sposób nie tylko Frł. Mayr, ale i wszystkie Bawarki, wszystkie Niemki. Na Frł. Mayr spoczął więc miły obowiązek ich pomśczenia.

Jakieś dwa tygodnie temu sąsiedzi dowiedzieli się, że Frau Glanterneck, która ma już sześćdziesiątkę i jest szpetna jak wiedźma, ogłosiła w gazecie, że poszukuje męża. Co więcej, chętny już się zjawił: owdowiały rzeźnik z Halle. Zobaczył Frau Glanterneck i mimo to gotów był się z nią ożenić. Frł. Mayr odkryła więc tu dla siebie szansę. Rozpytując tu i tam, wywąchała, jak ów konkurent się nazywa i gdzie mieszka, po czym wysłała mu anonim. Czy jest świadom tego, że Frau Glanterneck: a) ma w domu pluskwy, b) była aresztowana za oszustwo i zwolniona na podstawie świadectwa o niepoczytalności, c) wynajmowała własną sypialnię dla niemoralnych celów i d) spała później w tym łóżku, nie zmieniawszy pościeli? I teraz rzeźnik przyszedł do Frau Glanterneck z tym listem w ręku. Słysząc było ich oboje całkiem wyraźnie: ryki rozwścieczonego Prusaka i piskliwy wrzask Żydówki. Raz po raz dobiegał stamtąd głuchy grzmot pięści walącej w drewno, to znow brzęk tłuczonego szkła. Awantura trwała przeszło godzinę.

Dziś rano dowiedzieliśmy się, że sąsiedzi skarżyli się dozorczyńni na hałasy i że widziano Frau Glanterneck z

podbitym okiem. Małżeństwo nie doszło do skutku.

Mieszkańcy naszej ulicy znają mnie już z widzenia. W sklepie spożywczym ludzie nie odwracają już głów w moją stronę, słysząc angielski akcent, gdy proszę o funt masła. A trzy narożne kurewki nie wzywają mnie już gardłowym szeptem po zapadnięciu zmroku: „*Komm, Susser*”, gdy przechodzę obok.

Wszystkie trzy — widać to jak na dłoni — są już po pięćdziesiątce. I wcale nie próbują ukryć swoich lat. Nie są przesadnie uróżowane czy upudrowane. Mają na sobie niezgrabne stare futra, przydługie spódnice i kapelusze statecznych jejmości. Napomknąłem kiedyś o nich Bobby'emu i wytłumaczył mi, że jest wyraźny popyt na ten wygodny typ kobiety. Wielu mężczyzn w średnim wieku woli je niż dziewczyny. Przyciągają nawet młokosów. Chłopak, wyjaśnił Bobby, wstydzi się swojej rówieśnicy, lecz nie odczuwa wstydu przy kobiecie na tyle starej, że mogłaby być jego matką. Bobby, jak większość barmanów, jest wybitnym ekspertem w sprawach seksualnych.

Ktoregoś wieczoru odwiedziłem go w miejscu pracy.

Było jeszcze bardzo wcześnie, bo około dziewiątej, kiedy wszedłem do „Trojki”. Lokal okazał się znacznie przestronniejszy i bardziej okazały, niż się spodziewałem. Portier, wystrojony jak arcyksiążę, spoglądał podejrzliwie na moją gołą głowę, póki nie zagadałem do niego po angielsku. Fertyczna młodziutka szatniarka uparła się, żeby ściągnąć ze mnie płaszcz, który skrywa najstraszliwsze plamy na moich obwisłych flanelowych spodniach. Siedzący na kontuarze szatni pikolo nie zerwał się, by otworzyć przede mną drzwi do sali. Bobby, ku mojej uldze, był na swoim miejscu za błękitno-srebrnym barem. Ruszyłem w jego stronę, jakby był moim starym przyjacielem. Przywitał mnie bardzo przyjaźnie:

— Dobry wieczór, panie Isherwood. Bardzo się cieszę, że pana tutaj widzę.

Zamówiłem piwo i usadowiłem się na stolku w kącie. Siedząc tyłem do ściany, mogłem obserwować całą salę.

— Jak idzie? — zapytałem.

Stroskana, upudrowana twarz Bobby'ego, twarz nocnego wyrobnika, sposepniała. Pochylił ku mnie głowę nad kontuarem z konfidencjonalną, przypochlebną powagą:

— Nie za bardzo, panie Isherwood. Ta publika, co tu teraz przychodzi... Nigdy by pan nie uwierzył! Co tu gadać, jeszcze rok temu nie Napuścilibyśmy takich za próg. Zamawiają piwo i myślą, że mają prawo przesiadywać tu całymi wieczorami.

Bobby przejęty był goryczą. Poczulem się nieswojo.

— Czego się pan napije? — zapytałem pełen winy, wypijając duszkiem swoje piwo; i dodałem, żeby nie było wątpliwości: — Ja bym się napił whisky z wodą.

Bobby powiedział, że on także.

Sala była prawie pusta. Ogarnąłem wzrokiem tych kilkoro gości, próbując na nich patrzeć oczami Bobby'ego — bez złudzeń. Przy barze siedziały trzy ponętne, dobrze ubrane dziewczyny; zwłaszcza ta najbliższej mnie była naprawdę elegancka, miała wręcz światowy wygląd. Lecz gdy zamilkliśmy na chwilę, pochwyliłem okruchy jej rozmowy z drugim barmanem. Mówiła najprawdziwszym berlińskim dialektem. Była znudzona i zmęczona; usta obwisły jej w kąciakach. Podszedł jakiś młody człowiek i przyłączył się do rozmowy; przystojny, rozrośnięty w ramionach, w dobrze skrojonym smokingu — chłopak, który śmiało mógłby uchodzić za starszego ucznia ekskluzywnej angielskiej szkoły, przebywającego na wakacjach.

— *Nee, nee* — usłyszałem jego głos. — *Bei mir nicht!*

— Wyszczerył zęby i zrobił szybki, nieprzyzwoity gest uliczny.

W kącie sali siedział pikolo, pogrążony w rozmowie z malutkim dziadkiem klozetowym, odzianym w krótki biały kitel. Powiedział coś, roześmiał się i urwał nagle, ziewając przeraźliwie. Trzej muzykanci gwarzyli sobie na podium, najwyraźniej nie zdradzając ochoty do grania, póki nie zbierze się godziwe audytorium. Przy jednym ze stolików zobaczyłem, jak mi się zdawało, prawdziwego emigracyjnego gościa: postawnego mężczyznę z wąsami. Po chwili wszakże napotkałem jego wzrok; skłonił się lekko w moją stronę — a więc miałem do czynienia z kierownikiem sali.

Drzwi się otworzyły i weszli dwaj mężczyźni w towarzystwie dwóch kobiet. Kobiety były już starszawe, miały grube nogi, krótko przystrzyżone włosy i kosztowne suknie wieczorowe. Mężczyźni — bladzi, ospali, zapewne Holendrzy. Tu bez wątplenia należało spodziewać się Pieniędzy. „Trojka” w mgnieniu oka się przeobraziła. Kierownik sali, chłopak roznoszący papierosy, dziadek klozetowy zerwali się na równe nogi. Dziadek zaraz zniknął. Szef rzucił rozjuszonym szeptem parę słów pikolakowi i chłopak także zniknął. On sam natomiast, cały w ukłonach i uśmiechach, podszedł do stolika gości i uściśnił ręce obu panom. Pikolo powrócił ze swą tacą, za

nim nadszedł spiesznie kelner z kartą win. Trzyosobowa orkiestra żwawo zabrała się do dzieła. Dziewczyny przy barze obróciły się narstołkach, uśmiechając się zapraszająco, tak ogólnie, nie za bardzo wprost. I zaraz podeszła do nich trójka żigolaków, którzy — ukłoniwszy się według wszelkich reguł etykiety, jakby po raz pierwszy je ujrzeli — spytali, czy mogą mieć przyjemność zaproszenia ich do tańca. Pikolo, wymuskany, dyskretnie uśmiechnięty, kolysząc się od talii w górę niczym kwiat, przemierzał salę z tacą papierosów: „*Zigarren! Zigaretten!*” Głos jego brzmiał nienaturalnie, czysto i donośnie, po aktorsku. I tym samym tonem, tylko jeszcze głośniejszym, jeszcze bardziej nienaturalnie i radośnie, tak, abyśmy wszyscy usłyszeli, kelner zawołał do Bobby'ego: „Heidsieck Monopol!”

Fordanserzy z jakąś absurdalną, pełną namaszczenia powagą wykonywali zawile ewolucje, zdradzając każdym ruchem, że są świadomi własnej roli. Saksofonista zaś, opuszczając instrument, który zawisł swobodnie na wstążce wokół jego szyi, podszedł do krawędzi podestu z maleńkim mikrofonem:

Sie werden lachen, Ich lieb'

Meine eigene Frau...

Śpiewał i łypiąc na nas okiem włączał nas wszystkich do konspiracji, nadawał głosowi ton aluzyjności, wywracał oczami w epileptycznej pantomimie radosnego upojenia. Bobby, słodziutki, ugrzeczniiony, od razu o pięć lat młodszy, zawiadywał butelką. A przez ten czas dwaj sflaczali dżentelmeni toczyli z sobą pogawędkę, pewnie o interesach, nie zerknąwszy nawet na to nocne życie, które powołali do istnienia; ich damy siedziały bez słowa — wyglądały na opuszczone, zakłopotane, skrupowane i bardzo znudzone.

Frl. Hippi Bernstein, moja pierwsza uczennica, mieszka w Griinewald, w domu zbudowanym niemal całkowicie ze szkła. W Griinewald mieszka większość najbogatszych berlińskich rodzin. Trudno zrozumieć dlaczego. Ich wille, we wszystkich możliwych stylach kosztownej brzydoty, poczynając od szaleństw ekscentrycznego rokoka aż po kubistyczne, stalowo-szklane płaskie pudła, stoją stłoczone w tym podmokłym, ponurym sosnowym lasku. Niewiele z nich pozwoliło sobie na większy ogród, bo grunty są tu bajecznie drogie, toteż z okien widać jedynie tył domu sąsiada, a każde domostwo chroni druciana siatka i zły pies. Terror włamań rabunkowych i rozruchów sprawił, że ci nieszczęśni ludzie żyją w stanie obłączenia. Nie mają ani zacisza domowego, ani słońca. Cała ta dzielnica to istne slumsy milionerów.

Gdy zadzwoniłem do ogrodowej bramy, wyszedł młody lokaj z kluczem od domu, w towarzystwie rosłego, powarkującego alzaczka.

— On pana nie ugryzie przy mnie — zapewnił lokaj, szczerząc w uśmiechu zęby.

W hallu domu Bernsteinów drzwi mają metalowe okucia, na ścianie wisi zegar okrętowy, przymocowany grotami. Są też modernistyczne lampy, zaprojektowane na podobieństwo manometrów, termometrów i wskazówek na tablicach rozdzielczych. Za to meble nie pasują do tego domu i wystroju. Całość przypomina elektrownię, którą inżynierowie wyposażyli dla wygody w krzesła i stoły z jakiegoś starożytnego, wielce szacownego pensjonatu. Na surowych, metalowej barwy ścianach wiszą mocno wyverniskowane dziewiętnastowieczne pejzaże w masywnych złożonych ramach. Widać Herr Bernstein w chwili nierozwagi polecił zaprojektować willę jakiemś znanemu awangardowemu architektowi, a potem, przerażony skutkami, usiłował je w miarę możliwości zatuszować przy pomocy rodzinnego dobytku.

Frl. Hippi jest ładną dziewiętnastoletnią grubaską o lśniących kasztanowych włosach, zdrowych zębach i wielkich krowich oczach. Odnacza się próżniactwem, wesołym, niepohamowanym śmiechem i kształtnym biustem. Mówi uczniowską angielszczyzną z lekkim amerykańskim akcentem, dość płynnie, ku własnemu, pełnemu zadowoleniu. Wyraźnie nie zamierza przykładać się do jakiegokolwiek pracy. Gdy usiłowałem nieśmiało wprowadzić do naszych lekcji jakiś plan, przerywała mi nieustannie, proponując czekoladki, kawę, papierosy. „Przepraszam na minutkę, brakuje jakichś owoców — uśmiechnęła się podnosząc słuchawkę wewnętrznego domowego telefonu: — Anno, przynieś, proszę, pomarańcze.”

Służąca nadszła z pomarańczami i zostałem zmuszony, mimo protestów, do regularnego posiłku — z talerzykiem, nożem i widelcem. To zniweczyło ostatnie pozory dystansu pomiędzy nauczycielem a uczennicą. Czuję się jak policjant, którego ponętna kucharka podkarmia w kuchni. Jadłem, a Frl. Hippi siedziała przyglądając mi się z tym swoim dobrodusznym, gnuśnym uśmiechem.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego pan przyjeżdża do Niemiec?

Jest ciekawska, gdy chodzi o moją osobę, nie bardziej wszakże niż krowa leniwie wtykająca łeb pomiędzy pręty bramy. Niezbyt jej zależy na tym, żeby tę bramę otworzono. Powiedziałem, że Niemcy są dla mnie bardzo interesującym krajem.

— Sytuacja polityczna i ekonomiczna — improwizowałem autorytatywnie z belferską nutką w głosie — jest w Niemczech ciekawsza niż w jakimkolwiek innym kraju Europy. Z wyjątkiem Rosji, oczywiście — dorzuciłem

na próbę.

Ale Frl. Hippi nie zareagowała. Uśmiechała się tylko dobrotliwie.

— Myślę, że tu dla pana będzie nuda. Nie ma pan wielu przyjaciół w Berlinie, nie ma?

I jakby spodobało jej się takie spostrzeżenie, dodała rozbawiona:

— Nie zna pan niektórych miłych dziewczyn?

W tym momencie odezwał się brzęczek wewnętrznego telefonu. Z gnuśnym uśmiechem podniosła słuchawkę, lecz miałem wrażenie, że nie słucha cieniutkiego głosiku, który się stamtąd wydobywał. Była to Frau Bernstein, jej matka, której prawdziwy głos dochodził do mnie wyraźnie z sąsiedniego pokoju.

— Zostawiłaś tu czerwoną książkę? — powtórzyła za nią Frl. Hippi, naśladowując jej głos i uśmiechając się do mnie, jakby to był żart, w którym mam wziąć udział. — Nie, nie widzę. Pewnie jest na dole w gabinecie. Zadzwoń do taty. Tak, on tam pracuje. — Pantomimicznym gestem nakazała, bym zjadł jeszcze pomarańczę. Pokręciłem grzecznie głową. Uśmiechnęliśmy się oboje. — A co mamy dziś na lunch? Tak? Naprawdę? To świetnie!

Odwiesiła słuchawkę i powróciła do swych krzyżowych pytań:

— Zna pan niektóre miłe dziewczyny?

— J a k i e ś miłe dziewczyny... — poprawiłem wymijająco. Ale Frl. Hippi tylko się uśmiechnęła nie dając za wygraną; czekała na odpowiedź.

— Tak. Jedną — musiałem w końcu uzupełnić, mając na myśli Frl. Kost.

— Tylko jedną? — uniosła brwi w komicznym zaskoczeniu. — A proszę mi powiedzieć, czy według pana niemieckie dziewczyny różnią się niż angielskie?

Spąsowiałem. — Czy według pana niemieckie dziewczyny... — zacząłem ją poprawiać i utknąłem, uprzytomniwszy sobie w samą porę, że nie jestem całkiem pewien, czy się mówi: „różnią się od”, czy: „są inne niż”.

— Czy według pana niemieckie dziewczyny różnią się niż angielskie? — powtórzyła z uśmiechem acz nieustępliwie.

Spąsowiałem jeszcze bardziej. — Tak. Bardzo się różnią — wypaliłem.

— A jak się różnią?

Miłościwie zabręczał znów telefon. Dzwonił ktoś z kuchni, by uprzedzić, że lunch będzie o godzinę wcześniej. Dziś po południu Herr Bernstein wybiera się do miasta.

— Jak mi przykro — oznajmiła Frl. Hippi wstając — ale na dziś musimy kończyć. I znów zobaczymy siebie w piątek? No to do widzenia, panie Isherwood. I ja bardzo panu dziękuję.

Pogrzebała w torebce i wręczyła mi kopertę, którą niezdarnie wetknąłem do kieszeni, by otworzyć ją dopiero, gdy dom Bernsteinów zniknął mi z pola widzenia. Zawierała pięciomarkową monetę. Wyrzuciłem ją wysoko w górę, nie złapałem i dopiero po pięciu minutach poszukiwań znalazłem ją zagrzebaną w piasku. Przez całą drogę do przystanku biegłem, podśpiewując i podrzucając przed sobą kamyki końcem buta. Czulem niezwykle uniesienie przemieszane z poczuciem winy, jakby mi się udało popełnić małą kradzież.

Nie ma co udawać, że zdołam nauczyć Frl. Hippi czegokolwiek. Jeśli nie zna jakiegoś słowa, wypowiada je po niemiecku. Kiedy ją poprawiam, powtarza je znów po niemiecku. Cieszy mnie oczywiście, że jest taka leniwa, boję się tylko, czy Frau Bernstein nie zorientuje się co do nikłych postępów córki. Choć to mało prawdopodobne. Większość bogatych ludzi, jeśli już raz postanowili ci zaufać, możesz naciągać nieomal w nieskończoność. Dla prywatnego korepetytora jedyny prawdziwy problem to dostać się do ich domu.

Co się tyczy samej Hippi, to zdaje się, że lubi te moje odwiedziny. Z tego, co powiedziała mi któregoś dnia, wnioskuję, że chwali się przed koleżankami, iż ma z prawdziwym Anglikiem lekcje angielskiego. Rozumiemy się oboje doskonale. Mnie ona przekupuje owocami, żebym jej nie zanudzał tym angielskim, a sama ze swej strony zapewnia rodziców, że tak świetnego nauczyciela jeszcze nigdy nie miała. Obgadujemy zatem po niemiecku sprawy, które ją interesują. Co parę minut przerywają nam zupełnie błahe polecenia przekazywane przez telefon, bo w tej grze rodzinnej Frl. Hippi bierze żywy udział.

Hippi w ogóle nie troszczy się o przyszłość. Jak wszyscy w Berlinie, stale napomyka o sytuacji politycznej, lecz tylko pobieżnie, ze zwyczajową melancholią, jak wtedy gdy się mówi o religii. Przyszłość jest dla niej czymś

nieokreślonym. Zamierza pójść na uniwersytet, podróżować, używać życia i w końcu, rzecz jasna, wyjść za mąż. Już teraz przyjaźni się z wieloma chłopakami. Rozmowy o nich zabierają nam niemało czasu. Jeden ma cudowny samochód, drugi — samolot. Inny walczył w siedmiu pojedynkach. Jeszcze inny odkrył sposób na wygaszenie ulicznych latarni zrecznym kopniakiem w określone miejsce. Którejś nocy, wracając z potańcówki, oboje z Hippi zgasili wszystkie latarnie w okolicy.

Dziś lunch u Bernsteinów był podany wcześniej, więc zostałem na niego zaproszony zamiast „lekcji”. Uczestniczyła w nim cała rodzina: Frau Bernstein, zażywna i pogodna, Herr Bernstein, malutki, słabowity i chytrenki, poza tym młodsza siostra Hippi, dwunastoletnia uczennica, grubaska. Jadła bez końca, wcale nie zwracając uwagi na docinki i przestrogi Hippi, że zaraz pęknie. Wszyscy oni zdają się być bardzo do siebie przywiązani, tworząc własny klimat dusznej przytulności. W trakcie lunchu wywiązała się mała domowa sprzeczka, bo Herr Bernstein nie chciał, by żona jechała samochodem na zakupy tego popołudnia. W ciągu ostatnich paru dni sporo było nazistowskich burd w mieście.

— Możesz jechać tramwajem — przekonywał. — Nie chcę, żeby mój piękny wóz obrzucili kamieniami.

— A co będzie, jeśli mnie obrzucą kamieniami? — przekomarzała się Frau Bernstein dobrodusznie.

— Och, wielka sprawa. Jak ciebie obrzucą kamieniami, to ci kupię plaster na głowę. Będzie mnie kosztował tylko pięć groszy. A jak obrzucą samochód, to zapłacę pewnie z pięćset marek.

I w ten sposób sprawa została załatwiona. Herr Bernstein zwrócił się teraz do mnie:

— Nie może pan chyba się uskarżać, młody człowieku, że źle tu pana traktujemy? Nie dość, że dajemy panu dobry obiad, to jeszcze płacimy, żeby pan go zjadł!

Wywnioskowałem z miny Hippi, że posunął się trochę za daleko, nawet jak na ich poczucie humoru. Roześmiałem się więc i odparowałem:

— A czy zapłaci mi pan dodatkowo jedną markę za każdą dokładkę?

Rozbawiło to niepomiernie Herr Bernsteina, lecz nie omieszkał mi dać do zrozumienia, że wie, iż nie powiedziałem tego serio.

W zeszłym tygodniu w naszym domu rozpętało się straszliwe piekło. Zaczęło się od tego, że Frl. Kost przysłała do Frl. Schroeder ze skargą: ukradziono jej z pokoju pięćdziesiąt marek. Była bardzo zdenerwowana, zwłaszcza że, jak wyjaśniła, odłożyła te pieniądze na komorne i rachunek za telefon. Pięćdziesiąt marek w jednym banknocie leżało w szufladzie jej kredensu, tuż przy drzwiach.

Frl. Schroeder wyraziła z miejsca podejrzenie, całkiem zresztą naturalne, że pieniądze ukradł któryś z klientów Frl. Kost. Na co tamta oświadczyła, że to niemożliwe, bo żaden z nich jej nie odwiedził od trzech dni. Ponadto — dodała — jej przyjaciele są absolutnie poza wszelkim podejrzeniem. To są dobrze sytuowani dżentelmeni, dla których marne pięćdziesiąt marek jest po prostu bagatelką. Teraz już Frl. Schroeder zirytowała się na dobre:

— Zdaje się, że ona chce nam wmówić, że to ktoś z n a s zrobił! Co za bezczelność! Posiekałabym ją na kawałeczki, Herr Issyvoo, niech mi pan wierzy!

— Tak, tak, Frl. Schroeder, pani by to na pewno potrafiła. Frl. Schroeder zaczęła z kolei snuć teorię, że pieniądze

wcale nie ukradziono, tylko jest to zwykły wybieg Frl. Kost, żeby nie zapłacić komornego. Napomknęła coś w tym duchu Frl. Kost, na co tamta wpadła w furję. Oświadczyła, że i tak zarobi te pieniądze w ciągu paru dni; zresztą już je zarobiła. Zapowiedziała przy tym, że zwolni pokój w końcu miesiąca.

Tymczasem zaś odkryłem całkiem przypadkowo, że Frl. Kost nawiązała romans z Bobby'm. Któregoś wieczoru, wszedłszy do domu, spostrzegłem mimochodem, że w pokoju Frl. Kost jest ciemno — łatwo się to zauważy, bo drzwi ma przeszkłone i światło z jej pokoju oświetla hall. Później, leżąc w łóżku z książką w ręku, usłyszałem, jak te drzwi się otwierają, i doszedł mnie szept Bobby'ego. Wśród skrzypienia desek podłogowych i tłumionych śmiechów Bobby wyszedł z mieszkania na paluszkach, zamykając za sobą cichuteńko drzwi. W chwilę potem wszedł z hałasem, kierując się wprost do siebie przez salonik, życząc po drodze Frl. Schroeder dobrej nocy.

Frl. Schroeder co najmniej się domyśla tej afery, jeśli jeszcze dokładnie o niej nie wie, i to tłumaczy jej wściekłość na Frl. Kost — bo sęk w tym, że jest przeraźliwie zazdrosna. Zdarzają się więc niezwykle groteskowe, żenujące sceny. Któregoś ranka, gdy chciałem wejść do łazienki, okazało się, że zajęta jest przez Frl. Kost. Wówczas Frl. Schroeder rzuciła się do drzwi, zanim zdołałem ją powstrzymać, i rozkazała Frl. Kost wyjść stamtąd natychmiast. Ta oczywiście nie posłuchała, więc Frl. Schroeder jęła walić pięściami w drzwi mimo moich protestów. „Proszę wyjść z mojej łazienki! — wrzeszczała. — Wyjść mi natychmiast, bo inaczej zawołam policję!”

Po czym wybuchnęła płaczem. Płacz wywołał palpacje, więc Bobby musiał ją zanieść na kanapę. Szlochała spazmatycznie, a my wszyscy staliśmy wokół dość bezradnie, gdy w drzwiach salonu pojawiła się Frl. Mayr z twarzą kata i przeraźliwym głosem zgromiła Frl. Kost: „Masz szczęście, moja mała, jeśli jej nie zamordowałaś!” Wzięła teraz całą inicjatywę w swoje ręce, wyrzuciła nas wszystkich z pokoju, a mnie przykazała skoczyć do sklepu po krople na uspokojenie. Kiedy wróciłem, siedziała przy kanapie, głaszcząc rękę Frl. Schroeder, i dramatycznym szeptem powtarzała: „Lina, biedactwo... co oni ci zrobili?”

SALLY BOWLES

Pewnego popołudnia, na początku października, Fritz Wendel zaprosił mnie do siebie na czarną kawę. Fritz zawsze zapraszał na „czarną kawę”, z naciskiem na „czarna”. Był z tej swojej kawy bardzo dumny. Powiadano, że to najmocniejsza kawa w Berlinie.

Fritz był ubrany w swój zwykły strój „kawowy” — bardzo gruby biały żeglarski sweter i bardzo jasne, niebieskie flanelowe spodnie. Przywitał mnie tym swoim soczystym uśmiechem pełnych warg.

— ...eść, Chris!

— Cześć, Fritz. Jak się masz?

— Świetnie. — Pochylił się nad ekspresem do kawy. Czarne, połyskliwe włosy odlepiły mu się od czaszki i spadały na oczy w wonnych lokach. — Ta cholera nie działa — dodał.

— Jak idą sprawy?

— Parszywie, jak po grudzie — Fritz szeroko wyszczerzył zęby. — Choć ruszę coś nowego w przyszłym miesiącu albo pójdę za żigolaka.

— Nie „choć”, tylko „albo”. Albo... albo — poprawiłem z zawodowego nawyku.

— Parszywa teraz ta moja angielszczyzna — wycedził Fritz, przeciągając zgłoski, wielce z siebie zadowolony.

— Sally mówi, że może mi da parę lekcji.

— Kto to jest Sally?

— A, zapomniałem. Nie znasz Sally. Moja wina. Przychodzi tu dzisiaj, koniec końcem.

— Sympatyczna?

Fritz przewrócił lubieżnie czarnymi oczami, wręczając mi przesiąkniętego rumem papierosa z patentowej puszki.

— Cu-dooowna! — zaciągnął. - Koniec końcem, chyba zaczynam tracić dla niej głowę.

— Ale kto to jest? Co ona robi?

— To młoda Angielka, aktorka. Śpiewa w „Lady Windermere”. Prawdziwy wulkan, możesz mi wierzyć.

— To raczej niepodobne do młodej Angielki.

— Koniec końcem, ma w sobie coś francuskiego. Jej marka była *Francuzką*. Parę minut później zjawiała się Sally we własnej osobie.

— Czy okropnie się spóźniłam^ Fritz, koteczku?

— Chyba tylko pół godziny — Fritz przeciągał zgłoski, promieniejąc radością posiadacza. — Czy mogę przedstawić... pan Isherwood... panna Bowles. Pana Isherwooda wszyscy nazywają Chris.

— Wcale nie — zaprzeczyłem, — Fritz jest bodaj jedyną osobą, która mnie nazywa Chris. Nigdy w życiu mnie tak nie nazywano.

Sally roześmiała się. Była w czarnej jedwabnej sukience z małą pelerynką na ramionach, na głowie miała czapeczkę a la pazik, włożoną zawiadaczko na bakier.

— Pozwolisz, że skorzystam z telefonu, złotko?

— Naturalnie. Nie krępuj się. — Fritz pochwycił moje spojrzenie. — Chodźmy do drugiego pokoju, Chris. Chcę ci coś pokazać. — Najwyraźniej pragnął się dowiedzieć, jakie wrażenie zrobiła na mnie Sally, jego nowa zdobycz.

— Na litość boską, nie zostawiaj mnie samej z tym facetem! — wykrzyknęła. — Bo zgwałci mnie przez telefon. Jest namiętny jak wszyscy diabli.

Kiedy nakręcała numer, zauważyłem, że paznokcie ma pomalowane na szmaragdowo — kolor dobrany niefortunnie, gdyż zwracał uwagę na jej ręce, mocno zażółcone nikotyną i brudne jak u małej dziewczynki. Była mocną brunetką i mogłaby uchodzić za siostrę Fritza. Twarz miała podłużną, szczupłą, upudrowaną na kolor trupiobiały. Ogromne piwne oczy powinny być ciemniejsze, żeby pasowały do włosów i ołówka, którym malowała brwi.

— Helloou — zagruchała, ściągając lśniące wiśniowe usteczka, jakby zamierzała pocałować słuchawkę —

istdass Du, mein Liebling?— Wargi jej się rozchyliły w głupkowato rozkosznym uśmiechu. Obserwowaliśmy ją z Fritzem, jakbyśmy siedzieli w teatrze. — *Was wollen wir machen, MorgenAbend? Oh, wie wunderbar... Nein, nein, ich werde bleiben Heute Abend zu Hause. Ja, ja, ich werde wirklich bleiben zu Hause... Auf Wiedersehen, mein Liebling...*

Powiesiła słuchawkę i odwróciła się do nas triumfująco:

— To ten facet, z którym wczoraj spałam — oznajmiła. — Fantastyczny kochanek. Absolutny geniusz w interesach, niesamowicie bogaty. — Podeszła i usiadła na kanapie koło Fritza, zapadając z westchnieniem w poduszki: — Daj mi trochę kawy, kochasiu. Umieram z pragnienia.

I wkrótce już gwarzyliśmy na ulubiony temat Fritza; wymawiał go: miłość.

— Przeciętnie — opowiadał — wielki romans miewam co dwa lata.

— A ile czasu upłynęło od ostatniego? — zapytała Sally.

— Dokładnie rok i jedenaście miesięcy! — Fritz rzucił jej najbardziej lepkie ze swych spojrzeń. •

— Cudownie! — Sally zmarszczyła nos i zaniosła się srebrzystym, teatralnym śmiechem. — Opowiedz mi, jaki był ten ostatni...

To naturalnie otworzyło służę Fritzowej autobiografii-rzeki. Uslyszyliśmy więc o tym, jak uwiedziono go w Paryżu, następnie szczegóły jego wakacyjnego flirtu w Las Palmas, potem cztery najważniejsze romanse nowojorskie, zawód, jakiego doznał w Chicago, i podbój w Bostonie, powrót do Paryża dla wytchnienia i przepiękny epizodzik w Wiedniu, po którym trzeba było pocieszyć się w Londynie, wreszcie Berlin.

— Wiesz co, Fritz, złoteriko — zauważyła Sally i zmarszczyła nos, zwrócona do mnie — moim zdaniem, cały kłopot w tym, że nie znalazłeś dotąd właściwej kobiety— Może to i prawda — Fritz wziął tę uwagę bardzo serio. Jego czarne oczy zwilgotniały w sentymentalnej zadumie. — Może wciąż jeszcze szukam swego ideału...

— Ale znajdziesz go któregoś dnia, jestem absolutnie tego pewna — Sally ukradkowym spojrzeniem w moją stronę wciągała mnie do tej zgrzyw.

— Tak myślisz? — Fritz uśmiechnął się do niej ckliwie, z błyskiem w oku.

— A p a n tak nie uważa? — odwołała się do mnie.

— Doprawdy nie wiem — odparłem. — Bo nigdy nie zdołałem odkryć, jaki jest ten Fritza ideał.

Nie wiedzieć czemu, Fritzowi wyraźnie się to spodobało. Uznał to za jakiś rodzaj świadectwa. — A Chris zna mnie nie najgorzej — zawtórował. — Jeśli Chris nie wie, no, to chyba nikt nie wie.

Sally musiała już iść.

— Mam się z nim spotkać o piątej w Adlonie — wyjaśniła. — A jest szósta! Co tam, temu staremu świntuchowi dobrze zrobi, jak poczeka. Chce, żebym została jego metresą, ale mu powiedziałam, że ani mi się śni, póki nie spłaci wszystkich moich długów. Dlaczego mężczyźni to takie dzikie bestie? — Otworzyła torebkę i szybkimi ruchami poprawiła makijaż warg i brwi. — O, a propos, Fritz, kochanie, bądź aniołem z nieba i pożycz mi dziesięć marek! Nie mam ani grosza na taksówkę.

— Ależ oczywiście! — Fritz bohatercko sięgnął do kieszeni i bez wahania wręczył jej pieniądze.

Sally zwróciła się teraz do mnie: — Wpadnie pan któregoś dnia do mnie na herbatę? Proszę mi dać swój numer telefonu. Zadzwoń.

Pomyślałem, że pewnie mnie bierze za naiwnego gościa. Świetnie, dostanie nauczkę, raz na zawsze. Zapisałem numer w jej maleńkim skórzanym notatniku. Fritz odprowadził ją do wyjścia.

— No i co? — wrócił w podskokach do pokoju i rozradowany zamknął drzwi. — Co o niej myślisz, Chris? Nie mówiłem, że to ślicznotka?

— Tak, mówiłeś!

— Za każdym razem jak ją widzę, coraz bardziej tracę głowę! — Z błogim westchnieniem sięgnął po papierosa.

— Jeszcze kawy, Chris?

— Nie, dziękuję bardzo.

— Wiesz, Chris, myślę, że ty jej się także spodobałeś.

— Ech, bredzisz.

— Słowo daję! — Fritz wyglądał na zadowolonego.

— Koniec końcem, podejrzewam, że teraz będziemy ją często widywali!

Powróciłem do domu Frł. Schroeder z takim szumem w głowie, że musiałem się położyć na jakieś pół godziny. Czarna kawa Fritza była trująca jak zawsze.

Parę dni później zabrał mnie z sobą, bym posłuchał śpiewu Sally.

„Lady Windermere” (który to lokal dziś już podobno nie istnieje) była pseudoartystyczną, „swojską” knajpą tuż na tyłach Tauentzeinstrasse, knajpą, którą właściciel najwyraźniej próbował upodobnić w miarę możliwości do Montparnasse. Ściany były oblepione rysunkami na jadalospisach, karykaturami i teatralnymi fotosami zaopatrzonymi w dedykacje („Jednej jedynej Lady Windermere”, „Johnny’emu — najserdeczniej”). Wachlarz, w czterokrotnym powiększeniu, wisiał rozpostarty nad bufetem. Pośrodku sali stał na podeście fortepian.

Ciekaw byłem, jak Sally będzie się zachowywała. Nie wiem czemu, wyobrażałem sobie, że ją zobaczę stremowaną, ale nie, nie zdradzała najmniejszej nawet tremy. Miała zaskakująco głęboki i ochryply głos. Śpiewała źle, bez wyrazu, z rękami zwisającymi u boków, a mimo to jej występ był na swój sposób efektowny, do czego się przyczyniła jej niepokojąca aparycja i mina osoby, która ma w nosie, co ludzie o niej myślą. Z bezwładnie opuszczonymi ramionami i nonszalanckim uśmiechem śpiewała:

Mówiła mi mama

Żebym chłopców nie bujała

Tylko takiego jak ty

Sobie poszukała.

Zerwały się oklaski. Pianista, przystojny młody blondyn o falistych włosach, wstał i uroczyście pocałował Sally w rękę. Zaśpiewała jeszcze dwie piosenki — jedną po francusku, drugą po niemiecku — ale nie były już tak dobrze przyjęte.

Nastąpiło dalsze, wielokrotne całowanie rączki, po czym gremialnie ruszono w stronę baru. Sally sprawiała wrażenie, że zna tutaj wszystkich. Zwracała się do każdego po imieniu albo per „kochanie”. Jak na rzekomą damę z półświatka, zdradzała zadziwiająco nikły zmysł interesu czy też takt. Straciła mnóstwo czasu na uwodzenie starszawego jegomościa, który wyraźnie by wołał pogawędzić z barmanem. Później wszyscyśmy sobie zdrowo podpiłi. Sally musiała pójść na jakieś spotkanie i do naszego stolika przysiadł się kierownik. Obaj z Fritzem rozmawiali jak angielscy arystokraci. Fritz był w swoim żywiole. Postanowiłem, jak tyle razy przedtem, nigdy więcej nie odwiedzać tego rodzaju przybytków.

Sally, zgodnie z obietnicą, zadzwoniła wkrótce, żeby mnie zaprosić na herbatę.

Mieszkała daleko, na samym końcu Kurfurstendamm, na tym ostatnim ponurym odcinku, który dochodzi do Halensee. Jakaś otyła, rozmamlana jejmość z obwisłym podbródkiem ropuchy wprowadziła mnie do dużego, mrocznego, skąpo umeblowanego pokoju. Stała tam w kącie rozchwierutana kanapa pod wyblakłym obrazem jakiejś osiemnastowiecznej bitwy; ranni żołnierze na obrazie, wsparci na łokciach we wdzięcznych pozach, podziwiali płasy rumaka Fryderyka Wielkiego.

— O, witaj, Chris, kochanie! — zawołała Sally od progu. — Jak to ślicznie z twojej strony, że przyszedłeś! Tak potwornie czułam się osamotniona. Wyplakiwałam się na piersi pani Karpf. *Nicht wahr, Frau Karpf?* — szukała potwierdzenia u ropuszastej gospodyni. — *Ich habe geweint auf Dein Brust.* — Łono Frau Karpf zadrgało ropuszym śmieszkiem.

— Wolisz kawę, Chris, czy herbatę? — szczebiotała dalej Sally. — Może być jedno albo drugie. Tylko że herbaty zbyt nie polecam. Nie wiem, co Frau Karpf z nią wyprawia, chyba zlewa wszystkie kuchenne pomysły do jednego garnka, wysypuje herbatę i gotuje.

— W takim razie wolę kawę.

— *Frau Karpf, Liebling, willst Du sein ein Engel und bring zwei Tassen von Kaffee?* — Niemczyzna Sally nie tylko pozostawiała wiele do życzenia, ale był to również jej własny język. Wymawiała każde słowo z manierą specjalnie „cudzoziemską”. Już z samego jej wyrazu twarzy można było poznać, że mówi coś w języku obcym. — Chris, kochany, bądź aniołem i zaciągnij story.

Zrobiłem, o co prosiła, choć na dworze było jeszcze całkiem widno. Sally tymczasem zapaliła lampę na stoliku. Gdy odwróciłem się od okna, zwiwała się miękkim, kocim ruchem na kanapie, po czym otworzyła torebkę w poszukiwaniu papierosa. Zanim jednak usadowiła się na dobre we właściwej pozycji, znów zerwała się z kanapy.

— Zjesz Ostrygę Prerii? — Z szafki na obuwie pod rachityczną umywalką przyniosła szklanki, jajka i butelkę sosu Worcester. — Ja głównie tym się żywię. — Wprawnymi ruchami wbiła jajka do szklanek, dodała sosu i zamieszała końcem wiecznego pióra. — Nie stać mnie na wiele więcej. — Już była z powrotem na kanapie, gustownie zwinęta w kłębek.

Miała na sobie tę samą czarną sukienkę, tyle że bez pelerynki. Zamiast niej — mały biały kołnierzyczek i białe mankiety. Dawały efekt zgoła teatralnej cnotliwości — coś niby zakonnica w uroczystej operze. — Z czego się śmiesz, Chris? — zapytała.

— Nie wiem. — Ale wciąż nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu. Było w niej coś niezwykle komicznego w tym momencie. Była naprawdę śliczna z tą swoją małą ciemną główką, wielkimi oczami i delikatnym lukiem nosa, śliczna i tak absurdalnie świadoma tych wszystkich szczegółów. Leżała tam na tej kanapie niczym turkaweczka, uosobienie błogiej kobiecości z przekrzywioną czujnie główką i wytwornie ułożonymi rękami.

— Chris, ty świntuchu, no powiedz, czemu się śmiesz?

— Pojęcia nie mam, naprawdę.

Teraz i ona się roześmiała. — Zwariowałeś, i tyle.

— Dawno tu mieszkasz? — zapytałem, wodząc wzrokiem po dużym mrocznym pokoju.

— Od kiedy przyjechałam do Berlina. Czekaj... to było jakieś dwa miesiące temu.

Spytałem, dlaczego w ogóle zdecydowała się przyjechać tu, do Niemiec. I czy przyjechała sama? Nie, przyjechała z przyjaciółką. Aktorką. Starszą od niej. Tamta dziewczyna była już przedtem w Berlinie i powiedziała jej, że na pewno im się uda dostać pracę w UFA. No ^jSally pożyczyła dziesięć funtów od jednego sympatycznego staruszka i zabrała się z nią razem.

Rodzicom nie pisnęła ani słowa, póki nie przyjechały na miejsce. — Szkoda, że nie znałeś Diany. Ta umiała fantastycznie naciągać ludzi na pieniądze. Facetów od razu

UFA (Universum Film A.G.) — słynna niemiecka wytwórnia filmowa (przyp. tłum.).

miała w garści, i to wszędzie, nieważne, czy potrafiła się z nimi porozumiewać w ich języku. Boki zrywaliśmy ze śmiechu przy niej. Uwielbiałam ją po prostu.

Ale gdy tak przebywały razem już trzy tygodnie w Berlinie, a o pracy ani słychu, ani widu, Diana przygruchała sobie bankiera, który ją zabrał z sobą do Paryża.

— I zostawiła ciebie samą? Muszę powiedzieć, że to podłeńko z jej strony.

— Och, czy ja wiem... Każdy musi troszczyć się o siebie. Myślę, że będąc na jej miejscu, zrobiłabym to samo.

— Założę się, że nie!

— Tak czy siak, jakoś ląduję. Zawsze sobie daję radę.

— Ile ty masz lat, Sally?

— Dziewiętnaście.

— Mój ty Boże! A ja myślałem, że masz ze dwadzieścia pięć!

— Wiem. Każdy tak myśli.

Do pokoju przyczłapała Frau Karpf z dwiema filiżankami kawy na zaśnieżonej metalowej tacy.

— *Och, Frau Karpf, Liebling, wie wunderbar von Dich!*

— Co ciebie trzyma w tym domu? — zapytałem po odejściu gospodyni. — Na pewno znalazłabyś sobie o wiele miłszy pokój.

— Tak, zapewne.

— No to dlaczego się nie przeprowadzisz?

— A bo ja wiem? Chyba z lenistwa.— Ile tu płacisz?

— Osiemdziesiąt marek miesięcznie.

— Ze śniadaniem?

— Nie... chyba nie.

— Jak to: chyba? — zagrziałem. — Przecież chyba wiesz dokładnie?

Sally przyjęła to potulnie. — Tak, pewnie głupio mówię, ale widzisz, ja płacę tej poczciwinie tylko, jak mi wpadnie trochę forsy, więc dość trudno to wszystko wyliczyć co do grosza.

— Ale na miłość boską, Sally, ja płacę tylko pięćdziesiąt razem ze śniadaniem, a o ileż mój pokój jest ładniejszy!

Sally przytaknęła głową, lecz nadal dowodziła mi pokornie:

— Tylko że widzisz, mój kochany, jest jeszcze taka sprawa, że ja nie wiem, co by zrobiła Frau Karpf, gdybym ją opuściła. Na pewno by nie znalazła nikogo na moje miejsce. Nikt by nie zniósł jej twarzy, jej zapachu i tego wszystkiego. Tymczasem ona zalega już trzy miesiące z czynszem. Wyrzuciliby ją bez gadania, gdyby wiedzieli, że nie ma lokatora, a ona mówi, że jeśli to zrobią, popełni samobójstwo.

— Mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego ty masz się poświęcać dla niej.

— Ja się wcale nie poświęcam, naprawdę. Całkiem mi się tu podoba. Rozumiemy się obie. Za trzydzieści lat będę mniej więcej tak samo wyglądała. A jakaś inna, szanująca się gospodyni wyrzuciłaby mnie pewnie po tygodniu.

— Moja gospodyni ciebie by nie wyrzuciła.

Sally uśmiechnęła się niewyraźnie i zmarszczyła nos. — Jak ci smakuje kawa, Chris, złociutki?

— Bardziej niż ta u Fritza — odpowiedziałem wymijająco.

Roześmiała się. — Prawda, że Fritz jest cudowny? Uwielbiam go. Uwielbiam, jak mówi: „Gwizdam na to”.

— Cholerę w bok, gwizdam na to — spróbowałem naśladować Fritza. Roześmieliśmy się oboje. Sally zapaliła następnego papierosa; paliła bez przerwy. Zauważyłem, jak staro wyglądają jej ręce w świetle lampy; nerwowe, żylaste i bardzo wychudzone — ręce kobiety w średnim wieku. Zielone paznokcie jakby w ogóle nie do nich należały, jakby się usadowiły na nich przypadkowo niczym twarde, połyskliwe, brzydkie małe chrząszcze.

— Śmieszna historia — dorzuciła w zamyśleniu — bo nigdyśmy z sobą nie spali, masz pojęcie? — Urwała, by zaraz mnie wybadać: — A ty myślałeś pewnie, że tak?

— Nnno... raczej tak.

— A my nie spaliśmy ze sobą. Ani razu... — ziewnęła. — Iw dodatku nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek do tego doszło.

Paliliśmy w milczeniu dłuższą chwilę. Na koniec zaczęła mi opowiadać o swojej rodzinie. Jest córką właściciela młyna z Lancashire. Matka, z domu panna Bowles, odziedziczyła majątek ziemski i kiedy się pobierali z ojcem, panem Jacksonem, złączyli oba nazwiska. — Tatuś to okropny snob, chociaż się do tego nie przyznaje. Tak naprawdę, nazywam się Jackson-Bowles, ale przecież za nic bym nie mogła występować pod takim nazwiskiem na scenie. Ludzie pomyśleliby, że mam świra.

— Fritz mi chyba mówił, że twoja matka jest Francuzką.

— Nie, skądże! — Sally wyraźnie się obruszyła. — Fritz to kretyn. Zawsze coś zmyśla.

Sally ma jedną siostrę, Betty. — To anioł bez skazy. Uwielbiam ją. Ma siedemnaście lat, a wciąż jest niewinna jak lilijka. Mama ją wychowuje na wytworną damę. Betty by padła trupem, gdyby się dowiedziała, jaka ze mnie stara zdzira. Ona nie ma zielonego pojęcia, co to są mężczyźni.

— No to dlaczego ty nie jesteś tak wytworna, Sally?

— Nie wiem. Pewnie wdałam się w tatusia. Przepadałbyś za moim tatą. Tata ma wszystkich w nosie. I jest fenomenalnym biznesmenem. A mniej więcej raz na miesiąc upija się na umór i całe to mamy wytworne towarzystwo wprawia w osłupienie. To on pozwolił mi jechać do Londynu uczyć się gry aktorskiej.

— Pewnie wcześniej rozstałaś się ze szkołą?

— Tak. Nie cierpiałam szkoły. Więc się postarałam, żeby mnie wylali.

— Jak tyś tego dokonała?

— Powiedziałam przełożonej, że się spodziewam dziecka.

— Bredzisz, Sally, niemożliwe!

— Naprawdę, słowo daję! Zrobiła się okropna chryja. Ściągnęli doktora i posłali po rodziców. A jak się okazało,

że nic podobnego, okropnie byli zawiedzeni. Przełożona powiedziała, że dziewczynka, która mogła choćby pomyśleć o czymś tak obrzydliwym, nie może pozostać dłużej w szkole i psuć innych dziewcząt. Stało więc na moim. A potem nie dawałam spokoju tatusiowi, aż zgodził się, żebym pojechała do Londynu.

Sally zamieszkała w Londynie, w domu studenckim, razem z innymi studentkami. Tam, mimo nadzoru, udało jej się spędzać większość godzin nocnych w męskich pomieszczeniach. — Ten pierwszy, co mnie uwiódł, pojęcia nie miał, że był pierwszy, dopiero później ode mnie się dowiedział. Był cudowny. Ubóstwiałam go. Absolutny geniusz w rolach kostiumowych. Na pewno będzie kiedyś wielką sławą.

Po jakimś czasie Sally zaczęła statystować w filmach, a w końcu dostała małą rolę w teatrze objazdowym. Wtedy poznała Dianę.

— Jak długo chcesz siedzieć w Berlinie? — zapytałam.

— Bóg raczy wiedzieć. Ten angaż w „Lady Windermere” kończy się za tydzień. Dostałam go przez jednego gościa, którego poznałam w barze „Eden”. Ale on już wyjechał do Wiednia. Muszę chyba znów zadzwonić do tych z UFA. No i jest jeszcze ten wstrętny stary Żyd, który mnie zabiera czasem gdzieś na miasto. Ciągłe obiecuje, że mi załatwi kontrakt, ale on chce tylko ze mną sypiać, stara świnią. Mężczyźni w tym kraju to potwory. Żaden nie śmierdzi groszem i każdy się spodziewa, że się go wpuści do łóżka za pudełko czekoladek.

— Jakże, u licha, dasz sobie radę, kiedy ta praca się skończy?

— Eee tam, jak by nie było, dostaję parę groszy z domu. Choć to też nie potrwa długo. Mama już mi zagroziła, że wstrzyma kieszonkowe, jeśli nie wrócę prędko do Londynu... Oni są oczywiście przekonani, że jestem tutaj z przyjaciółką. Gdyby mama się dowiedziała, że działam na własną rękę, z miejsca by wyzionęła ducha. Zresztą, wpadnie mi coś niezabawem, więc da się jakoś przeżyć. To obrzydliwość brać od nich pieniądze. Tatusia interesy marnie teraz wyglądają, przez ten kryzys.

— Słuchaj, Sally, jeśli kiedyś naprawdę popadniesz w tarapaty, chciałbym, żebyś mi dała znać.

— Jesteś samą słodyczą, Chris — zaśmiała się. — Ale ja przyjaciół nie wykorzystuję.

— A Fritz nie jest twoim przyjacielem? — wyrwało mi się, lecz Sally najwyraźniej nie poczuła się tym dotknięta.

— Pewnie, że jest, okropnie lubię Fritza, oczywiście. Ale on ma kupę forsy. A jakoś tak jest, że do tych, co mają forsy, inaczej człowiek się odnosi, nie wiem czemu.

— A skąd wiesz, że ja nie mam forsy?

— Ty? — Sally wybuchnęła śmiechem. — Ty jesteś goły, wiedziałam to od pierwszej chwili!

Tamtego popołudnia, kiedy Sally przyszła do mnie na herbatę, Frl. Schroeder nie mogła sobie znaleźć miejsca z podniecenia. Włożyła na tę okazję swoją najlepszą sukienkę i ukarbowała włosy. Na dźwięk dzwonka otworzyła szerokim gestem drzwi i oznajmiła bardzo głośno, mrugając do mnie porozumiewawczo: — Herr Issywoo, do pana przyszła pani!

Dokonałam oficjalnej prezentacji. Frl. Schroeder rozplywała się w uprzejmościach, raz po raz zwracając się do Sally per „*Gnadiges Fraulein*”. Sally, w tej swojej czapeczce a la pazik zatkniętej na jedno ucho, zanosila się srebrzystym śmieszkiem, zasiadłszy wytwornie na kanapie. Frl. Schroeder krążyła wokół niej pełna nieklamanego podziwu i zdumienia. Najwyraźniej nigdy dotąd nikogo takiego nie widziała. Kiedy przyniosła herbatę, na tacy zamiast plasterek bladego, nieapetycznego ciasta ukazał się talerz ciasteczek z konfiturą, ułożonych w kształcie gwiazdy.

Spostrzegłem także, iż Frl. Schroeder zaopatrzyła nas w dwie maleńkie papierowe serwetki, dziurkowane na brzegach, co miało przypominać koronkę. (Kiedy później złożyłem jej swoje wyrazy uznania za takie przyjęcie, odpowiedziała, że zawsze podawała serwetki, ilekroć niezapomniany Herr Rittmeister podejmował herbatą swoją narzeczoną. — O tak, Herr Issywoo, może pan na mnie polegać! Ja wiem, co się podoba młodej damie!

— Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że się położę na twojej kanapie, złotko? — zapytała Sally, ledwie zostaliśmy sami.

— Nie, skądże.

Sally ściągnęła z głowy czapeczkę, jednym obrotem przeniosła swoje małe aksamitne pantofelki na kanapę, otworzyła torebkę i zaczęła się pudrować. — Jestem potwornie zmęczona. W nocy nie zmrużyłam oka. Mam cudownego, nowego kochanka.

Zabrałem się do nalewania herbaty. Sally zerknęła na mnie kątem oka.

— Czy ja ciebie szokuję tym, co mówię, Chris, moja słodczy?

— Nie, bynajmniej.

— Ale ci się to nie podoba?

— To nie moja sprawa. — Podałem jej szklanke.

— Och, na miłość boską — wybuchnęła — nie bądź takim Anglikiem! Przecież to jest twoja sprawa, co sobie myślisz.

— No więc, jak chcesz wiedzieć, mnie to trochę nudzi. Zgasiłem ją tym nawet bardziej, aniżeli zamierzałem.

Zmieniła ton. Powiedziała chłodno: — Myślałam, że zrozumiesz. — I westchnęła: — Ale zapomniałam: przecież ty jesteś mężczyzną.

— Wybacz, Sally. Nic na to nie poradzę, że jestem mężczyzną, oczywiście... Ale nie złość się na mnie, proszę cię. Chodziło mi o to, że takie gadanie w gruncie rzeczy świadczy tylko o nerwowości. Jesteś z natury raczej nieśmiała wobec obcych. Więc stosujesz taki chwyt, że próbujesz ich z miejsca oszołomić i albo cię zaakceptują, albo nie. Wiem o tym, bo czasem sam tak postępuję... Lecz wolałbym, żebyś nie próbowała takich sztuczek ze mną, bo to na nic i tylko wprawia mnie w zakłopotanie. Jeśli będziesz szła do łóżka z każdym mężczyzną, jaki tylko jest w Berlinie, i za każdym razem przyjdiesz, żeby mi o tym powiedzieć, to i tak mnie nie przekonasz, że jesteś *La Dame aux Camelias*, bo co tu mówić, dobrze wiesz, że nią nie jesteś.

— Nie... chyba nie jestem. — Uważała, by jej głos brzmiał bezosobowo. Zaczęła jej się podobać ta rozmowa. Udało mi się jej pochlebić w sposób dotąd jej nie znany. — A w takim razie, kochanie, kim ja dokładnie jestem?

— Jesteś córką państwa Jackson-Bowles.

Sally upiła parę łyżek herbaty. — Tak... chyba już wiem, o co ci chodzi... Może i masz rację... Ale czy wobec tego sądzisz, że powinnam w ogóle zrezygnować z kochanków?

— Skądże znowu. O ile jesteś pewna, że cię to naprawdę bawi.

— Oczywiście nigdy bym nie pozwoliła, żeby miłość mi przeszkadzała w pracy — oświadczyła uroczyście Sally po chwili milczenia. — Praca przede wszystkim... Ale nie wierzę, żeby kobieta mogła być wielką aktorką, jeśli nie ma żadnych miłosnych przeżyć... — urwała nagle. — Z czego się śmiesz, Chris?

— Wcale się nie śmieję.

— Ciągłe się ze mnie śmiesz. Uważasz mnie za kompletną idiotkę?

— Nie, Sally. W ogóle nie uważam ciebie za idiotkę. Ale masz rację, śmiałem się rzeczywiście. Często chce mi się śmiać z ludzi, których lubię. Nie wiem dlaczego.

— To znaczy, że mnie lubisz, mój miły Christoferku?

— Tak, jasne, że cię lubię, Sally. A coś ty myślała?

— Ale nie jesteś we mnie zakochany?

— Nie. Nie jestem w tobie zakochany.

— O, jak to dobrze! Od pierwszej chwili chciałam, żebyś mnie polubił. Ale cieszę się, że nie jesteś we mnie zakochany, bo, nie wiem czemu, ja chyba bym się nie mogła kochać w tobie... Więc jakbyś się zakochał we mnie, wszystko by się popsuło.

— No to bardzo szczęśliwie się składa, nie uważasz?

— Tak, bardzo... — Sally zawahała się. — Chcę ci się do czegoś przyznać, Chris, kochanie... Nie wiem, czy zrozumiesz.

— Pamiętaj, że jestem tylko mężczyzną, Sally. Roześmiała się. — Chodzi o idiotyczny mały drobiazg.

Ale za nic bym nie chciała, żebyś się skądś dowiedział, lepiej, jak ci sama powiem... Pamiętaj, wspomniałeś mi niedawno, że Fritz ci mówił, że moja matka jest Francuzką?

— Tak, pamiętam.

— A ja ci powiedziałam, że sobie to wymyślił. Otóż nie wymyślił... Usłyszał to ode mnie.

— Ale po co, u licha, to zrobiłaś? Roześmieliśmy się oboje. — Bóg raczy wiedzieć. Pewnie

chciałam mu zaimponować.

— A cóż w tym imponującego, że się ma matkę Francuzkę?

— Czasem coś takiego strzela mi do głowy, Chris. Musisz być wyrozumiały dla mnie.

— Dobrze, Sally. Będę wyrozumiały.

— I dajesz słowo honoru, że nie powiesz Fritzowi?

— Słowo.

— Bo jak powiesz, świnio — wykrzyknęła i śmiejąc się porwała mi z biurka sztylecik do przecinania kartek — poderżnę ci gardło!

Zapytałem później Frl. Schroeder, co myśli o Sally. Była zachwycona. — Jak obrazeczek, Herr Issyvoo! I taka wykwintna, co za ręce, co za stopy! Od razu widać, że jest z najlepszego towarzystwa... Wie pan, Herr Issyvoo, nigdy bym nie przypuszczała, że może pan mieć taką przyjaciółkę. Pan, zawsze taki cichutki...

— Wiadomo, cicha woda...

Zaniosła się piskliwym śmiechem, po swojemu, kołyszając się w przód i w tył na krótkich nogach. — Otóż to, Herr Issyvoo! Otóż to!

W wigilię Nowego Roku Sally sprowadziła się do Frl. Schroeder.

Wszystko zostało zaaranżowane naprędce, w jednej chwili. Sally, dzięki zaostrej czujności pod wpływem moich ostrzeżeń, przyłapała Frau Karpf na wyjątkowo bezczelnym i niezręcznym szwindlu, toteż serce jej stwardniało i wypowiedziała pokój. Postanowiono, że zamieszka w dawnym pokoju Frl. Kost. Frl. Schroeder była oczywiście wniebowzięta.

Sylwestrową kolację zjedliśmy wszyscy w domu: Frl. Schroeder, Frl. Mayr, Sally, Bobby z kolegą, mikserem z „Trojki”, i ja. Udała się nadzwyczaj. Bobby, już przywrócony do łask, flirtował zapamiętale z Frl. Schroeder. Frl. Mayr i Sally gwarzyły z sobą jak dwie gwiazdy pierwszej wielkości, rozważając możliwości pracy gdzieś w Anglii, w music-hallu. Sally wymyślała wręcz zdumiewające bujdy, w które sama na poły wierzyła w tym momencie, o swoich występach w Palladium i londyńskim Coloseum. Frl. Mayr nie pozostawała w tyle, snując własną opowieść o tym, jak rozentuzjzmowani studenci wozili ją po ulicach Monachium karetą. Zaraz więc Sally jęła namawiać Frl. Mayr, by zaśpiewała *Sennerin Abschied von der Alm*, która to piosenka, po kielichu czerwonego wina i butelce taniutkiego koniaku, tak pasowała do mego nastroju, że uroniłem parę łez. Wszyscy zgodnym chórem odśpiewaliśmy refreny, kończąc rozdzierającym uszy „Juch-he!” Potem Sally zaśpiewała „*Te moje dziecinne smuteczki...*” z takim przejęciem, że kolega-mikser, biorąc to do siebie, chwycił ją na pocieszenie wpół i musiał być przywołany do porządku przez Bobby'ego, który przypomniał mu surowo, że czas iść do roboty.

Oboje z Sally poszliśmy razem z nim do „Trojki”, gdzie spotkaliśmy Fritza. Towarzyszył mu Klaus Linke, młody pianista, który akompaniował Sally, gdy śpiewała w „Lady Windermere”. Wyszedłem stamtąd później tylko z Fritzem. Miał trochę zgaszoną minę i nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi. Jakieś dziewczyny wykonywały klasyczne *h-gure-tableaux* za zasłoną z gazy. A potem była jeszcze jakaś wielka sala dansingowa z telefonami na stolikach. Prowadziliśmy zwykle w takich okolicznościach rozmowy: „*Pardon, madame*, sądząc po głosie, jest pani z pewnością urzekającą niedużą blondynką o długich czarnych rzesach — dokładnie w moim typie. Skąd ja wiem? A, to już moja tajemnica. Tak... zgadza się, jestem wysokim brunetem: szerokie ramiona, sznyt wojskowy, malusieńki wąsik... Nie wierzy pani? To proszę przyjść i się przekonać”. Pary tańczyły z rękami na biodrach partnera czy partnerki, wrzeszcząc do siebie wzajemnie prosto w twarz, ociekając potem. Orkiestra w bawarskich strojach pokrzykiwała, wypacając sączone bez ustanku piwo. Cuchnęło tam jak w zoo. A później już chyba wędrowałem sam, brnąc godzinami przez dżunglę papierowych serpentyn. Kiedy się obudziłem następnego ranka, miałem ich pełno w łóżku.

Byłem już od dość dawna na nogach i w ubraniu, gdy wróciła Sally. Skierowała się prosto do mego pokoju. Wyglądała na zmęczoną, lecz zadowoloną z siebie.

— Cześć, kochany. Która godzina?

— Już właściwie czas na lunch.

— Co ty powiesz, naprawdę? Znakomicie! Umieram z głodu. Na śniadanie wypiałam tylko filiżankę kawy...

— urwała wyczekująco, spodziewając się pytania z mojej strony.

— Gdzie byłaś? — zapytałem.

— Ależ, kochanie — otworzyła szeroko oczy w udawanym zdziwieniu — myślałam, że wiesz!

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Bzdura!

— Naprawdę nie wiem, Sally.

— Och, Chris, moje złotko, jak możesz tak łąć! Przecież to jasne, że ukartowałaś całą tę historię! Spławiłaś Fritza... Miał taką skwaszoną minę! Umieraliśmy ze śmiechu z Klausem.

A mimo wszystko brakowało jej zwykłej swobody. Po raz pierwszy zobaczyłem, że się zaczerwieniła.

— Masz papierosa, Chris?

Dałem jej papierosa i zapaliłem zapałkę. Wypuściła długi obłok dymu i z wolna przespacerowała się do okna.

— Jestem w nim obłędnie zakochana.

Odwróciła się, nieco nachmurzona. Przeszła na kanapę i zwinęła się na niej starannie, zadbawszy o ładne ułożenie rąk i stóp. — Tak przynajmniej mi się zdaje — dorzuciła.

Odczekałem stosowną chwilę, zanim zapytałem:

— A czy Klaus jest zakochany w tobie?

— On mnie ubóstwia bezgranicznie. — Sally naprawdę mówiła to z całą powagą. Palila w milczeniu dłuższą chwilę. — Mówi, że zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia, jeszcze w „Lady Windermere”. Ale ponieważ pracowaliśmy razem, nie śmiał mi tego powiedzieć. Bał się, że mogłabym zrezygnować ze śpiewania... Mówi, że póki mnie nie poznał, nie miał pojęcia, jak cudownie piękne jest kobiece ciało. Miał przedtem w życiu chyba trzy kobiety...

Zapaliłem papierosa.

— Nie wierzę oczywiście, że dobrze to rozumiesz, Chris... To piekielnie trudno wytłumaczyć...

— Na pewno.

— Zobaczę się z nim znów o czwartej. — W głosie Sally zabrzmiała nutka wyzwania.

— W takim razie powinnaś się trochę przespać. Poproszę Frl. Schroeder, żeby ci usmażyła jajecznicę. Albo sam ci usmażę, jeśli ona jeszcze nie wytrzeźwiała. Idź się położyć. Możesz zjeść w łóżku.

— Dzięki, Chris, złociutki, jesteś aniołem. — Sally ziewnęła. — Nie wiem, u diaska, co bym bez ciebie zrobiła.

Odtąd Sally i Klaus widywali się codziennie. Spotykali się zazwyczaj w naszym domu. Aż wreszcie Klaus został kiedyś na noc. Frl. Schroeder nie powiedziała wiele na ten temat, ale spostrzegłem, że była wręcz wstrząśnięta. Nie żeby miała coś przeciwko Klausowi, skądże, uważała, że jest bardzo pociągający. Lecz według niej Sally należała do mnie i Frl. Schroeder ze zgrozą patrzyła, jak potulnie stoję z boku. Nie wątpię jednak, że gdybym nie wiedział o całej tej historii i gdyby Sally rzeczywiście mnie oszukiwała, Frl. Schroeder uczestniczyłaby w tym spisku z wielkim upodobaniem.

Tymczasem obaj z Klausem byliśmy sobą wzajemnie nieco skrępowani i gdy zdarzało nam się spotkać twarzą w twarz na schodach, wymienialiśmy chłodne ukłony jak wrogowie.

Gdzieś w połowie stycznia Klaus wyjechał nagle do Anglii. Zaoferowano mu całkiem nieoczekiwanie doskonałą pracę — synchronizowanie muzyki do filmów. Tego popołudnia, gdy przyszedł się pożegnać, w domu panowała istic szpitalna atmosfera, jakby Sally poddawała się niebezpiecznej operacji. Frl. Schroeder i Frl. Mayr siedziały w saloniku i kładły pasjansa. Wyszedł nad wyraz pomyślnie, jak mnie później zapewniła Frl. Schroeder: ósemka trefl pojawiła się trzykrotnie w doskonałej konfiguracji.

Cały następny dzień Sally spędziła zwinęta na kanapie w swym pokoju, z ołówkiem i papierem na kolanach. Pisała wiersze. Nie chciała mi ich pokazać. Palila papierosa za

papierosem i mieszała Ostrygi Prerii, a z omlotu Frl. Schroeder zjadła zaledwie parę kęsów.

— Może ci coś przynieść, Sally?

— Nie, dziękuję, Chris, złociutki. Nie chce mi się wcale jeść. Jestem cała wniebowzięta i taka uduchowiona, jakbym Tjyla jakąś przecudowną świętą, albo coś w tym sensie. Nie masz pojęcia, co to za niebiańskie uczucie... Zjesz czekoladkę, kochanie? Klaus przyniósł mi trzy pudełka. Jak zjem jeszcze trochę, to się rozchoruję.

— Dziękuję.

— Nie sędzę, żebym kiedykolwiek wyszła za niego za mąż. Zrujnowałoby to nam kariery. Bo widzisz, Chris, on mnie tak nieprzytomnie ubóstwia, że dla niego nie byłoby dobrze, gdyby mnie stale miał na karku.

— Możecie się pobrać, kiedy już oboje pozyskacie sławę. Sally zastanowiła się.

— Nie... to by zepsuło wszystko. Ciągłe byśmy próbowali żyć po staremu, jakbyśmy byli tym, czym dziś jesteśmy, jeśli wiesz, co mam na myśli. A przecież oboje bylibyśmy już kimś innym... On był tak zachwycająco prymitywny, całkiem jak faun. Czułam się przy nim jak jakaś nimfa z bajki, albo coś w tym sensie, całe mile od świata, w leśnym uroczysku.

Pierwszy list od Klausa przyszedł punktualnie. Wszyscyśmy go oczekiwali z niepokojem i Frł. Schroeder obudziła mnie wczesnym rankiem, żeby mi o nim powiedzieć. Być może bała się, że nie będzie miała okazji go przeczytać sama, zdała się więc na mnie. Jeśli tak, to jej obawy były płonne. Sally bowiem nie tylko pokazała list Frł. Schroeder, Frł. Mayr, Bobby'emu i mnie, ale nawet przeczytała na głos wybrane fragmenty w obecności dozorczyni, która przyszła po komorne.

List ten już od pierwszych słów pozostawił mi jakiś niesmak w ustach. Dominował w nim egotyzm i ton z lekka protekcyjnalny. Klaus pisał, że Londyn mu się nie podoba, że czuje się tam osamotniony. Jedzenie mu nie odpowiada, a ci w atelier nie okazują mu żadnych względów. Żałuje, że nie ma przy nim Sally, pomogłaby mu w niejednym. Jednakże, skoro już jest w tej Anglii, postara się zrobić, co się da, będzie pracował z całych sił i zarabiał pieniądze. Sally też musi dobrze popracować. Praca podniesie ją na duchu, nie pozwoli jej się załamywać. Pod koniec listu nastąpiły rozmaite czułości, chyba zbyt gładko ściekające z pióra — czytając je miało się wrażenie, że pisywał takie rzeczy przedtem wiele razy.

Sally wszakże była zachwycona. Napomnienia Klausa zrobiły na niej wrażenie tak dalece, że natychmiast zadzwoniła do paru stowarzyszeń filmowych, do agencji teatralnej i do pół tuzina znajomych „z branży”. Nie konkretnego z tego nie wyszło, to prawda, ale przez następną dobę nie opuszczał jej optymizm, nawet w jej snach, jak mi się zwierzyła, roilo się od kontraktów i czterocyfrowych liczb na czekach. — To fantastyczne uczucie, Chris, wiem, że teraz posuwam się naprzód i że zostanę najwspanialszą aktorką, jaką widział świat.

Ktoregoś ranka, w jakiś tydzień potem, wszedłem do pokoju Sally i zastałem ją z listem w ręku. Od razu rozpoznałem pismo Klausa.

— Dzień dobry, Christoferku.

— Dzień dobry, Sally.

— Jak ci się spało? — zagadła nienaturalnie wesołym, gawędziarskim tonem.

— Dobrze, dziękuję. A tobie?

— Nie najgorzej... Wredna pogoda, co?

— Tak. — Podeszedłem do okna, żeby wyjrzeć. Rzeczywiście.

Sally uśmiechnęła się, jakby zapraszała do rozmowy. — Czy ty wiesz, co ta świnią zrobiła?

— Jaka świnią? — Nie chciałem się wrywać.

— Och, Chris, na miłość boską, nie bądź taki tępy!

— Przepraszam. Zdaje się, że za wolno dziś kojarzę.

— Nie będę sobie zawracać głowy wyjaśnieniem, mój drogi. — Sally podała mi list. — Masz, przeczytaj. Psiakrew, co za bezczelność! Czytaj na głos. Chcę posłuchać, jak to brzmi.

„*Mein liebes, armes Kind*” — tak się zaczynało. Klaus nazwał Sally kochaną, biedną dzieciną, bo, jak tłumaczył, bał się, że to, co jej ma do powiedzenia, zmartwi ją okropnie. Jednakże musi to powiedzieć; musi wyznać, że powziął decyzję. Niech jej się nie zdaje, że łatwo mu to przyszło — była to decyzja bardzo trudna i bolesna. A przy tym wszystkim wie, że postępuje słusznie. Jednym słowem, muszą się rozstać.

„Rozumiem teraz — pisał — że postępowałem bardzo samolubnie. Myślałem tylko o własnych przyjemnościach. Dziś pojmuję, że musiałem mieć na ciebie zgubny wpływ. Moja maleńka, za bardzo się we mnie rozkochałaś. Gdybyśmy byli dalej razem, wkrótce zatraciłabyś własną wolę i rozum.” — Dalej nastąpiły rady, żeby Sally poświęciła się pracy. „Tylko praca jest coś warta, sam to odkryłem.” Bardzo mu zależy na tym, żeby Sally niepotrzebnie się nie zdręzczała: „Musisz być dzielna, Sally, moja biedna, kochana dziecinko”.

Na samym końcu listu wyszło szydło z worka:

„Zostałem zaproszony przed paroma dniami na przyjęcie do lady Klein, która przoduje wśród angielskiej

arystokracji. Poznałem tam bardzo piękną i inteligentną młodą Angielkę, pannę Gore-Eckersley. Jest spokrewniona z angielskim lordem, którego nazwiska nie dosłyszałem — pewnie będziesz wiedziała, o kogo chodzi. Spotkaliśmy się jeszcze potem dwukrotnie i rozmawiało nam się cudownie o wielu różnych sprawach. Chyba nie spotkałem dotąd dziewczyny, która by rozumiała moje myśli tak jak ona.

— To dla mnie nowość — przerwała Sally z gorzkim śmiechem. — Nigdy bym nie przypuszczała, że ten chłopak w ogóle myśli.

W tym momencie przerwała nam Frł. Schroeder, która węsząc jakieś sekrety, przyszła zapytać, czy Sally nie zechciałaby się wykapać. Skorzystałem z tej okazji i pozostawiłem je same.

— Nie mogę się gniewać na tego durnia — powiedziała parę godzin później Sally, krążąc po pokoju i paląc zapamiętałe. — Po prostu jest mi go żal, trochę tak, jakbym była jego matką. Ale co, u diabła, będzie z j e g o pracą, jeśli pozwoli tym kobietom się omotać, tego nie potrafię sobie wyobrazić.

Zrobiła następną turę po pokoju.

— Myślę, że gdyby się wdał w romans z inną kobietą i gdyby to zaniósł się na dłużej, i dopiero wtedy by o tym mi powiedział, bardziej by mnie zranił. Ale ta dziewczyna! Skądże! Nie sądzę nawet, żeby była jego kochanką.

— Pewnie, że nie — przytaknałem. — Słuchaj, może byśmy zjedli Ostrygi Prerii?

— Jesteś cudowny, Chris! Zawsze myślisz o tym co trzeba. Szkoda, że nie w tobie się zakochałam. Klaus nie jest wart twojego małego paluszka.

— Wiem o tym.

— I ma, psiakrew, czelność — zawołała Sally, łykając sos Worcester z butelki i oblizując górną wargę — mówić, że go ubóstwiałam!... A najgorsze z tego wszystkiego, że to prawda!

Tego samego wieczoru, gdy wszedłem do jej pokoju, miała przed sobą papier i pióro.

— Napisałam do niego milion listów i wszystkie podarłam.

— To bez sensu, Sally. Chodźmy do kina.

— Masz rację, moje złotko. — Sally wytarła oczy różkiem maleńkiej chusteczki. — Nie ma się co przejmować, prawda?

— Absolutnie.

— A ja i tak będę wielką aktorką... Choćby po to, żeby mu pokazać!

— To rozumiem!

Poszliśmy do małego kina na Biilowstrasse, gdzie wyświetlano film o dziewczynie, która poświęciła karierę aktorki dla Wielkiej Miłości, Domu i Dzieci. Rozśmieszyło nas to tak serdecznie, że musieliśmy wyjść przed końcem.

— Czuję się teraz o całe niebo lepiej — oznajmiła Sally, gdyśmy wychodzili.

— Cieszę się.

— Może zresztą nie byłam w nim aż tak bardzo zakochana... jak myślisz?

— Mnie raczej trudno się o tym wypowiadać.

— Często myślałam, że jestem w kimś zakochana, a później się okazywało, że nie. Ale tym razem — w głosie Sally brzmiała nutka żalu — byłam tego najzupełniej pewna... A teraz wszystko mi się jakoś pokręciło...

— Może to skutek szoku — podsunąłem.

Sally bardzo się ta sugestia spodobała. — A wiesz, chyba rzeczywiście! ...Ty, Chris, rozumiesz kobiety fantastycznie, jak żaden z mężczyzn, których spotkałam... Jestem przekonana, że kiedyś napiszesz precudowną powieść, która będzie się rozchodzić w milionach egzemplarzy.

— Dziękuję ci, że we mnie wierzysz, Sally!

— A czy ty wierzysz we mnie, Chris?

— Oczywiście.

— Nie, ale serio...

— Hmm... Jestem całkiem pewien, że osiągniesz nadzwyczajny sukces w czymś... tylko nie bardzo wiem, co to będzie... Chodzi mi o to, że mogłabyś robić tyle rzeczy, gdybyś tylko spróbowała.

— Chyba tak. — Sally zamyśliła się. — Przynajmniej tak mi się czasem zdaje... A znowu innym razem mam wrażenie, że jestem do niczego... Żeby nie móc utrzymać przy sobie faceta nawet miesiąc!

— Och, Sally, nie wracajmy już do tego!

— Dobra, Chris, nie będziemy do tego wracać. Chodźmy na drinka.

Przez następnych parę tygodni prawie całe dni spędzaliśmy razem. Sally, zwinięta na kanapie w wielkim obskurnym pokoju, paliła papierosy, popijała Ostrygi Prerii i w nieskończoność rozprawiała o przyszłości. Przy ładnej pogodzie, kiedy nie miałem lekcji w planie, przechadzaliśmy się aż do Wittenbergplatz i siadaliśmy na ławce w słońcu, obgadując przechodniów. Wszyscy gapili się na Sally — Sally w kanarkowym berecie i wytartym futrze przypominającym sierść sparszywiałego psiska.

— Ciekawa jestem — mawiała z upodobaniem — co by oni powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, że my, dwoje starych włóczykiów, to przyszły najwspanialszy powieściopisarz i największa aktorka świata.

— Byliby pewnie bardzo zaskoczeni.

— Myślę, że kiedyś, jak już będziemy się rozbijać mercedesem, popatrzymy wstecz na te dzisiejsze czasy i uznamy, że mimo wszystko nie było tak najgorzej.

— Nie byłoby najgorzej, gdybyśmy już dzisiaj mieli tego mercedesa.

Mówiliśmy nieustannie o bogactwie, sławie, wielkich kontraktach dla Sally i niezliczonych, bijących wszelkie rekordy nakładach moich przyszłych powieści.

— To chyba coś cudownego — rozważała głośno Sally — być powieściopisarzem. Jesteś przeraźliwie marzycielski, niepraktyczny, nie masz głowy do interesów i ludzie wyobrażają sobie, że mogą kantować cię do woli, a ty tymczasem siadasz i piszesz książkę, która pokazuje bez

osłonek, jakie to z nich świnię, i ta książka przynosi ci niesamowitą sławę, i zarabiasz moc pieniędzy...

— Kłopot tylko w tym, że nie jestem dostatecznie marzycielski...

— ...Gdyby mi się udało namotać sobie naprawdę bogatego gacha! Poczekaj no, zaraz... Zażądałabym nie więcej niż trzy tysiące rocznie, do tego mieszkanie i samochód jak się patrzy. Dziś wszystko bym dała, żeby być bogatą. Jak jesteś bogaty, to stać cię na to, żeby spokojnie sobie czekać na porządny kontrakt. Nie musisz łapać byle czego... Rzecz jasna, byłabym absolutnie wierna facetowi, który by mnie utrzymywał...

Sally mówiła takie rzeczy z największą powagą i najwyraźniej w nie wierzyła. A w ogóle była w jakimś dziwnym stanie, niespokojna, podenerwowana. Ni stąd, ni zowąd wybuchała gniewem, bez przerwy mówiła o tym, że musi sobie znaleźć pracę, lecz nie kiwnęła palcem, by to zrobić. Nadal jednak otrzymywała te swoje przekazy, a przy tym żyliśmy bardzo oszczędnie, gdyż Sally nie miała ochoty nigdzie wychodzić wieczorami ani widywać kogokolwiek. Raz przyszedł na herbatę Fritz. Zostawiłem ich wkrótce samych, żeby pójść do siebie i napisać list. Kiedy wróciłem, Fritza już nie było, a Sally tonęła we łzach.

— Ten facet mnie potwornie n u d z i ! — chlipała.

— Nienawidzę go! Najchętniej bym go ukatrupiła!

Ale już po chwili rozpozgodziła się zupełnie. Zacząłem mieszać nieodłączną Ostrygę Prerii. Sally, zwinięta w kłębek na kanapie, paliła w zamyśleniu.

— Ciekawe — powiedziała nagle — czy ja jestem w ciąży.

— Wielki Boże! — omal nie wypuściłem szklanki z ręki.

— Serio to podejrzewasz?

— Nie wiem. U mnie to trudno powiedzieć, ja tak nieregularnie... Czasami mam nudności. Może zjadłam coś takiego...

— Czy nie lepiej, żebyś poszła do lekarza?

— O, tak, zapewne — Sally ziewnęła apatycznie. — Nie ma co się spieszyć.

— Właśnie że trzeba się pośpieszyć! Jutro idziesz do lekarza!

— Słuchaj no, Chris, kim ty właściwie jesteś, do pioruna, że wydajesz mi rozkazy? Żałuję, że w ogóle coś

wspomniałam na ten temat! — Sally znów była bliska łez.

— Och, dobrze już, dobrze! — próbowałam ją czym prędzej uspokoić. — Rób, co chcesz. To nie moja sprawa.

— Przepraszam cię, kochanie. Nie chciałam cię urazić. Zobaczę, jak się będę czuła rano. Może w końcu pójde do tego lekarza.

Ale oczywiście tego nie zrobiła. Nazajutrz, co prawda, wyglądała znacznie lepiej. — Chodźmy gdzieś wieczorem, Chris. Ten pokój przyprawia mnie o mdłości. Chodźmy do świata, do blasku!

— Masz rację, naturalnie. A gdzie byś chciała pójść?

— Chodźmy do „Trojki” pogadać z tym cymbałem Bobby’em. Może nam postawi drinka, nigdy nie wiadomo!

Bobby nie postawił nam żadnego drinka, ale pomysł był dobry, jak się okazało, bo właśnie tam, w „Trojce”, siedząc przy barze, nawiązaliśmy znajomość z Clive’em.

Odtąd już prawie się z nim nie rozstawaliśmy, towarzyszyliśmy mu albo pojedynczo, albo razem. Nigdy nie widziałem go trzeźwego. Mówił, że wypija pół butelki whisky przed śniadaniem, i nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć. Często próbował nam tłumaczyć, dlaczego tyle pije — otóż pije, bo jest bardzo nieszczęśliwy. Ale dlaczego był taki nieszczęśliwy, nigdy nie zdołałem się dowiedzieć, bo Sally mu stale przerywała: a to, że czas do domu, albo czas przenieść się do innej knajpy, albo może byśmy zapalili czy wypili jeszcze jedną whisky. Sally piła niemal równo z nim, a choć na pozór nigdy się nie upijała, oczy jej niekiedy wyglądały przeraźliwie, jak ugotowane. Z każdym dniem warstwa szminki na jej twarzy stawała się jakby grubsza.

Clive był przystojnym, potężnym mężczyzną w ociężałym romańskim typie i odrobinę już zaczynał tyć. Otaczała go ta smętna amerykańska aura nieuchwytności, zawsze pociągająca, a już podwójnie u człowieka, który ma tyle pieniędzy. Był trudny do określenia, marzycielski, nieco zagubiony; niby to chciał dobrze się zabawić, lecz nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. Sprawiał wrażenie, że nigdy nie jest całkiem pewien, czy rzeczywiście dobrze się bawi, czy to, co wyprawiamy, jest n a p r a w d ę śmieszne. Ciągłe trzeba go było o tym przekonywać. Czy to b y ł dobry towar? Czy to była ta szampańska balanga, którą mu gwarantowali? Była? Tak, tak, oczywiście, było cudownie! Wspaniale! Cha, cha, cha! Jego gromki śmiech uczniaka wybuchał, wracał echem, stawał się nieco wymuszony i gasł raptownie na tej niepewnej, pytającej nutce. Clive nie odważyłby się zrobić kroku bez naszego wsparcia. A jednak, nawet gdy się do nas odwoływał, miałem wrażenie, że dostrzegam czasem jakieś osobliwe, chytre, sarkastyczne błyski. Co on naprawdę o nas myślał?

Każdego ranka Clive przysyłał wynajęty samochód, który nas zabierał do jego hotelu. Szofer przynosił zawsze piękny bukiet kwiatów z najdroższej kwiaciarni na Linden. Któregoś razu miałem odbyć lekcję, więc uzgodniłem z Sally, że dołączę do nich później. Kiedy przyjechałem do hotelu, okazało się, że oboje wyszli wcześniej z zamiarem polecenia do Drezna. Czekał na mnie bilecik od Clive’a, który przeproszał najgoręcej i prosił, żebym zjadł lunch w hotelowej restauracji na jego rachunek. Nie skorzystałem z tego jednak. Obawiałem się wymownego spojrzenia starszego kelnera. Wieczorem wrócili i Clive przywiózł mi prezent: sześć jedwabnych koszul w pakiecie. „Chciał ci kupić złotą papierośnicę — szepnęła mi do ucha Sally — ale mu powiedziałam, że lepsze byłyby koszule. Te twoje są w takim stanie... A poza tym musimy na razie działać bez pośpiechu. Po co ma sobie pomyśleć, że ciągniemy z niego forszę...”

Przyjąłem z wdzięcznością te koszule, bo cóż miałem robić? Clive zepsuł nas doszczętnie. Rozumiało się samo przez się, że chce zainwestować pieniądze w karierę sceniczną Sally. Często o tym mówił, tak niekrepująco, od niechcenia, jakby chodziło o drobnostkę, którą trzeba załatwić bez rozgłosu, ot, tak, między przyjaciółmi. Ale ledwie do tego tematu nawiązywał, już jego uwaga jakby znów gdzieś się rozprasała — myśli pierzchały w różne strony jak u dziecka. Nieraz widziałem, że Sally z największym trudem ukrywa zniecierpliwienie. „Zostaw nas na chwilkę samych, kochanie — szepnęła do mnie. — Musimy z Clive’em pogadać o interesach.” Ale choćby i najtaktowniej usiłowała doprowadzić rzecz do sedna, nigdy właściwie nic nie osiągała. Kiedy wracałem po półgodzinie, zastawałem Clive’a uśmiechniętego, popijającego swoją whisky, a i Sally też się uśmiechała, chcąc ukryć najwyższą irytację.

— Uwielbiam go — zapewniała nieodmiennie i z całym przekonaniem, gdy byliśmy sami. Świecie w to wierzyła. Jak w dogmat dopiero co przyjętej wiary: Sally uwielbia Clive’a. Uwielbiać milionera to bardzo podniosłe przedsięwzięcie. Rysy Sally coraz częściej zaczynały przybierać wyraz nabożnego zachwyty, typowy dla zakonnicy z teatralnej sceny. Bo co tu mówić, kiedy Clive, z tą swoją czarująco nieodgadnioną miną, dawał wyjątkowo cuchnącemu, zawodowemu żebrakowi dwudziestomarkowy banknot, wymienialiśmy z Sally spojrzenia pełne niekłamanego podziwu. Zmarnotrawienie takiej sumy działało na nas oboje jak jakiś czyn natchniony, jakiś rodzaj cudu.

Zdarzyło się kiedyś popołudnie, kiedy to Clive wydawał się trzeźwiejszy niż zazwyczaj. Zaczął robić plany. Za parę dni mieliśmy wszyscy troje wyjechać z Berlina już na amen. Orient Express zawiezie nas do Aten. Stamtąd

polecimy do Egiptu. Z Egiptu do Marsylii. Z Marsylii statkiem do Południowej Ameryki. Potem Taiti, Singapur, Japonia. Clive wymieniał te nazwy, jakby to były stacje kolei Wannsee, jako rzecz całkiem naturalną — był tam już przecież, znał to wszystko. Jego rzeczowość połączona ze znudzeniem stopniowo nadawała realności tej niedorzecznej gadaninie. Ostatecznie mógł to zrobić. Zacząłem serio wierzyć, że naprawdę ma taki zamiar. Jednym gestem hojnej ręki mógł zmienić bieg naszych żywotów.

Co by się stało z nami? Postawiwszy pierwszy krok, już byśmy nie zawrócili. Nigdy nie moglibyśmy go zostawić. Z Sally by się ożenił, to jasne. Ja natomiast pełniłbym jakąś nieokreśloną funkcję, coś w rodzaju prywatnego sekretarza bez obowiązków. W przelotnej wizji ujrzałem nagle siebie po dziesięciu latach, we flanelowym garniturze, biało-czarnych pantoflach, z mocno zaokrąglonym podbródkiem i nieco szklistym spojrzeniem, siebie nalewającego drinka w sali klubowej jakiegoś kalifornijskiego hotelu.

— Chodźmy popatrzeć na pogrzeb — zaproponował Clive.

— Jaki pogrzeb, kochanie? — cierpliwym głosem zapytała Sally. Taki wtęty był czymś nowym.

— Jak to? Nie zauważyliście?! — zaśmiał się Clive. — Niezwykle wytworny pogrzeb. Trwa już od godziny.

Wszyscy troje wyszliśmy na balkon jego pokoju. Rzeczywiście, ulica pod nami była zatłoczona. Odprowadzano na cmentarz Hermanna Mullera. Zastępy bladych, sztywnych urzędników, rządowych dygnitarzy, związkowych sekretarek — cały ten bezbarwny, znużony pochód pruskiej socjaldemokracji włókł się pod swymi sztandarami w stronę majaczącego w dali łuku Bramy Brandenburskiej, gdzie powiewały z wolna na wieczornym, lekkim wietrze długie czarne proporce.

— Słuchajcie, a tak w ogóle, kto to był ten facet?

— spytał Clive, spoglądając na dół. — Wygląda, że to jakaś wielka szyszka?

— A kto go tam wie — i Sally ziewnęła przy tym wyjaśnieniu. — Popatrz, kochany, prawda, jaki wspaniały zachód słońca?

Miała rację. Nic nas nie łączyło z tymi Niemcami, maszerującymi tam w dole, ani z nieboszczykiem w trumnie, ani ze słowami na porporcach. Za parę dni, pomyślałem, utracimy poczucie wspólnoty z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami ludności tego świata, z kobietami i mężczyznami, którzy pracują na swoje utrzymanie, ubezpieczają swoje życie i troszczą się o przyszłość swoich dzieci. Być może w średniowieczu ludzie czuli się tak samo, gdy byli przekonani, że zaprzędali duszę diabłu; uczucie niezwykle, pobudzające, całkiem przyjemne. Choć jednocześnie odczuwałem pewien lęk. Tak, powiedziałem sobie w duchu, już się stało: jestem zgubiony.

Nazajutrz rano przyjechaliśmy do hotelu o zwykłej porze. Portier zmierzył nas spojrzeniem, jak mi się zdawało, dosyć dziwnym.

— Z kim pani się chciała widzieć, *madame*?

Pytanie brzmiało tak niezwykle, że roześmieliśmy się oboje.

— Jak to? Numer 365, oczywiście — odparła Sally.

— Z kimże by innym? Jeszcze pan nas nie zna?

— Obawiam się, że to niemożliwe, *madame*. Pan z 365 wyjechał wcześniej rano.

— Wyjechał? Znaczący wybrał się gdzieś na cały dzień? Ale heca! O której wróci?

— Nic nie mówił o powrocie. Wybierał się do Budapesztu.

Podczas gdy tak staliśmy wybałuszając oczy na portiera, podbiegi do nas boy hotelowy z bilecikiem.

„Kochani Sally i Chris — głosił karteluszek — nie mogę dłużej ścierpieć tego cholernego miasta, więc odpływam, Clive. (To na wypadek, jeśli o czymś zapomniałem.)

W kopercie było trzysta marek. One to, jak też więdnące kwiaty, cztery pary pantofli i dwa kapelusze Sally (zakup w Dreźnie) oraz moich sześć koszul stanowiły cały nasz łup z wizyty Clive'a. Sally z początku była rozwścieczona. Po jakimś czasie jednak zaczęliśmy się śmiać oboje.

— Wiesz co, Chris, obawiam się, że z nas kiepscy naciągacze, nie sądzisz, złotko?

Niemal całą resztę dnia spędziliśmy na rozważaniach, czy wyjazd Clive'a był starannie obmyślonym wybiegiem. Ja byłem raczej przeciwnego zdania. Przypuszczałem, że każde nowo poznane miasto i każdą nową paczkę znajomych opuszcza mniej więcej w ten sam sposób. Miałem dla niego wiele zrozumienia.

Teraz powstał problem, jak wydać te pieniądze. Sally zdecydowała, że dwieście pięćdziesiąt marek pójdzie na

jakieś nowe szmatki, a pięćdziesiąt wieczorem przeputamy.

Ale przeputanie pięćdziesięciu marek to nie był wcale taki ubaw, jak sobie wyobrażaliśmy. Sally źle się poczuła i nie mogła zjeść zamówionej przez nas wspianiałej kolacji. Straciliśmy oboje humor.

— Wiesz co, Chris, zaczynam podejrzewać, że mężczyźni zawsze mnie będą opuszczali. Im więcej o tym myślę, tym więcej sobie przypominam mężczyzn, którzy mnie rzucili. To potworność, wierz mi.

— Ja ciebie nigdy nie opuszczę, Sally.

— Naprawdę, kochany?... Ale mówiąc serio, mam wrażenie, że jestem czymś w rodzaju Kobiety Idealnej, jeśli wiesz, co mam na myśli. Jestem kobietą, która potrafi odebrać mężów żonom, ale nigdy nie potrafiłam zatrzymać któregoś z nich na dłużej. Dlatego, że jestem typem, o jakim każdy facet marzy, chciałby mnie mieć, póki mnie nie dostanie. Po czym się okazuje, że w gruncie rzeczy wcale mu na mnie nie zależy.

— Hmm, lepiej już tak, niż żebyś była Brzydkim Kaczątkiem o Złotym Sercu, nie uważasz?

— ... Dałabym sobie po łbie za to, jak postępowałam z Clive'em. Nie powinnam była tak go molestować o pieniądze. Myślałam pewnie, że jestem zwykłą małą kurewką, taką jak wszystkie inne. A ja naprawdę go wielbiłam... w pewnym sensie... Gdybym za niego wyszła za mąż, zrobiłabym z niego człowieka. Już ja bym się postarała o to, żeby przestał pić.

— Świeciłabyś mu przykładem. Roześmieliśmy się.

— Ta stara świnią mogła mi przynajmniej zostawić przyzwoity czek.

— Co tam, kochanie... Świat nie kończy się na Clive'ie.

— Wszystko mi jedno. Mam dosyć tego swojego kurewstwa. Nigdy już nie spojrzę na faceta nadzianego.

Nazajutrz rano Sally czuła się paskudnie. Przypisywaliśmy to oboje popijawie. Przeleżała w łóżku całe przedpołudnie, a kiedy się podniosła, zemdląła. Chciałam natychmiast sprowadzić lekarza, ale się sprzeciwiła. Po południu znów zasłała i wyglądała potem tak mizernie, że posłaliśmy z Fr. Schroeder po lekarza, już nie pytając jej o zdanie.

Lekarz zabawił u niej długo. Siedzieliśmy z Fr. Schroeder w saloniku, czekając na diagnozę, lecz ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu wybiegł nagle z mieszkania, nie zajrzawszy nawet do nas, żeby się pożegnać. Poszedłem natychmiast do pokoju Sally. Siedziała na łóżku z uśmiechem przyklepionym do twarzy.

— Chris, złociutki, wpuścili mnie w maliny.

— Co to znaczy?

Sally próbowała się roześmiać.

— On mówi, że jestem w ciąży.

— O mój Boże!

— Nie rób takiej przerażonej miny, kochany! Ja się trochę tego spodziewałam.

— To pewnie z Klausem?

— Tak.

— I co masz zamiar zrobić?

— Pozbyć się tego, oczywiście. — Sally sięgnęła po papierosa. Siedziałem wpatrując się głupawo we własne pantofle.

— A czy ten lekarz...

— Nie, nie zechce. Zapytałam go od razu. Strasznie go to zaszokowało. Powiedziałam: „Mój drogi panie, jak pan sobie wyobraża, co się stanie z tym nieszczęsnym dzieckiem, jeśli się urodzi? Czy ja wyglądam na taką, co mogłaby być dobrą matką?”

— A co on na to?

— Widać dla niego to nie ma nic do rzeczy. On ma na względzie tylko swoją zawodową reputację.

— W takim razie musimy znaleźć kogoś, kto nie ma żadnej zawodowej reputacji, ot i cała sprawa.

— Chyba najlepiej, jak zapytamy Fr. Schroeder — oświadczyła Sally.

Poradziliśmy się więc Frl. Schroeder. Całkiem dobrze to przyjęła: była przerażona, ale nad wyraz rzeczowa i praktyczna. Tak, zna kogoś takiego. Przyjaciółka pewnej znajomej jej przyjaciółki miała raz kłopoty. I lekarz okazał się w pełni kompetentny, niezwykle biegły w swojej sztuce. Szkopuł tylko w tym, że może być bardzo drogi.

— Dzięki Bogu — wykrzyknęła Sally — że nie wydaliśmy wszystkich pieniędzy tego świntucha Clive'a!

— Ale to chyba Klaus powinien...

— Słuchaj, Chris, pozwól, że ci powiem raz na zawsze: jeśli cię złapię na tym, że piszesz w tej sprawie do Klause, nigdy ci tego nie wybaczę i nie zamienię z tobą więcej ani słowa!

— Och, dobrze już, dobrze... Jasne, że nie napiszę. Tak tylko podsunąłem...

Lekarz mi się nie podobał. Wciąż tylko głaskał i ścisnął ramię Sally, miętosił jej rękę. Jednakże robił wrażenie właściwego człowieka do takiego zadania. Sally miała się udać do jego prywatnej kliniki, gdy tylko zwolni się tam dla niej miejsce. Wszystko jak najbardziej oficjalnie, uczciwie. W paru gładkich zdaniach zręczny mały doktorek rozproszył groźny cień nielegalności. Stan zdrowia Sally, tłumaczył, całkowicie wyklucza podjęcie ryzyka rodzenia — zostanie to pisemnie poświadczono. Nie trzeba dodawać, że takie zaświadczenie będzie kosztowało sporo. Podobnie jak klinika i sam zabieg. Doktor zażądał dwustu pięćdziesięciu marek z góry, zanim przystąpi do działania. Ostatecznie zgodził się na dwieście. Sally potrzebowała dodatkowo pięćdziesięciu, jak mi później wyjaśniła, na nową nocną koszulę.

Nareszcie przysza wiosna. Kawiarnie powykładały drewniane platformy na chodnikach, otwierały się lodziarnie z wirującymi kolorowymi wiatraczkami. Pojechaliśmy do kliniki otwartą taksówką. Piękna pogoda poprawiła Sally humor, kiepski od tygodni. Za to Frl. Schroeder była bliska płaczu, mimo że dzielnie próbowała się uśmiechać. „Mam nadzieję, że ten doktor nie jest Żydem? — zapytała mnie groźnie Frl. Mayr. — Nie pozwólcie jej dotknąć żadnemu z tych parszywców. Oni zawsze chcą robić na tym interesy, te bydlaki!”

Sally dostała ładny pokój, czysty i pogodny, z balkonem. Odwiedziłem ją jeszcze raz, wieczorem. Bez makijażu, w łóżku, wyglądała o całe lata młodziej, jak mała dziewczynka.

— Cześć, kochanie... Jeszcze mnie nie ukatrupili, jak widzisz. Ale są na najlepszej drodze... Śmieszny przybytek, no nie? ...Chciałabym, żeby ta świnka Klaus mnie teraz widział... Oto są skutki, kiedy się nie rozumie jego myśl i...

Była trochę rozgorączkowana i śmiała się co chwila. Na moment weszła któraś z pielęgniarek, jakby czegoś szukała, i prawie natychmiast wyszła.

— Wyłąziła ze skóry, żeby cię zobaczyć — objaśniła Sally. — Bo widzisz, ja jej powiedziałam, że ty jesteś ojcem. Chyba ci to nie przeszkadza, kochany...

— Ależ skąd. To komplement.

— W ten sposób wszystko jest o wiele prostsze. Bo inaczej, jak nie ma nikogo takiego, wydaje im się to niezwykle dziwne. A ja nie chcę, żeby się nade mną litowali jak nad biedną zdradzoną dziewczyną, porzuconą przez kochanka. To dla mnie nic szczególnie pochlebnego, nie uważasz? Więc powiedziałam jej, że się kochamy na zabój, tylko straszliwie brakuje nam pieniędzy, by się pobrać, i że marzymy o czasach, gdy będziemy już sławni i bogaci, i że sprawimy sobie wtedy dziesięcioro dzieci za to jedno. Siostrzyczka okropnie się wzruszyła, biedactwo, nawet się popłakała. Wieczorem, jak będzie miała dyżur, pokaże mi zdjęcia s w o j e g o chłopca. Prawda, jak to miło?

Nazajutrz wybrałem się do kliniki razem z Frl. Schroeder. Sally leżała na wznak, przykryta kołdrą aż pod brodę.

— A, witajcie! Może usiądziecie? Która godzina?

— Przekręciła się niespokojnie na łóżku i przetrzała oczy.

— Skąd te wszystkie kwiaty?

— Przynieśliśmy.

— Jesteście fantastyczni! — uśmiechnęła się obojętnie.

— Przepraszam, że jestem dziś taka ogłupiała... To ten drański chloroform... Głowę mi rozsadza.

Posiedzieliśmy tylko parę minut. W drodze powrotnej Frl. Schroeder powiedziała z wielkim zatroskaniem: — Niech mi pan wierzy, Herr Issyvoo, że serce mnie boli, jakby to była moja własna córka. Kiedy widzę, jak cierpi to biedactwo, wołałabym sama tam leżeć zamiast niej, naprawdę!

Nazajutrz Sally czuła się już znacznie lepiej. Odwiedziliśmy ją wszyscy razem: Frl. Schroeder, Frl. Mayr, Bobby i Fritz. Fritz oczywiście nie miał zielonego pojęcia o tym, co się naprawdę wydarzyło. Powiedzieli mu, że Sally usunięto wewnętrzny mały wrzodzik. I jak to zwykle bywa z osobami nie wtajemniczonymi, bez żadnych złych intencji, za to z uderzającą trafnością napomykał ciągle o bocianach, o rozwieszonych pieluchach, wózkach dziecięcych, w ogóle o niemowlętach; opowiedział nawet o pikantnym nowym skandaliku dotyczącym pewnej znanej damy z berlińskiego towarzystwa, o której mówiono, że poddała się niedawno nielegalnemu zabiegowi. Oboje z Sally uciekaliśmy od siebie oczami.

Następnego dnia wieczorem odwiedziłem ją w klinice po raz ostatni. Rano miała wyjść. Była sama, więc usiedliśmy na balkonie. Czuła się już chyba nie najgorzej, mogła chodzić po pokoju.

— Powiedziałam siostrze, że nie chcę dziś nikogo widzieć oprócz ciebie. — Sally ziewnęła apatycznie. — Ludzie tak mnie męczą.

— Może wolałabyś, żebym ja też sobie poszedł?

— O, nie — zaprzeczyła Sally bez większego przekonania. — Jeśli pójdziesz, to zaraz wejdzie któraś pielęgniarka i zacznie pogawędkę. A jeśli nie okażę dosyć animuszu, to powiedzą, że muszę zostać w tej piekielnej instytucji jeszcze parę dni, a tego bym nie wytrzymała.

Zapatrzyła się smętnie na cichą ulicę.

— Wiesz, Chris, żal mi poniekąd, że nie urodziłam tego dziecka... Chyba cudownie by było je urodzić. Ostatnimi dniami próbowałam sobie wyobrazić, jakie to uczucie być matką. Wczoraj wieczorem siedziałam tutaj długo sama i trzymałam w ramionach tę poduszkę, jakby to było moje maleństwo. I doznałam fantastycznego uczucia, jak gdyby odgrodzienia od całej reszty świata. Wyobraziłam sobie, jak ono by się rozwijało i jak ja bym na nie pracowała, jak bym wieczorami układała je do snu, a potem szła oddawać się każdemu obleśnemu staruchowi, żeby zarobić na jego wyżywienie i ubranie... Dobrze ci się śmiać, Chris... Ja naprawdę tak sobie dumalam!

— No to czemu nie wyjdiesz za mąż i nie urodzisz dziecka?

— Czy ja wiem... Mam wrażenie, że straciłam wiarę w mężczyzn. Po prostu w ogóle ich nie potrzebuję... Nawet ty, Christopher, gdybyś teraz wyszedł na ulicę i wpadł pod taksówkę... Byłoby mi poniekąd przykro, naturalnie, ale w gruncie rzeczy niewiele by mnie to obeszło.

— Dziękuję ci, Sally. Roześmieliśmy się oboje.

— Nie to chciałam powiedzieć, oczywiście. W każdym razie, nie do ciebie piję, kochanie. Nie miej mi za złe tego, co ja wygaduję, kiedy jestem w takim stanie. Przeróżne wariactwa przychodzą mi do głowy. Dziecko robi z kobiety istotę straszliwie prymitywną, coś jak dzikie zwierzę, które broni swoich małych. Kłopot tylko w tym, że ja nie mam kogo bronić... Pewnie dlatego jestem teraz taka rozjuszona na każdego...

Po trosze skutkiem tej rozmowy, jeszcze tego wieczoru postanowiłem nagle zrezygnować ze wszystkich lekcji, czym prędzej wynieść się z Berlina do jakiejś miejscowości nadbałtyckiej i spróbować zabrać się do roboty. Od Bożego Narodzenia nie napisałem prawie ani słowa.

Sally, gdy jej o tym powiedziałem, doznała pewnej ulgi, jak mi się zdawało. Oboje potrzebowaliśmy jakiejś zmiany. Coś tam niby się mówiło, że później dojedzie do mnie, ale już wtedy czułem, że tego nie zrobi. Plany miała bardzo niesprecyzowane. Może pojedzie do Paryża — powiedziała — albo w Alpy czy też na południe Francji... Jeśli zdobędzie gotówkę. — Możliwe jednak — dorzuciła — że po prostu zostanie tutaj. Będzie mi całkiem dobrze. Chyba przywykłam już do tego miasta.

Wróciłem do Berlina gdzieś w połowie lipca.

Przez ten cały czas nie wiedziałem, co się dzieje z Sally, jeśli nie liczyć pół tuzina kartek pocztowych, jakie wymieniliśmy między sobą w pierwszym miesiącu rozstania. Nie zdziwiłem się też zbytnio wiadomością, że wyprowadziła się z naszego mieszkania.

— Dobrze ją rozumiem, oczywiście. Nie mogłam jej zapewnić takich wygód, jakich miała prawo oczekiwać; a jeszcze ten brak umywalek w pokojach... — Oczy biednej Frl. Schroeder napełniły się łzami. — Choć mimo wszystko dla mnie był to straszny zawód... Frl. Bowles zachowała się bardzo ładnie, nie mogę narzekać. Uparła się, że zapłaci mi za cały lipiec. Należały mi się te pieniądze, to prawda, bo wypowiedziała mi dopiero dwudziestego pierwszego, ale sama nigdy bym się nie upomniała... To była taka czarująca młoda dama.

— Czy ma pani jej adres?

— A jakże, i numer telefonu. Zadzwoń pan do niej, oczywiście. Będzie uszczęśliwiona, jak z panem się zobaczy... Inni panowie przychodzili i odchodzili, ale pan był jej prawdziwym przyjacielem, Herr Issyvo. A

wie pan, zawsze miałam nadzieję, że się pobierzecie. Byłaby z was idealna para. Pan miał na nią taki dobry, uspokajający wpływ, a ona rozweselała pana trochę, jak już za bardzo pan się zakopywał w tych swoich książkach i badaniach... Tak, tak, Herr Issyvoo, może się pan śmiać, ale to nigdy nie wiadomo! Może jeszcze nie jest za późno!

Następnego ranka Frl. Schroeder obudziła mnie, mocno podniecona.

— Herr Issyvoo, niech pan sobie wyobrazi! Zamknęli Darmstadter und National! Tysiące ludzi pójdzie z torbami, szkoda gadać! Mleczarz mówi, że nie miną dwa tygodnie, jak będziemy tu mieli wojnę domową! I co pan na to powie?

Ubrałem się i natychmiast wyszedłem na ulicę. Rzeczywiście, przed filią banku przy Nollendorfplatz kłębił się tłum, a w nim wielu mężczyzn ze skózanymi teczkami i wiele kobiet z siatkami, kobiet podobnych do Frl. Schroeder. Żelazne kraty w oknach banku były opuszczone, a ludziska wpatrywali się jak ogłupiali w zamknięte drzwi. Na środku tych drzwi wisiała karteczka, pięknie wykaligrafowana gotyckimi literami, jakby ją wyrwano z książki jakiegoś klasyka. Napis głosił, że prezydent Rzeszy udzielił gwarancji na depozyty. Wszystko więc było w najlepszym porządku. Tylko że banku nie zamierzano otworzyć.

Jakiś chłopczyk bawił się w tym kłębowski kółkiem. Kółko wpadło na nogi którejś z kobiet i ta z miejsca zwymyślała malca: „*Du, sei bloss nicht so frech!* Bezczelny smarkacz! Czego się tu pętasz?” Druga jej zawtórowała, atakując przestraszone dziecko: „Wynoś się stąd! Nie rozumiesz?” Trzecia dorzuciła, szycząc z furią: „Może i ty masz w tym banku pieniądze?” Chłopczyk umknął przed ich bulgoczącą, z trudem hamowaną wściekłością.

Po południu zrobiło się bardzo gorąco. Przedwieczorna prasa zamieściła szczegóły nowych dekretów wyjątkowych — zwięźle, zgodnie z życzeniami rządu. Jeden alarmistyczny nagłówek, zakreślony krwistym atramentem, głosił jawnie: WSZYSTKO SIĘ WALI! Nazistowski dziennikarz przypominał swoim czytelnikom, że jutro, czternastego lipca, we Francji wypada narodowy jubel, i dodał, że w tym roku Francuzi szczególnie ochoczo będą świętowali wobec perspektywy upadku Niemiec. Poszedłem do sklepu z konfekcją męską i kupiłem sobie za dwanaście i pół marki gotowe spodnie flanelowe — gest zaufania ze strony Anglii. Potem wsiadłem do metra i pojechałem odwiedzić Sally.

Mieszkała niedaleko Breitenbachplatz, w jednym z bloków mieszczących lokale trzyizbowe, zaprojektowanych jako Kolonia Artystów. Zadzwonilem i otworzyła sama we własnej osobie.

— Helloou, Chris, ty stara świniou!

— Cześć, najmilsza!

— Jak się masz?... Uważaj, złotko, bo mnie wymiętosisz, a ja muszę wyjść za parę minut.

Nigdy dotąd nie widziałem jej od stóp do głowy w bieli. Było jej w tym do twarzy. Ale twarz jakby się postarzała, wyszczuplała. Włosy miała ostrzyżone według nowej mody i pięknie pofalowane.

— Jesteś bardzo elegancka.

— Doprawdy? — Sally przesłała mi ten swój nieśmiały, marzycielski uśmiech zadowolenia. Wszedłem za nią do saloniku. Całą jedną ścianę stanowiło okno. Stały tam jakieś drewniane sprzęty koloru wiśniowego i bardzo niski tapczan z jaskrawymi, obszytymi frędzlą poduszkami. Puszysty, biały miniaturowy piesek zerwał się na nogi i zaszczekał jazgotliwie. Sally wzięła go na ręce i wykonała serię mimicznych pocałunków, nie dotykając go ustami.

— *Freddi, mein Liebling, Du bist soo siiss!*

— To twój? — Zauważyłem jej postępy w niemieckiej wymowie.

— Nie, to Gerdy, dziewczyny, która ze mną mieszka.

— Dawno ją znasz?

— Ze dwa tygodnie.

— Jaka ona jest?

— Nie najgorsza. Tylko diabelna sknera. Muszę płacić właściwie za wszystko.

— Ładnie tutaj.

— Tak uważasz? No, chyba jest przyzwoicie. Lepiej niż w tej dziurze na Nollendorfstrasse w każdym razie.

— Dlaczego się wprowadziłaś? Pokłóciłaś się z Frl. Schroeder?

— Nie, nie o to chodzi. Tylko miałam już po dziurki w nosie tego jej gadania. Wywierciłaby mi dziurę w brzuchu. To potworna nudziara, mówię ci.

— Ona cię bardzo lubi.

Sally obojętnie, trochę niecierpliwie wzruszyła ramionami. Spostrzegłem, że przez cały czas naszej rozmowy unikała mego wzroku. Nastąpiła długa pauza. Byłem zbity z pantałyku i czemuś zakłopotany. Zacząłem się zastanawiać, w którym momencie mógłbym wyjść.

Zadzwoił telefon. Sally ziewnęła i przyciągnęła sobie aparat na kolana.

— Helloou, kto mówi? Tak, jestem... Nie... Nie... Nie mam pojęcia... naprawdę! Mam zgadywać? — Zmarszczyła nos: — Erwin? Nie? No to Paul? Nie? Zaraz, zaraz... momencik...

— A teraz, złotko, muszę pędzić! — zawołała, gdy rozmowa nareszcie się skończyła. — Spóźniłam się już jakieś dwie godziny!

— Masz nowego przyjaciela?

Ale Sally zignorowała mój uśmiezek. Zapaliła papierosa z cieniem niesmaku na twarzy.

— Mam się spotkać z jednym facetem w pewnej sprawie — oznajmiła krótko.

— A kiedy się znów zobaczymy?

— Pomyślę nad tym, kochanie... Mam tyle na głowie, akurat teraz... Jutro cały dzień będę za miastem, a pojutrze pewnie... Dam ci znać... Może niezadługo pojedę do Frankfurtu.

— Dostałaś tam pracę?

— Nie. Niezupełnie. — Sally odpowiadała krótko, tonem, który ucinął kwestię. — Tak czy owak, postanowiłam nie ubiegać się o pracę w filmie do jesieni. Należy mi się porządny wypoczynek.

— Zdaje się, że nawiązałaś mnóstwo nowych przyjaźni. W jej zachowaniu znów pojawiła się ta nieokreślona, ostrożna zdawkowość:

— Tak, chyba tak... To pewnie reakcja na te wszystkie miesiące spędzone u Frl. Schroeder, kiedy nie widziałam żywej duszy.

— Ale przez wzgląd na ciebie — w tym miejscu nie mogłem się powstrzymać od złośliwego uśmiešku — mam nadzieję, że żaden z twoich nowych przyjaciół nie trzyma pieniędzy w Darmstadter und National.

— A bo co? — zainteresowała się od razu. — Co się tam stało?

— Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że nie słyszałaś?

— Naprawdę nie słyszałam. Nigdy nie czytuję gazet, a zresztą, nie wychodziłam jeszcze dzisiaj z domu.

Opowiedziałem jej o krachu. Wyglądała na mocno przestraszona.

— Czemu, do licha — wykrzyknęła niecierpliwie — nie powiedziałeś mi tego wszystkiego wcześniej? To może być coś poważnego.

— Przepraszam cię, Sally. Byłem pewien, że już wiesz... Zwłaszcza że ostatnio obracasz się w sferach finansjery...

Zignorowała ten maleńki przytyk. Zmarszczyła brwi, pochłonięta własnymi myślami.

— Gdyby to było coś b a r d z o poważnego, Leon by zatelefonował... — wyszeptwała w końcu i ta refleksja najwyraźniej potężnie jej ulżyła.

Wyszliśmy razem i na rogu ulicy Sally złapała taksówkę.

— Takie mieszkanie na wygwizdowie to okropna niewygoda — powiedziała. — Pewnie będę miała samochód już niedługo.

— A, właśnie — dorzuciła w chwili, gdy się rozstawaliśmy — jak tam było w Ruegen?

— Kapałem się do woli.

— No, to do widzenia, złotko. Kiedyś się zobaczymy.

— Do widzenia, Sally. Baw się dobrze.

W jakiś tydzień później Sally zadzwoniła do mnie:

— Możesz przyjść zaraz, Chris? To bardzo ważna sprawa. Chcę, żebyś wyświadczył mi przysługę.

Tym razem również zastałem Sally samą.

— Chcesz zarobić trochę grosza, kochany? — brzmiało przywitanie.

— Oczywiście.

— Świetnie! Bo widzisz, to jest tak... — Była w różowym puszystym szlafrocuku i szczebiotała do utraty tchu:

— Jeden gość, mój znajomy, zakłada czasopismo. Ma być diabelnie wyszukane, coś artystycznego, z mnóstwem cudownych nowoczesnych zdjęć, kałamarze i głowy dziewczyn tam i siam, do góry nogami, wiesz, takie rzeczy... Tylko sęk w tym, że każdy numer ma prezentować jakiś wybrany kraj, dać coś w rodzaju przekroju, z artykułami o zwyczajach, obyczajach i tak dalej... No i na pierwszy ogień idzie Anglia i oni chcą, żebym napisała im artykuł o Angielskiej Dziewczynie... A ja, rzecz jasna, nie mam bladego pojęcia, co o tym powiedzieć, więc pomyślałam sobie tak: ty byś napisał jako ja i wziął pieniądze, bo mnie zależy tylko na tym, żeby nie zrobić kawału temu facetowi, co wydaje pismo, bo on później może szalenie mi się przydać...

— Dobra jest. Spróbuję.

— Och, fantastycznie!

— Na kiedy chcesz to mieć?

— Widzisz, złotko, w tym jest cały szkopuł. Muszę to mieć już zaraz... Inaczej nie ma o czym mówić, bo obiecałam mu cztery dni temu i dziś wieczór po prostu muszę mu to dać... Nie musi być bardzo długi. Jakies pięćset słów.

— Dobrze, zrobię, co się da...

— Świetnie. Cudownie... Siadaj, gdzie chcesz. Tu jest papier. Masz pióro? Aha, a tu jest słownik, w razie gdybyś nie wiedział, jak się pisze któreś słowo... Ja tymczasem się wykąpię.

Kiedy w trzy kwadranse później Sally wkroczyła ubrana jak do wyjścia, postawiłem ostatnią kropkę. Szczerze mówiąc, całkiem mi się podobał owoc mych wysiłków.

Czytała uważnie i między jej pięknie zarysowanymi kredką brwiami pojawiła się zmarszczka. Skończywszy, odłożyła rękopis z westchnieniem:

— Przykro mi, Chris, ale to nie przejdzie, mowy nie ma.

— Nie przejdzie? — Byłem autentycznie zaskoczony.

— Przyznaję naturalnie, że to jest bardzo dobre z literackiego punktu widzenia i tak dalej...

— Więc o co chodzi?

— Nie jest dość chwytliwe. — Sally wręcz ucięła sprawę. — To w ogóle nie jest rzecz, jakiej sobie życzy tamten facet.

Wzruszyłem ramionami. — Przykro mi, Sally. Zrobiłem, co mogłem. Ale dziennikarstwo to nie moja specjalność, wiesz przecie.

Nastąpiła nieprzyjemna cisza. Moja próżność została urażona.

— O rety, już wiem, kto to dla mnie robi, jak poproszę!

— zawołała nagle Sally, zrywając się na równe nogi.

— Czemu, u diabła, nie pomyślałam o nim wcześniej? Chwyciła za słuchawkę i nakręciła numer. — O, helloou, Kurt, kochanie...

W trzy minuty wyłożyła wszystko, co się tyczyło artykułu. Odkładając słuchawkę, oznajmiła triumfalnie: — Fantazja! Zaraz się do tego bierze... — Zrobiła wymowną pauzę i dodała: — To był Kurt Rosenthal.

— Kto to jest?

— Nigdy o nim nie słyszałeś? — Podrażniłem ją wyraźnie; udawała wielce zaskoczoną: — Myślałam, że się interesujesz filmem. To naj, naj, najlepszy młody scenarzysta. Zarabia kupę forsy. A to robi tylko dla mnie, oczywiście... Mówi, że podyktuje swojej sekretarce, jak się będzie golił, a potem wyśle prosto do mieszkania naczelnego... On jest bajeczny!

— Czy jesteś pewna, że tym razem będzie to rzecz, o jaką chodzi naczelnemu?

— Na pewno! Kurt to absolutny geniusz. On potrafi wszystko. Teraz właśnie pisze powieść w wolnych chwilach. Jest cholernie zajęty, może ją dyktować tylko podczas śniadania. Pokazał mi niedawno parę pierwszych rozdziałów. Głowę dam, że to najlepsza powieść, jaką kiedykolwiek w życiu czytałam.

— Czyżby?

— Uwielbiam ten gatunek pisarzy — ciągnęła Sally, starannie unikając mego wzroku. — Jest niesamowicie ambitny, pracuje całymi dniami. I potrafi napisać wszystko, wszystko, co tylko chcesz: scenariusze, powieści, sztuki, wiersze, teksty reklamowe... I nie ma ani trochę przewrócone w głowie, jak te młodzieniaszki, co to napiszą jedną książkę i już zaczynają rozprawiać o Sztuce, i myślą, że są najgenialniejszymi pisarzami, jakich świat oglądał... Dostają od nich mdłości...

Irytowała mnie, lecz nie mogłem powstrzymać się od śmiechu:

— Od kiedy to tak gwałtownie wszystko krytykujesz, Sally?

— Ciebie nie krytykuję — nie potrafiła mi jednak spojrzeć w oczy — ... właściwie.

— Tylko przyprawiam cię o mdłości?

— Nie wiem, co to jest... Chyba się jakoś zmieniłeś...

— Jak się zmieniłem?

— Trudno to wytłumaczyć... Mam wrażenie, że brakuje ci choć odrobiny energii albo woli, żeby coś osiągnąć. Jesteś takim dyletantem. To mnie irytuje.

— Przepraszam. — Ale mój pozornie żartobliwy ton brzmiał jak wymuszony. Sally zmarszczyła brwi wpatrując się w swoje małe czarne pantofelki.

— Musisz pamiętać, że jestem kobietą, Christopher. Wszystkie kobiety lubią, kiedy mężczyzna jest silny, zdecydowany, kiedy pnie się po szczeblach swej kariery. Kobieta chce mu być jak matka, osłaniać jego słabe strony, ale on musi mieć także mocne strony, takie, które mogłaby szanować... Jeśli ci kiedykolwiek będzie zależało na kobiecie, to nie radzę ci dopuścić, żeby zobaczyła, że nie masz żadnych aspiracji. Bo wtedy zacnie tobą gardzić.

— Tak, rozumiem... I na tej zasadzie dobierasz sobie przyjaciół... n o w y c h przyjaciół?

Rozwścieczyło ją to:

— Łatwo ci szydzić z moich przyjaciół, bo mają głowę do interesów. Jeśli mają pieniądze, to dlatego, że na nie zapracowali... A ty pewnie uważasz się za coś lepszego od nich?

— Tak, Sally, skoro już mnie o to pytasz. Jeśli są istotnie tacy, jak ich sobie wyobrażam, to nie przeczę.

— I tu cię przylapałam, Chris! Typowe. To mnie właśnie w tobie irytuje: jesteś zarozumiały i leniwy. Skoro mówisz takie rzeczy, powinieneś móc ich dowieść.

— Jak dowieść, że się jest lepszym od kogoś innego? Zresztą, nie o to mi chodziło. Powiedziałem, że ja uważam siebie za kogoś lepszego, a to jest tylko sprawa gustu.

Sally nie odpowiedziała. Zapaliła papierosa, lekko nachmurzona.

— Mówisz, że chyba się zmieniłem — ciągnąłem dalej. — Jeśli mam być całkiem szczery, to samo myślę o tobie.

Nie wydawała się tym zaskoczona: — Naprawdę, Christopher? Może i masz rację. Nie wiem... Albo może żadne z nas się nie zmieniło. Może po prostu widzimy siebie nawzajem takimi, jakimi naprawdę jesteśmy. Okropnie się różnimy pod wieloma względami, sam wiesz.

— Tak, zauważyłem to.

— Sądzę — Sally paliła w zamyśleniu, utkwivszy wzrok w pantoflach — że możemy w pewnym sensie wyrosnąć z siebie nawzajem odrobinę.

— Może i tak... — Uśmiechnąłem się: jej prawdziwe intencje były takie oczywiste. — W każdym razie nie ma sensu się o to sprzeczać, nie uważasz?

— Oczywiście, że nie, kochanie.

Milczeliśmy chwilę. W końcu oznajmiłem, że muszę już iść. Byliśmy teraz oboje zażenowani i uprzedzająco grzeczni.

— Nie napijesz się kawy? Może jednak?

— Nie, pięknie dziękuję.

— To może herbaty? Jest przepyszna. Dostałam ją w prezencie.

— Nie, dzięki stokrotne, Sally. Naprawdę muszę iść.

— Musisz? — W jej głosie czuło się wyraźną ulgę. — Tylko pamiętaj, zadzwoń do mnie kiedyś, nie zapomnisz?

— Nie, raczej nie.

Dopiero po wyjściu od niej, gdy już szybkim krokiem przemierzałem ulicę, spostrzegłem, jaki jestem rozszluszczony, ogarnięty wstydem. Cóż to za małe ścierweńko! Ale w końcu, wiedziałem o tym od początku — przekonywałem siebie w duchu. Nie, to nieprawda, nie wiedziałem. Pochlebiałem sobie — co tu ukrywać? — że Sally jest do mnie przywiązana. No cóż, myliłem się, jak widać. Ale czy mogę mieć jej to za złe? A jednak miałem jej to za złe, byłem na nią wściekły. Najbardziej by mnie ucieszyło w tym momencie, gdyby dostała zdrowe lanie. Byłem tak absurdalnie przygnębiony, że zacząłem się zastanawiać, czy ja sam, na swój szczególnie sposób, przez cały ten czas w niej się nie kochałem.

Ale nie, to nie była miłość — to było coś gorszego. To była najlichsza, najbardziej dziecinna odmiana zranionej próżności. Nie obchodziło mnie wcale, co ona myślała o moim artykule — no, może troszkę, ale tylko troszeczkę; moje literackie zadufanie było silniejsze od tego, co ona mogłaby powiedzieć — ale ta krytyczna ocena mnie samego! Ten straszliwy instynkt płciowy, z jakim kobiety nieomylnie kładą mężczyznę na łopatki! Na nic się zdało powtarzanie sobie, że Sally ma słownictwo i mentalność dwunastoletniej dziewczynki, że jest po prostu śmieszna. Wiedziałem tylko, że przy niej poczułem się trochę jak pozer. Bo w gruncie rzeczy czy nie byłem po trosze pozorem — choć nie dla tych niedorzecznych powodów, jakie ona podawała — ja, ze swoimi górnolotnymi przemowami do moich dorosłych uczennic i tym moim nowo nabytym socjalizmem salonowym? Byłem, a jakże. Tylko że ona tego nie wiedziała. Mogłem bez trudu jej zaimponować. I to właśnie było w tym wszystkim najbardziej upokarzające. Żle pokierowałem tą rozmową już od samego początku. Czerwieniłem się i klóciłem, zamiast być wspaniały, przekonujący, wyższy ponad wszystko, ojcowski, dojrzały. Próbowałem konkurować z tym jej małym bydlakiem, Kurtem, na jego własnym terytorium. A Sally oczywiście tylko na to czekała! Po tych wszystkich miesiącach popełniłem jeden, wręcz fatalny błąd — pozwoliłem jej dostrzec nie tylko moją nieudolność, ale i zazdrość. Tak, byłem w najpospolitszym tego słowa znaczeniu zazdrośny. Najchętniej bym siebie obił. Wstyd mnie palił od stóp do głowy.

No cóż, stało się. Teraz pozostawało tylko jedno: zapomnieć o całej tej historii. I oczywiście uważałem za rzecz całkiem wykluczoną, abym kiedykolwiek jeszcze miał się zobaczyć z Sally.

Jakieś dziesięć dni później odwiedził mnie pewnego ranka niewysoki, blady, ciemnowłosy młodzian, mówiący biegle po amerykańsku z lekkim obcym akcentem. Przedstawił się jako George P. Sandars. W B.Z. am Mittag zobaczył moje ogłoszenie, że uczę angielskiego.

— Kiedy chciałby pan rozpocząć? — zapytałem.

Ale młody człowiek energicznie potrząsnął głową. O nie, nie przyszedł, żeby pobierać lekcje, skądże. Nieco zawiedziony, czekałem uprzejmie, by wytłumaczył powód swej wizyty. Wyraźnie się z tym nie spieszył. Za to wziął oferowanego papierosa, usiadł i zaczął paplać o Stanach Zjednoczonych. Czy byłem kiedyś w Chicago? Nie? No to może słyszałem o Jamesie L. Schraube? Też nie? Młody człowiek westchnął lekko. Miał taką minę, jakby okazywał mi wielką cierpliwość, nie tylko mnie, bo i światu w ogólności. Widocznie nie byłem pierwszym tego typu interlokutorem. James L. Schraube — wyjaśnił — to w Chicago gruba ryba: jest właścicielem całego łańcucha restauracji, a także paru kin. Posiada dwie wiejskie rezydencje i jacht na jeziorze Michigan. Prócz tego co najmniej cztery samochody. W tym momencie zacząłem już bębnić palcami po stole. Przez twarz mu przemknął cień udreki. Przeprosił, że zabiera mi mój drogocenny czas; powiedział mi o panu Schraube tylko dlatego, iż sądził, że może mnie to zainteresować — w jego głosie pojawiła się lekka nagana — i dlatego, że pan Schraube, gdybym go znał, z pewnością by zaświadczył o rzetelności swego przyjaciela, Sandarsa... No ale... cóż poradzić... Czy mimo wszystko nie pożyczylbym mu dwustu marek? Potrzebuje środków na rozruch interesu. Ten interes to wyjątkowa okazja, która przejdzie mu koło nosa, jeśli do jutra rana nie wytrzaśnie skądś pieniędzy. Zwróci mi je w przeciągu trzech dni. A gdybym mu dał teraz te pieniądze, to jeszcze dziś wieczorem wróci z papierami, aby dowieść, że to nie żaden bajer.

— Nie? Cóż robić... — Nie wydawał się zbytnio zaskoczony. Natychmiast wstał, by odejść, jak biznesmen, który stracił dwadzieścia cennych minut na potencjalnego klienta. Postarał się przy tym grzecznie mi dać do zrozumienia, że to ja będę stratny, a nie on. W drzwiach przystanął na moment: Czy może znam przypadkiem jakąś aktorkę filmową? Bo on sprzedaje — traktując to jako zajęcie uboczne, oczywiście — nowy krem do twarzy, który ma specjalnie zapobiegać wysychaniu skóry od światła studyjnych reflektorów. Wszystkie

gwiazdy Hollywood już go używają, lecz w Europie jeszcze nie jest znany. Jeśli znalazłoby się z pięć aktorek, które by go używały, a także polecały, dostałyby próbki gratis i dalsze dostawy za pół ceny.

Po chwili wahania dałem mu adres Sally. Właściwie nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Po części, oczywiście, żeby się pozbyć młodzieniaszka, który wyraźnie miał ochotę z powrotem usiąść i ciągnąć dalej tę rozmowę. Po części może przez złośliwość. Sally to nie zaszkodzi, jak będzie musiała znosić jego paplaninę przez jakąś godzinę albo dwie — powiedziała mi przecież, że lubi mężczyzn z ambicjami. Może nawet dostanie słoik kremu — jeśli taki w ogóle istnieje. A jeśliby jej dotknął za te dwieście marek... to też nie miałoby większego znaczenia. Nie zwiódłby przecież niemowlęcia.

— Tylko cokolwiek pan uczyni — ostrzegłem — proszę nie mówić, że to ja pana posłałem.

Przystał na to bez wahania, lekko się uśmiechając. Musiał po swojemu tłumaczyć sobie moją prośbę, bo nie wyglądał wcale na zdziwionego. Schodząc po schodach, uchylił grzecznie kapelusza. Nazajutrz rano nie pamiętałem już w ogóle o jego wizycie.

Parę dni później zadzwoniła Sally. Wywołano mnie do telefonu w środku lekcji, więc byłem bardzo nieuprzejmy.

— Ach, to ty, Christopher, moje złotko?

— Tak, to ja.

— Słuchaj, mógłbyś do mnie wpaść zaraz?

— Nie.

— Och... — moja odmowa wyraźnie ją zaszokowała. Nastąpiła krótka pauza, po czym Sally podjęła kwestię tonem niezwyklego uniżenia: — Pewnie jesteś szalenie zajęty?

— Tak. Jestem zajęty.

— To może... nie będziesz miał mi tak straszliwie za złe, jeśli ja wpadnę do ciebie?

— Po co?

— Kochanie... — w głosie Sally brzmiała nieklamana rozpacz. — Nie mogę w żaden sposób wytłumaczyć ci tego przez telefon... To coś naprawdę poważnego.

— A, rozumiem — próbowałem przybrać możliwie nieprzyjemny ton — pewnie znowu jakiś -artykuł do czasopisma?

Ledwie to jednak powiedziałem, wybuchliśmy oboje śmiechem, mimo wszystko.

— Chris, bydlaku jeden! — zadzwonił wesolutko głosik Sally w słuchawce; zaraz jednak się opanowała: — Nie, kochany, tym razem daję ci słowo, że to coś diabelnie poważnego, jak tu stoję. — Urwała, po czym dorzuciła z naciskiem: — I ty jesteś jedyną osobą, która może pomóc.

— A, niech będzie... — roztopiłem się już prawie. — Przyjdź za godzinę.

— No więc, kochany, zacznę od samiusierikiego początku, pozwolisz?... Wczoraj rano zadzwonił do mnie jakiś facet i spytał, czy może mnie odwiedzić. Powiedział, że ma bardzo ważny interes. Wyglądało, że zna moje nazwisko i tak dalej, więc oczywiście powiedziałam: „Tak, naturalnie, niech pan przyjdzie zaraz...” No i przyszedł. Mówił, że nazywa się Rakowski, Paul Rakowski, że jest agentem Metro Goldwyn Mayer na Europę i że przychodzi do mnie z ofertą. Szukają — powiada — angielskiej aktorki mówiącej po niemiecku, żeby zagrała w filmie komediowym, który zamierzają kręcić na włoskiej Riwierze. Wszystko to brzmiało niesamowicie wiarygodnie. Powiedział mi, kto jest reżyserem, kto kamerzystą, kto kierownikiem artystycznym i kto autorem scenariusza. Rzecz jasna, o żadnym z nich przedtem nie słyszałam, ale to nie było takim zaskoczeniem, przeciwnie, jeszcze bardziej wydawało mi się prawdopodobne, bo większość ludzi wybrałaby nazwiska, które widuje się w gazetach... Tak czy siak, powiedział, że teraz, kiedy mnie zobaczył, jest pewien, że będę wymarzoną osobą do tej roli, i właściwie może mi ją już obiecać, o ile próba wypadnie pomyślnie... Więc byłam oczywiście wniebowzięta i zapytałam, kiedy się odbędzie próba, a on mi na to, że nie wcześniej niż za parę dni, bo musi wszystko ustalić z tymi z UFA... Rozgadaliśmy się potem o Hollywood i naopowiadał mi przeróżnych historyjek — co prawda mógł to wyczytać w czasopismach filmowych fanów, ale jakoś dziwnie jestem przekonana, że jednak nie — a później mi opowiedział, jak się robi efekty dźwiękowe i rozmaite triki; był pięknie zajmujący i na pewno znał od środka niejedno atelier... W każdym razie, jak już nagadaliśmy się o Hollywood, to zaczął mi opowiadać o całej reszcie Ameryki, o poznanych ludziach, o gangsterach i o Nowym Jorku. Mówił, że właśnie stamtąd wrócił i że cały bagaż ma jeszcze w Hamburgu w urzędzie celnym. Bo prawdę

mówiąc, już w c z e ś n i e j się dziwiłam w duchu, że wygląda jak łachmyta. Ale kiedy mi o tym opowiedział, po prostu uznałam to za całkiem naturalne... No a później... Tylko musisz mi obiecać, Chris, że nie będziesz się śmiał ze mnie, bo inaczej ci nie opowiem... Więc później zaczął mnie namiętnie obsypywać pieszczotami. Z początku złościłam się na niego za to mieszanie interesów z uczuciami. Ale pomaleńku złość mi przeszła: był nawet dość pociągający... To znaczy tak, jak może być Rosjanin... A koniec był taki, że zaprosił mnie na obiad, więc poszliśmy do Horchera... W życiu nie jadłam tak fantastycznego obiadu (to jedyna pociecha); tylko że jak przyszło do rachunku, powiedział: „Och, byłbym zapomniiał, kochanie, czy możesz mi pożyczyć do jutra trzysta marek? Mam przy sobie tylko dolary i muszę je wymienić w banku”. Więc oczywiście mu je dałam — jak na złość, miałam przy sobie tego wieczoru kupę forsy... Wtedy on mówi: „Wypijmy butelkę za twój kontrakt”. A ja się zgodziłam, chyba już byłam zdrowo zalana, bo kiedy mi zaproponował, żebym z nim spędziła noc, po prostu się zgodziłam. Poszliśmy do któregoś z tych małych hotelików na Augsburgstrasse — nie pamiętam, jak się nazywał, ale odnajdę go bez trudu... Koszmarna dziura... Tak czy siak, niewiele więcej pamiętam z tego, co zaszło wieczorem. Dopiero dzisiaj, wcześniej rano, zaczęłam patrzeć na to trzęźwym okiem, kiedy on jeszcze spał. I przyszło mi na myśl, że może nie wszystko jest tak całkiem w porządeczku... Nie zwróciłam przedtem uwagi na jego bieliznę i rano przeżyłam lekki szok. Można by się spodziewać, że taki filmowy bonza nosi pod spodem jedwabie. No a on miał coś przedziwnego, coś podobnego do Włosienicy, takie coś mógł nosić tylko Jan Chrzyciel. I do krawata zwykła blaszana spinka od Woolwortha. Nawet nie było to wszystko wyświechtane, ale od razu człowiek wiedział, że te rzeczy to nigdy nie było nic dobrego, nawet kiedy były nowe... Właśnie miałam wstać z łóżka i przejrzeć mu kieszenie, kiedy się obudził i było już za późno. Więc zamówiliśmy śniadanie... Nie wiem, czy sobie myślał, że jestem już w nim obłądnie zakochana i nie zauważę, czy po prostu nie chciało mu się już udawać, dość że dziś rano to był zupełnie inny człowiek, ot, taki sobie zwykły chłystek. Dżem jadł prosto z noża i oczywiście większa część wylądowała na pościeli. A jak wysysał jajka ze skorupki, to siorbał że nie daj Boże. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu i to go rozeźliło... Potem rzecze: „Muszę się napić piwa!” Dobrze, zadzwoń na dół i poproś, żeby ci przynieśli.

Prawdę mówiąc, zaczęłam się go trochę bać. Patrzył spode łba jak najprawdziwszy jaskiniowiec. Byłam przekonana, że to wariat, więc sobie pomyślałam, że go udobrucham, jak tylko mi się uda... W każdym razie uznał widać, że mu dobrze poradziłam, bo chwycił za słuchawkę i wdał się w długą rozmowę, a w końcu wściekł się, bo mu powiedziano, że piwa nie dostarczają do pokojów. Teraz już widzę, że on przez cały czas coś kombinował i tylko się zgrywał; ale diabelnie dobrze mu to wychodziło, a zresztą byłam zanadto przerażona, żeby wiele zauważyć. Myślałam, że chyba rzuci się, by mnie zamordować za to, że nie dostał piwa... Ale nie, przyjął to spokojnie. Powiedział, że musi się ubrać i sam zejść po to piwo. Dobrze, powiedziałam... Czekam i czekam, a jego jak nie ma, tak nie ma. W końcu dzwonię na pokojową i pytam, czy może widziała, jak wychodził. A ona na to: „A jakże, pan zapłacił rachunek i wyszedł z jaką godzinę temu... Mówił, żeby pani nie przeszkadzać”. Tak mnie to zaskoczyło, że powiedziałam tylko: „O, dobrze, dziękuję...” A co śmieszniejsze, byłam już tak absolutnie przekonana, że on jest stuknięty, że przestałam go uważać za oszusta. Może właśnie o to mu chodziło... Tymczasem on nie był taki znów stuknięty, bo jak zajrzałam do torebki, okazało się, że wziął sobie całą forszę, jaką miałam, plus resztę z tych trzystu marek, co to mu je pożyczyłam wieczorem... A już naprawdę wkurza mnie w tym całym interesie to, że on myśli — mogę się założyć — że będę się wstydziła pójść na policję. A ja właśnie mu pokażę, że jest w błędzie...

— Słuchaj no, Sally, jak dokładnie wyglądał ten młodzian?

— Był mniej więcej twojego wzrostu. Błady. Ciemne włosy. Poznałbyś, że to nie rodowity Amerykanin, bo mówił z obcym akcentem.

— Pamiętasz, może wspominał o takim jednym, co się nazywa Schraube i mieszka w Chicago?

— Zaraz, zaraz... Tak, oczywiście! Dużo o nim mówił... Ale Chris, skąd ty o tym wiesz, u diabła?

— No, bo widzisz... Słuchaj, Sally, muszę ci zrobić straszliwe wyznanie... Nie wiem, czy kiedykolwiek mi wybacysz...

Tego samego popołudnia poszliśmy na Alexanderplatz.

Składanie zeznań było jeszcze bardziej zenujące, niż przewidywałam. Przynajmniej dla mnie. Sally, jeśli w ogóle czuła się nieswojo, nie okazała tego wcale; nawet nie drgnęła jej powieka. Przedstawiała ze szczegółami fakty dwóm funkcjonariuszom w okularach, tak żywo i rzeczowo, że ktoś by pomyślał, iż przyszła zameldować o zaginięciu pieska albo zostawionej w autobusie parasolce. Funkcjonariusze — obaj z pewnością ojcowie rodzin — byli zrazu niemalże zaszokowani. Maczali gorliwie pióra w fioletowym atramencie i, skrepowani, nerwowo obracali łokciami, nim przystępowali do pisania. Byli szorstcy, opryskliwi.

— A co do tego hotelu — odezwał się surowo starszy — chyba pani wiedziała wcześniej, że to hotel specjalnego rodzaju?

— Chyba pan nie uważa, że mogliśmy pójść do Bristolu?

— głos Sally brzmiał bardzo łagodnie i przekonująco.

— Zresztą, nie wpuściliby nas tam bez bagażu.

— Ach, więc państwo nie mieli bagażu? — młodszy podchwycił ten fakt triumfująco jako rzecz największej wagi. Jego kaligrafująca na fioletowo policyjna ręka jąła wędrować równomiernie po liniowanym arkuszu papieru kancelaryjnego. Pochłonięty tym tematem, nie zwrócił najmniejszej uwagi na ripostę Sally:

— Nie mam zwyczaju pakować walizki, kiedy mężczyzna zaprasza mnie na kolację.

Starszy wszelako pochwycił z miejsca sedno sprawy:

— A więc to dopiero w restauracji ten młody człowiek poprosił panią... eee... by mu pani towarzyszyła do hotelu?

— Dopiero po kolacji.

— Moja droga panno — starszy, niczym zgryźliwy ojciec, odchylił się na poręcz krzesła — pozwolę sobie spytać, czy pani ma w zwyczaju przyjmować tego rodzaju zaproszenia od zupełnie obcych ludzi?

Sally uśmiechnęła się słodziutko. Była w tej chwili samą niewinnością i szczerością:

— Ale widzi pan, panie komisarzu, to nie był zupełnie obcy człowiek. To był mój narzeczony.

Obaj drgnęli i wyprężyli się na krzesłach. Młodszy zrobił nawet kleks na samym środku dziewiczego arkusza i była to pewnie jedyna plama, jaką znaleźć można w nieskazitelnych raportach Polizeiprasidium.

— Chce pani przez to powiedzieć, Frl. Bowles — i mimo całej szorstkości oko starszemu zaświeciło — chce pani powiedzieć, że zaręczyła się pani z tym człowiekiem, znając go zaledwie jedno popołudnie?

— Oczywiście.

— Czy to nie jest... hmm... dość niezwykle?

— Pewnie tak — zgodziła się Sally z całą powagą. — Ale wie pan, w dzisiejszych czasach dziewczyna nie może sobie pozwolić na to, żeby kazać mężczyźnie czekać. Jeśli jej się raz oświadczy, a ona mu odmówi, może poszukać szczęścia u innej. Wszystko przez tę nadwyżkę kobiet...

Tego już starszy funkcjonariusz nie wytrzymał. Szurnawszy krzesłem, wybuchnął niepohamowanym śmiechem, aż cały spurpurowiał. Długo nie mógł wykrzusić z siebie słowa. Młodszy zachował się znacznie stosowniej: wyciągnął wielką chustkę i udawał, że wyciera nos. Tylko że jakby kichnął przy tym i w końcu także parsknął śmiechem. Po chwili już zrezygnował z wszelkich prób traktowania Sally serio. Dalsza rozmowa potoczyła się ze swobodą opery komicznej, której towarzyszyły nieporadne próby okazania galanterii. Zwłaszcza starszy poczynął sobie całkiem śmiało. Sądzę, że im obu przeszkadzała moja obecność. Chcieli być z Sally sam na sam.

— Niech pani się nie martwi, Frl. Bowles — powiedzieli przy pożegnaniu, poklepując ją po ręce — już my go pani odnajdziemy, nawet gdybyśmy mieli przewrócić do góry nogami cały Berlin!

— No, no! — zawołałem z podziwem, gdyśmy się trochę oddalili — ty wiesz, jak z nimi postępować, nie ma co!

Sally uśmiechnęła się marzycielsko: była bardzo z siebie zadowolona. — To znaczy, dokładnie jak, kochanie?

— Dobrze wiesz. Żeby ich tak rozśmieszyć... powiedzieć, że on był twoim narzeczonym! Mówiłaś doprawdy jak natchniona!

Ale Sally nie roześmiała się. Przeciwnie, poczerwieniała odrobinę i opuściła wzrok na stopy. Na jej twarzy pojawił się komiczny, dziecięcy wyraz skruchy.

— Bo widzisz, Chris, to akurat była prawda.

— Prawda?!

— Tak, kochanie. — Sally po raz pierwszy była naprawdę zażenowana; zaczęła paplać co tchu: — Tylko nie mogłam ci tego powiedzieć dzisiaj rano, po tym wszystkim, co się stało, wyglądałoby to zbyt kretyńsko w opowiadaniu... Oświadczył mi się w restauracji, a ja się zgodziłam... Bo widzisz, pomyślałam sobie, że taki facet z filmu pewnie przywykł do takich błyskawicznych zaręczyn, bo przecież w Hollywood to rzecz całkiem zwyczajna... No a że jest Amerykaninem, to pomyślałam, że w razie czego można rozwieść się bez trudu w każdej chwili... Dla mojej kariery taki ślub to byłaby rzecz zbawienna, to znaczy, gdyby on był uczciwy, nie uważasz?... Mielśmy się pobrać dzisiaj, gdyby udało się wszystko załatwić... Śmieszne, jak się pomyśli o tym teraz...

— Ależ Sally! — znieruchomiałem. Patrzyłem na nią i nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. — No wiesz... jesteś naprawdę najdziwniejszym stworzeniem, jakie w życiu spotkałem!

Sally zachichotała lekko, jak niegrzeczne dziecko, któremu niechcący się udało rozweselić dorosłych.

— Zawsze ci mówiłam, że jestem trochę stuknięta. Teraz może w to uwierzysz...

Minął tydzień z górą, zanim policja zdołała nam dostarczyć jakichś wiadomości. I oto pewnego ranka odwiedziło mnie dwóch detektywów. Wyśledzono młodego człowieka odpowiadającego naszemu opisowi i wzięto pod obserwację. Policja zna jego miejsce zamieszkania, ale chce, żebym go zidentyfikował, zanim go zaaresztują. Czy nie poszedłbym z nimi zaraz do baru na Kleiststrasse? Bywa tam prawie co dzień, mniej więcej o tej porze. Mógłbym go im wskazać w tłumie i zaraz się ulotnić, bez szumu czy nieprzyjemności.

Niezbyt mi się podobał taki pomysł, ale nie było już wyjścia. W barze panował tłok, gdyż przybyliśmy w porze lunchu. Spostrzegłem tego młodziana prawie natychmiast — stał przy kontuarze obok pojemnika na herbatę, z filiżanką w ręce. W tym otoczeniu, samotny, nieświadom, że go obserwują, sprawiał wrażenie dość załosne: wyglądał nędzniej i o wiele młodziej — po prostu chłopiec. Już-już miałem powiedzieć, że go tutaj nie ma, ale na co by się to zdało? I tak by go złapali. — Zgadza się, to ten — powiedziałem detektywom. — Tam. — Skinęli głowami. Wybiegłem szybko na ulicę z poczuciem winy. Przysiągłem sobie, że nigdy więcej nie będę pomagał policji.

Parę dni później przyszła Sally, żeby mi opowiedzieć ciąg dalszy.

— Musiałam go zobaczyć, oczywiście... Czulałam się jak wstrętne bydlę; wyglądał tak nieszczęśliwie. Powiedział do mnie tylko: „Myślałem, że jesteś kumpel”. Byłabym mu powiedziała, żeby mi nie zwracał tych pieniędzy, ale on i tak wszystko wydał... Policjanci mówią, że on był rzeczywiście w Stanach, ale nie jest Amerykaninem; jest Polakiem... Jedyna pociecha to że mu nic nie zrobią. Był badany przez lekarza i wysłał go do przytułku. Mam nadzieję, że będą go tam przyzwoicie traktowali...

— Więc jednak to jakiś wariatuńcio?

— Chyba tak. Z tych nieszkodliwych... — Sally uśmiechnęła się. — Niezbyt mi to pochlebia, prawda? Och, a jeszcze jedno, Chris, wiesz, ile on ma lat? Nigdy byś nie zgadł!

— Chyba koło dwudziestki.

— Szesnaście!

— O, psiakrew!

— Słowo daję... Rozprawa musiałaby się odbyć w Sądzie dla Nieletnich!

Roześmieliśmy się. — Wiesz, Sally — powiedziałem — co naprawdę w tobie lubię, to to, że tak szalenie łatwo cię nabrać. Ludzie, którzy nigdy się nie dają nabrać, to takie ponuraki.

— A więc jeszcze mnie lubisz, Chris, kochany?

— Tak, Sally. Jeszcze cię lubię.

— Bałam się, że jesteś na mnie zły... Wiesz, za tamten dzień.

— Bo i byłem. Nawet bardzo.

— Ale teraz już nie jesteś?

— Nie... Chyba nie.

— Nie ma co próbować cię przeproszać czy tłumaczyć, albo coś w tym guście... Czasem taka jestem... Chyba rozumiesz, Chris?

— Tak. Chyba rozumiem.

Od tego czasu nigdy już jej nie widziałem. W jakieś dwa tygodnie później, właśnie gdy pomyślałem, że doprawdy czas do niej zadzwonić, otrzymałem kartkę z Paryża: „Przyjechałam tu wczoraj wieczór. Jutro napiszę porządnie, co i jak. Moc pocałunków”. Ale żadnego listu nie dostałem. Za to miesiąc później nadeszła kartka z Rzymu, bez adresu zwrotnego: „Napiszę lada dzień”. Było to sześć lat temu.

Teraz więc ja piszę do niej.

Gdy to przeczytasz, Sally — jeśli w ogóle kiedykolwiek przeczytasz — przyjmij to, proszę, jako hołd; najszczerzy, jaki umiem złożyć Tobie i naszej przyjaźni.

I przyslij mi jeszcze jedną kartkę.

NA WYSPIE RUEGEN

Lato 1931

Budzę się wcześniej i w piżamie wychodzę posiedzieć na werandzie. Las rzuca na pola długie cienie. Ptaki, jak dzwoni budzików, nawołują się z nagłą, niesamowitą gwałtownością. Brzozy zwisają ciężko nad pobrużdżoną koleinami, piaszczystą wiejską drogą. Pasemko mgły podnosi się znad linii drzew rosnących wzdłuż jeziora. Człowiek z rowerem pilnuje swego konia, który się pasie na splechietku trawy przy ścieżce; chce uwolnić mu kopyto zaplątane w postronek. Obiema rękami popycha konia, ale ten ani drgnie. Zbliża się jakaś staruszka w chuście, a z nią chłopczyk. Chłopczyk ma na sobie ciemne marynarskie ubranko; jest bardzo błydy i ma obandażowaną szyję. Po chwili oboje zawracają. Teraz przejeżdża mężczyzna na rowerze i woła coś do tamtego z koniem. Głos jego brzmi dźwięcznie w rannej ciszy, choć nie da się rozróżnić słów. Pieje kogut. Skrzywienie przejeżdżającego roweru. W ogrodowej altanie rosa na białym stole i krzesłach, skapuje też z ociężałego bzu. Jeszcze jeden kogut pieje, tym razem znacznie głośniejszy, bliżej. I wydaje mi się, że słyszę morze albo skądś z bardzo daleka dźwięki dzwonów.

Wioska jest ukryta w lesie, w głębi na lewo. Składa się prawie wyłącznie z pensjonatów, utrzymanych — jak to zwykle architektura nadmorska — w rozmaitych stylach: pseudomauretańskim, starobawarskim, Taj Mahal czy też stylu a la rokokowy dom lalek z białą mreżką balkoników. Za lasem ciągnie się morze. Można do niego dojść okrążając wioskę zygzakowatą ścieżką, która niespodziewanie wyprowadza na skraj wysokiej piaszczystej skarpy; w dole plaża i ciepły, płytki Bałtyk prawie u samych stóp. Ta część zatoki jest niemal opustoszała — oficjalne kąpielisko z plażą mieści się za załomem brzegu. Z dala, jakiś kilometr stąd, mającą poprzez drżące fale upała białe kopułki „Restauracji Nadbrzeżnej” w Baabe.

W lesie są króliki, zmię i jelenie. Wczoraj rano widziałem łanię gonioną przez charta wprost przez pola i dalej, pośród drzew. Pies nie mógł jej dogonić, choć sadząc wdzięczne susy, wydawał się o wiele szybszy, podczas gdy ona, zdyszana, gnała nad ziemią oszalałymi, kurczowymi szarpnięciami, niczym fortepian zaczarowany.

Oprócz mnie mieszkają jeszcze w tym domu dwie osoby: Anglik, Peter Wilkinson, mniej więcej w moim wieku, oraz młody niemiecki robotnik z Berlina, Otto Nowak. Ma szesnaście albo siedemnaście lat.

Piotr, jak już nazywam tamtego — bo popiliśmy sobie zdrowo pierwszego wieczoru i szybko zawarliśmy przyjaźń — jest chudy, ciemnowłosy i nerwowy. Nosi okulary w rogowej oprawie. Kiedy wpada w podniecenie, zaciska dłoń głęboko między kolanami, na skroniach mu się pokazują grube żyły i trzęsie się cały od tłumionego, nerwowego śmiechu, aż poirytowany Otto wykrzykuje: „*Mensch, reg' Dich bloss nicht so auf!*”

Otto ma twarz jak bardzo dojrzała brzoskwinia. Włosy jasne, gęste, nisko zarastające czoło. Małe roziskrzone oczka, pełne przekory, i szeroki rozbrajający uśmiech, zbyt niewinny, aby mógł być szczery. Kiedy się śmieje, w brzoskwiniowych policzkach pojawiają się dwa duże dołki. Teraz pilnie zabiega o moje względy, przypochlebia mi się, pęka ze śmiechu z moich żartów, nie pomija żadnej okazji, by mrugnąć do mnie chytrze, porozumiewawczo. Sądzę, że widzi we mnie potencjalnego sprzymierzeńca w swych rozgrywkach z Piotrem.

Dziś rano kąpaliśmy się wszyscy trzej. Piotr i Otto byli zajęci budowaniem z piasku olbrzymiej fortecy. Leżąc obserwowałem Piotra, jak pracował zawzięcie, rozradowany oślepiającym słońcem, z jaką pasją odrzucał dziecięcą łopatką piasek, niczym więzień w brygadzie pod okiem uzbrojonego strażnika. Przez całe długie, upalne przedpołudnie nie usiadł spokojnie ani chwili. Obaj z Ottonem na zmianę to pływali, to kopali w piasku, mocowali się, ścigali, grali w piłkę gumową futbolówką, uganiając się po całej plaży. Piotr jest chudy, lecz wytrzymały. W tych zabawach z Ottonem nie poddaje się najwyraźniej tylko dzięki potężnemu, wściekłemu wysiłkowi woli. Wola Piotra ma za przeciwnika Ottonowe ciało. Otto jest sobą całym swoim ciałem; Piotr — jedynie głową. Otto porusza się płynnie, bez wysiłku; jego ruchy mają w sobie pierwotną, nieświadomą grację okrutnego, pięknego zwierzęcia. Piotr miota się na wszystkie strony, smagając swe sztywne i niewdzięczne ciało biczem bezlitosnej woli.

Otto jest niemiłosiernie próżny. Piotr kupił mu sprężyny i Otto ćwiczy zapamiętane o różnych porach dnia. Zajrzawszy kiedyś po lunchu do ich pokoju w poszukiwaniu Piotra, zastałem Ottona samotnie mocującego się ze sprężynami niczym Laokoon, przed lustrem. — Popatrz, Christoph!

— wysapał. — Widzisz, już mi się udaje! Całe pięć długości!

— Otto istotnie, jak na chłopca w jego wieku, ma dwoje okazałych ramion i takąż klatkę piersiową, a mimo to jego ciało wygląda trochę śmiesznie. Piękne, dojrzałe linie torsu schodzą się zbyt raptownie ku absurdalnie małutkim pośladkom i wrzecionowatym, nieukształtowanym jeszcze nogom. A te zmagania ze sprężynami mają taki skutek, że chłopak z dnia na dzień nadmiernie rozrasta się u góry.

Dziś wieczór Otto, który dostał lekkiego porażenia słonecznego, położył się wcześniej z bólem głowy. Obaj z Piotrem wyruszyliśmy więc sami do wioski. W kawiarni „Bawarskiej”, gdzie orkiestra czyni hałas jak diabli spuszczeni z łańcucha, wykrzyczał mi do ucha swoje dzieje.

Spośród czworga dzieci w jego rodzinie, on jest najmłodszy. Ma dwie siostry, obie mężatki. Jedna z nich mieszka na wsi i poluje. Druga jest tym, co gazety nazywają „znaną damą z towarzystwa, prowadzącą dom otwarty”. Starszy brat Piotra jest naukowcem i badaczem-podróżnikiem; uczestniczył w wyprawach do Konga, na Nowe Hebrydy i na Wielką Barierę Koralową. Gra w szachy, mówi głosem sześćdziesięciolatka i nigdy — o ile Piotrowi wiadomo — nie spełnił aktu płciowego. Jedynym członkiem rodziny, z którym Piotr jeszcze rozmawia, jest jego polująca siostra, jednakże rzadko się widują, bo Piotr nie cierpi swego szwagra.

Jako chłopiec, Piotr był wątpliwy, wydelikacowany. Nie chodził do szkoły podstawowej, a gdy miał trzynaście lat, ojciec posłał go do gimnazjum prywatnego. Wywiązała się z tego powodu kłótnia między rodzicami, która trwała tak długo, póki Piotr, zachęcany przez matkę, nie zaczął się uskarżać na serce i trzeba go było zabrać stamtąd pod koniec drugiego semestru. Jednakże raz wyzwolony, zniechęcony matką za to, że tym cackaniem się i rozpieszczaniem zrobiła z niego maminsynka. Ona zaś widząc, że nigdy jej tego nie wybaczy — jedyne dziecko, które ją naprawdę obchodziło — sama się rozchorowała i wkrótce potem umarła.

Za późno już było posyłać Piotra znów do szkoły, przeto pan Wilkinson zaangażował nauczyciela. Nauczyciel był bardzo pobożnym młodym anglikaninem, który zamierzał zostać księdzem. Miał kędzierzawe włosy i kwadratową szczękę, a zimą brał lodowate kąpiele. Panu Wilkinsonowi nie podobał się od początku, a starszy brat Piotra czynił pod jego adresem kąśliwe uwagi, toteż Piotr stanął całym sercem po stronie swego preceptora. Wyprawiali się obaj na piesze wędrówki po Pojezierzu i tam, w surowej scenerii torfowisk, rozprawiali o znaczeniu Sakramentu. Z rozmów tych powstał nieuchronnie skomplikowany węzeł uczuciowy, który został raptownie rozerwany któregoś wieczoru w trakcie straszliwej awantury w stodole. Nazajutrz rano nauczyciel zniknął, pozostawiając dziesięciostronicowy list. Piotr rozważał myśl o samobójstwie. Później usłyszał gdzieś od kogoś, że nauczyciel zapuścił wąsy i wyjechał do Australii. Piotr otrzymał więc innego nauczyciela i na koniec wstąpił do Oksfordu.

Nie cierpiąc biznesu ojca ani uczoności brata, otoczył się religijną czią muzyką i literaturą. Oksford naprawdę bardzo lubił w pierwszym roku. Chadzał na towarzyskie herbatki, ośmielał się tam zabierać głos. Ku jego radości i zaskoczeniu ludzie słuchali tego, co im miał do powiedzenia. Dopiero po jakimś czasie zaczął u nich dostrzegać jakby cień zakłopotania. — Tak czy inaczej — opowiadał — zawsze uderzałem w niewłaściwą strunę.

Tymczasem w domu, tym wielkim domostwie typowym dla Mayfair, z czterema łazienkami i garażem na trzy samochody, w domu, gdzie było zawsze za dużo do jedzenia, rodzina Wilkinsonów rozpadała się jak rzecz, która przegniła. Pan Wilkinson, ze swymi chorymi nerkami, swoją whisky i swoją umiejętnością „obchodzenia się z podwładnymi”, chodził zagniewany, nie wiedział, co do niego mówią, i trochę budził żal. Warczał i pomrukiwał na własne dzieci przechodzące obok, jak zgryźliwy stary pies. Przy posiłkach nikt się nie odzywał. Unikali nawzajem swego wzroku, a potem pędzili na górę, żeby pisać pełne kpiny i nienawiści listy do bliskich przyjaciół. Tylko Piotr nie miał do kogo pisać. Zamykał się w swym zbyt kłopotliwym a niegustownym pokoju i czytał, czytał w nieskończoność.

To samo później w Oksfordzie. Piotr przestał chodzić na prośzone herbatki. Pracował całymi dniami i właśnie gdy nadeszła pora egzaminów, dostał rozstroju nerwowego. Lekarz doradzał całkowitą zmianę otoczenia, jakieś inne zainteresowania. Ojciec pozwalał mu przez sześć miesięcy zabawić się w farmera w Devonshire, potem zaczął mówić o interesach. Pan Wilkinson nie zdołał wzbudzić w żadnym ze swych dzieci choćby grzecznościowego zainteresowania źródłem ich dochodów. Każde zamknęło się w swym odrębnym świecie, do którego nie miał dostępu. Jedna z córek zamierzała wyjść za para, druga polowała często z Księciem Walii. Starszy syn był prelegentem w Królewskim Towarzystwie Geograficznym. Tylko Piotr nie znajdował motywacji dla swojej egzystencji. Tamci poczynali sobie samolubnie, ale wiedzieli, czego chcą. Piotr też był egoistą, tyle że on nie wiedział.

W krytycznym momencie wszakże umarł wujek Piotra, brat matki. Wuj mieszkał w Kanadzie. Widział raz Piotra, kiedy ten był jeszcze dzieckiem, i tak bardzo go polubił, że zostawił mu cały swój majątek — niezbyt wielki, lecz wystarczający, aby z niego żyć dostatnio.

Piotr pojechał zatem do Paryża i zaczął się tam uczyć muzyki. Jego nauczyciel orzekł, że będzie co najwyżej dobrym drugorzędnym amatorem, lecz Piotr tym usilniej przykładał się do nauki. Pracował zapamiętałe, żeby tylko nie myśleć, a wtedy przyszło drugie nerwowe załamanie, choć nie tak groźne jak pierwsze. Tym razem był już przekonany, że lada dzień zwariuje. Pojechał do Londynu i zastał w domu tylko ojca. Pokłócili się niemiłosiernie już pierwszego wieczoru i potem prawie nie zamienili z sobą słowa. Po tygodniu milczenia i sutych posiłków Piotr dostał lekkiego ataku manii ojcobójczej. W trakcie śniadania nie mógł oderwać oczu od

pryszczą na ojcowskiej szyi, bawiąc się jednocześnie nożem do chleba. Nagle poczuł drgawki w lewej części twarzy. Powtarzały się raz po raz, aż musiał zasłonić policzek ręką. Był pewien, że ojciec to zauważył i celowo nie powiedział ani słowa, ba, umyślnie go tak torturował. W końcu Piotr nie wytrzymał, zerwał się, wybiegł do ogrodu i tam rzucił się twarzą w dół na mokrą trawę. Leżał tak, znieruchomiły z przerażenia. Po kwadransie drgawki ustąpiły.

Tego samego wieczoru, przechadzając się po Regent Street, poderwał uliczną dziewczynę. Poszli do jej mieszkania i tam przegadali wiele godzin. Opowiedział jej dzieje swego życia spędzonego w domu, dał dziewczynie dziesięć funtów i nawet jej nie pocałował. Nazajutrz rano na jego lewym udzie pojawiła się tajemnicza wysypka. Lekarz wyraźnie nie mógł dopatrzeć się przyczyny, ale przepisał jakąś maść. Wysypka trochę zbladła, lecz zniknęła dopiero w zeszłym miesiącu. Ponadto, wkrótce po tym epizodzie na Regent Street, zaczęło mu dokuczać lewe oko.

Piotr już od dawna nosił się z myślą, żeby zasięgnąć porady u psychoanalityka. W końcu wybrał ortodoksyjnego freudystę o sennym, gniewliwym głosie i ogromnych stopach. Piotr z miejsca poczuł do niego antypatię, o czym mu powiedział. Tamten zanotował coś na karteluszkę, lecz się nie obraził. Później dopiero Piotr odkrył, że tego człowieka nic właściwie nie interesowało z wyjątkiem chińskiej sztuki. Spotykali się trzy razy w tygodniu, a każda wizyta kosztowała dwie gwinee.

Po sześciu miesiącach Piotr zrezygnował z freudysty i zaczął chodzić do nowego psychoanalityka, siwowłosej Finki, kapitalnej rozmówczynie. Znalazł w niej wdzięcznego słuchacza i wyznał jej, jak tylko zdołał, wszystko, co kiedykolwiek w życiu zrobił, co powiedział i pomyślał, a nawet wszystkie sny. Czasem, w chwilach zniechęcenia, opowiadał jej historie z gruntu nieprawdziwe lub anegdoty zaczerpnięte z policyjnych kronik. Później przyznawał się do tych łgarstw i wspólnie rozważali, jakimi motywami się kierował, zgadzając się następnie co do tego, że były bardzo interesujące. W szczególnie pamiętne noce zdarzał się Piotrowi sen, co dawało im temat do rozmowy na następne parę tygodni. Psychoanaliza trwała niespełna dwa lata i niczym się nie zakończyła.

W tym roku Piotrowi znudziła się już Finka. Usłyszał o dobrym specjalście w Berlinie. Czemu nie spróbować? Byłaby to w każdym razie jakaś zmiana. Poza tym oszczędność, bo berlińczyk żąda tylko piętnaście marek za wizytę.

— I wciąż do niego chodzisz? — zapytałem.

— Nie... — Piotr uśmiechnął się. — Nie stać mnie na to, wiesz...

W zeszłym miesiącu, w dzień czy dwa po przyjeździe, Piotr wybrał się do Wannsee, żeby się wykapać w morzu. Woda była jeszcze chłodna, a na plaży pustawo. Piotr spostrzegł chłopaka, który samotnie fikał koziołki na piasku. Po jakimś czasie chłopak podszedł i poprosił go o zapalki. Wywiązała się rozmowa. Tym chłopcem był Otto Nowak.

— Otto wręcz ze zgrozą przyjął moją opowieść o psychoanalityku. „Co?! — powiedział. — Pan daje temu facetowi piętnaście marek dziennie tylko za to, że pozwala panu do siebie mówić? Niech mi pan da dziesięć, a będę gadał do pana dniami i nocami!” Piotr trząsł się cały ze śmiechu, czerwieńjąc jak burak i zaciskając ręce.

Ciekawe, że Otto, proponując Piotrowi, że mu zastąpi psychoanalityka, wcale nie mówił od rzeczy. Jak wielu ludzi o bardzo pierwotnych, zwierzęcych instynktach, Otto posiada znaczną naturalną siłę uzdrawiania — jeśli tylko chce zrobić z niej użytek. W takich momentach jego terapia stosowana wobec Piotra jest bezbłędna. Oto Piotr siedzi zgarbiony przy stole, a opuszczone kąciki jego ust przywołują na myśl dziecięce lęki — modelowy przykład wypaczonego, kosztownego wychowania. Przychodzi Otto, w uśmiechu szczyrzy zęby, aż na jego policzkach pojawiają się dołeczki, przewraca krzesło, daje Piotrowi kuksańca w plecy, zaciera ręce i wykrzykuje głupkowato: „*Ja, ja... so ist die Sache!*” I w jednej chwili Piotr jest odmieniony. Odpręża się, rozprostowuje, z ust znika napięcie, a z oczu wyraz osaczenia. Jest jak każdy inny zwykły człowiek, póki działa urok.

Piotr opowiada, że zanim poznał Ottona, tak panicznie bał się zarazków, że mył ręce w wodzie z karbolem po wzięciu na ręce kota. Teraz często pije z tej samej co Otto szklanki, używa jego gąbki i może jeść z nim z jednego talerza.

W Domu Zdrojowym i w kawiarni nad jeziorem zaczęły się tańce. Dwa dni temu, podczas naszej zwykłej wieczornej przechadzki główną ulicą wioski, zobaczyliśmy ogłoszenia o pierwszym dansingu. Spostrzegłem, że Otto zerka na afisz pożądliwie i że Piotr to widzi. Żaden z nich jednak nie odezwał się na ten temat ani słowem.

Wczorajszy dzień był chłodny i wilgotny. Otto zaproponował, żebyśmy wynajęli łódkę i popłynęli na ryby, na jezioro. Piotrowi spodobał się ten projekt i przystał na niego bez wahania. Ale gdy czekaliśmy aż trzy kwadransy w mżawce, nim złowiliśmy pierwszą rybę, zaczął się irytować. W drodze powrotnej do brzegu Otto rozpryskiwał wodę wiosłami — z początku dlatego, że nie umiał dobrze wiosłować, potem już tylko na złość Piotrowi. Piotr

rozgniewał się na dobre i zwymyślał Ottona, a ten się nadał.

Po kolacji Otto oznajmił, że idzie potańczyć w Kurhausie. Piotr przyjął to bez słowa, w wymownym milczeniu, tylko kąciki ust zaczęły mu opadać; a Otto, albo naprawdę nieświadomy tej dezaprobaty, albo ją rozmyślnie lekceważąc, uznał rzecz za uzgodnioną.

Kiedy wyszedł, zasiedliśmy obaj z Piotrem w moim zimnym pokoju na górze, słuchając bębnienia deszczu w szyby.

— Wiedziałem, że to nie może potrwać długo — poskarżył się Piotr markotnie. — To jest początek. Przekonasz się.

— Nonsens. Początek czego, Piotrze? Przecież to całkiem naturalne, że Otto chce sobie czasem potańczyć. Nie możesz być taki zaborczy.

— Och, wiem, wiem. Jak zwykle, plotę coś bez sensu... Ale tak czy siak, to jest początek...

Ku memu własnemu zdziwieniu okazało się, że miałem rację. Otto wrócił z Kurhausu przed dziesiątą. Był rozczarowany. Na dansingu było prawie pusto, a orkiestra kiepska.

— Więcej tam nie pójde — dodał, rzucając mi znudzony uśmiech. — Od tej chwili będę już każdy wieczór spędzał z tobą i Christophem. To dużo zabawniejsze, kiedy jesteśmy razem wszyscy trzej, nie uważacie?

Wczoraj rano, kiedy leżeliśmy w naszym graj dole na plaży, podszedł do nas mały jasnowłosy człowieczek o niebieskich, chytrych oczkach i z wąsikiem, by zaprosić nas do wspólnej zabawy. Otto, zawsze z przesadnym entuzjazmem witający każdą nową twarz, zgodził się od razu, toteż nam z Piotrem nie pozostawało nic innego, jak pójść za jego przykładem albo brutalnie spławić gościa.

Człowiek przedstawił się jako chirurg ze szpitala berlińskiego i natychmiast objął komendę, rozstawiając nas na wyznaczonych miejscach. Był w tej kwestii bardzo stanowczy — od razu kazał mi się cofnąć, gdy usiłowałem przybliżyć się odrobinę, żeby skrócić sobie odległość rzutu. Zaraz też się okazało, że Piotr rzuca nie tak, jak trzeba, więc doktorzek wstrzymał grę, by to zademonstrować. Piotr był zrazu rozbawiony, po chwili jednak trochę się zirytował. Odparował w niewybrednych słowach, lecz doktorka jakoś to nie uraziło. — Jest pan taki sztywny — tłumaczył Piotrowi z uśmiechem — a to błąd. Niech pan spróbuje jeszcze raz, będę trzymał rękę na pana łopacie, żeby zobaczyć, czy pan naprawdę się rozluźnia... Nie. Znowu nie!

Miał minę zachwyconą, jakby ta niemożność Piotra stanowiła szczególnie powód do triumfu jego własnych metod nauczania. Napotkał wzrok Ottona, który uśmiechnął się ze zrozumieniem.

To spotkanie z doktorem wprawiło Piotra w zły humor już na resztę dnia. Otto, chcąc go podrażnić, udawał, że doktorzek bardzo mu się spodobał. — To jest facet! Chciałbym mieć takiego przyjaciela — powiedział uśmiechając się złośliwie. — Sportowiec całą gębą! Powinieneś się zająć sportem, Piotrze! Miałbyś wtedy taką figurę jak on!

Gdyby Piotr nie był w tak podłym nastroju, prawdopodobnie skwitowałby to uśmiechem. Rozzłościł się wszakże jeszcze bardziej:

— To idź sobie ze swoim doktorkiem, skoro on ci się tak podoba!

Otto wyszczerzył zęby w kąśliwym uśmiechu:

— Nie zaprosił mnie... jeszcze!

Wczoraj wieczór Otto poszedł na tańce do Kurhausu i wrócił późną nocą.

Do wioski zjechały już tłumy letników. Plaża koło przystani, z tymi swoimi rzędami porożców, zaczyna przypominać średniowieczny obóz. Każda rodzina zaopatrzona jest w olbrzymi wiklinowy kosz z daszkiem, a na każdym z nich powiewa chorągiewka. Są więc niemieckie miniaturowe flagi miast — Hamburga, Hanoweru, Drezna, Rostocka i Berlina — jak również barwy narodowe, republikańskie, nazistowskie. Każdy kosz jest okolony niskim wałem z piasku, na którym jego rezydenci umieścili napisy z jodłowych szyszek: *Waldesruh, Familie Walter, Stahlhelm, Heil Hitler!* Niejeden grajdoł zdobi także nazistowska swastyka. Któregoś ranka widziałem dziecko, może pięcioletnie, golusierikie, maszerujące w pojedynkę brzegiem z chorągiewką na ramieniu. Chorągiewka przedstawiała swastykę, a malec śpiewał *Deutschland uber alles*.

Mały doktorzek wprost pławił się w tej atmosferze. Prawie co rano przybywa do naszego fortu z misją: — Naprawdę powinniście się przenieść na tamtą plażę — przekonuje. — O wiele tam zabawniej. Poznam was z paroma ładnymi dziewczynami. Młodzież tu mamy okazałą! Ja, jako lekarz, potrafię to ocenić. Parę dni temu byłem w Hiddensee. Sami Żydzi! To rozkosz wrócić tutaj i oglądać typy nordyckie bez skazy!

— Chodźmy na tamtą plażę — nastawa! Otto. — Tu tak nudno. Prawie nie ma żywej duszy.

— To idź, jak chcesz — odpalił Piotr z gniewną drwiną. — Ja bym się tam czuł nieswojo. Moja babka miała domieszkę krwi hiszpańskiej.

Ale mały doktorek nie daje za wygraną. Nasz opór i mniej lub bardziej otwarcie wyrażana niechęć nawet go fascynują. Zdradliwy Otto wciąż nas oddaje w jego ręce. Któregoś dnia, gdy doktor piał peany na cześć Hitlera, Otto przestrzegł: — Niedobrze jest mówić takie rzeczy Christophowi, Herr Doktor. On jest komunistą!

To już wręcz zachwyliło doktora. W jego chytrych niebieskich oczkach błysnął triumf. Położył mi czule ręce na ramionach. — Ależ pan nie może być komunistą! Pan nie m o ż e !

— Dlaczego nie mogę? — zapytałem chłodno, odsuwając się. Nie cierpię, jak mnie dotyka.

— Dlatego, że nie ma czegoś takiego jak komunizm. To jest tylko przywidzenie. Choroba umysłowa. Ludziom tylko się wydaje, że są komunistami. Wcale nimi nie są, tak naprawdę.

— A kim są w takim razie?

Ale on nie słuchał. Przygwoździł mnie tylko tym swoim triumfującym, przebiegłym uśmiechem.

— Pięć lat temu myślałem tak jak pan. Ale moja praktyka kliniczna przekonała mnie, że komunizm to tylko przywidzenie. W rzeczywistości ludzie potrzebują dyscypliny, samokontroli. Mogę to panu powiedzieć jako lekarz. Wiem to z własnego doświadczenia.

Dziś rano siedzieliśmy wszyscy trzej w moim pokoju, gotowi do wymarszu na plażę. Atmosfera była napięta, bo Piotr i Otto wciąż jeszcze toczyli jakąś niezrozumiałą sprzeczkę, która się wywiązała przed śniadaniem w ich pokoju. Wertowałem kartki książki, nie zwracając zbytnio na nich uwagi. Nagle Piotr wymierzył Ottonowi siarczasty policzek — raz i z drugiej strony. Zwarli się natychmiast i w tej kotłownianinie zatoczyli po pokoju, przewracając krzesła. Patrzyłem, w miarę możliwości usuwając im się z drogi. Było to zabawne, a zarazem nieprzyjemne, bo ich twarze z wściekłości stały się jakieś obce, brzydkie. W końcu Otto powalił Piotra na podłogę i zaczął mu wykręcać rękę. — Masz już dość? — powtarzał. Wykrzywił się w uśmiechu i w tym momencie był naprawdę odrażający, tak go zdeformowała złość. Wiedziałem, że Otto był zadowolony z mojej obecności, gdyż przysparzała ona Piotrowi upokorzeń. Roześmiałem się więc, jakby to wszystko był żart, i wyszedłem z pokoju. Powędrowałem lasem do Baabe i wykapałem się przy pobliskiej plaży. Nie chciałem ich widzieć przez najbliższe parę godzin.

Tak jak Otto pragnie upokarzać Piotra, tak i Piotr na swój własny sposób pragnie upokarzać Ottona. Chce go zmusić, by w jakimś sensie poddał się jego woli, czemu Otto instynktownie się przeciwstawia. Jest bowiem z natury, biologicznie samolubny, jak zwierzę. Jeśli w pokoju są dwa krzesła, to Otto bez wahania zajmie wygodniejsze, bo nawet nie przyjdzie mu do głowy, żeby uwzględnić wygodę Piotra. Egoizm Piotra jest o wiele mniej uczciwy, bardziej ucywilizowany, przewrotny. Jeśli się go czymś ujmie należycie, gotów jest do wszelkich ofiar, choćby najbardziej nierozumnych, zbędnych. Ale gdy Otto wybiera lepsze krzesło, jakby był do tego uprawniony, o, wtedy Piotr natychmiast dostrzega w tym wyzwanie, którego nie waha się podjąć. Sądzę, że gdy spotykają się takie dwie natury, podobnej sytuacji nie da się uniknąć. Piotr jest zmuszony

toczyć walkę o Ottonowe poddaństwo. Jeśli któregoś dnia tej walki zaprzestanie, będzie to znaczyło tylko, że Otto w ogóle przestał go interesować.

Cechą naprawdę destrukcyjną ich stosunków jest nieodłączna w ich przypadku nuda. Dla Piotra to całkiem naturalne, że nieraz czuje się znudzony przyjacielem — nie mają przecież żadnych wspólnych zainteresowań — tyle że Piotr ze względów uczuciowych nigdy do tego się nie przyzna. Gdy Otto, który nie ma takiej potrzeby udawania, mówi: „Jak tu nudno!”, wówczas niechybnie można dostrzec bolesny grymas Piotra. Jednakże Otto znacznie rzadziej bywa znudzony. W towarzystwie Piotra szczerze się bawi i rad jest, gdy może z nim przebywać, choćby i cały dzień. Często, gdy Otto plecie coś trzy po trzy przez godzinę, widać, że Piotr marzy o tym, żeby zamilkł i najlepiej poszedł sobie. Lecz przyznać się do tego oznaczałoby, zdaniem Piotra, totalną klęskę, więc tylko śmieje się i zaciera ręce, milcząco zachęcając mnie oczyma, abym go wspierał w tym udawaniu — przecież Otto jest nad wyraz czarujący i zabawny.

W drodze powrotnej przez las, po kąpieli, spostrzegłem idącego naprzeciw chytrego blond doktora. Było za późno, żeby zrobić zwrot na pięcie. Powiedziałem „dzień dobry” tak grzecznie i chłodno, jak tylko potrafiłem. Doktor by! w krótkich spodenkach do biegania i swetrze; wyjaśnił, że trenuje *Waldlauf*. — Ale teraz już chyba wróć — dodał. — Nie pobiegnie pan kawałek ze mną?

— Nie mogę — odpowiedziałem nierozważnie. — Bo widzi pan, wczoraj skreśliłem sobie trochę nogę w kostce.

Wolałbym się ugryźć w język niż zobaczyć ten błysk triumfu w jego oczach. — Ach, zwichnął pan nogę w kostce? Pozwoli pan, że zobaczę! — Kuląc się ze wstrętu, musiałem poddać się jego dźgającym palcom. — Ależ

to nic nie jest, zapewniam pana. Nie ma czego się obawiać.

Po drodze jał mnie wypytywać o Piotra i Ottona, wykręcając głowę, by popatrzeć na mnie za każdym ostrym, badawczym pchnięciem. Wprost pożerała go ciekawość.

— Moja praktyka kliniczna nauczyła mnie, że tego typu chłopcu nie ma co pomagać. Pański przyjaciel jest bardzo wielkoduszny i ma najlepsze chęci, ale popełnia wielki błąd. Ten typ chłopca zawsze powraca do dawnych skłonności. Z naukowego punktu widzenia jest dla mnie niezmiernie interesujący.

I jakby zamierzał powiedzieć coś szczególnie doniosłego, przystanął nagle na środku ścieżki, odczekał chwilę, by skoncentrować na sobie moją uwagę, i uśmiechając się oświadczył:

— On ma głowę kryminalisty!

— A pan uważa, że ludzi z głowami kryminalistów trzeba zostawić samym sobie, żeby stali się kryminalistami?

— Skądże znowu. Ja wierzę w dyscyplinę. Takich chłopców trzeba umieszczać w obozach pracy.

— I co pan zamierza z nimi zrobić w tych obozach pracy? Sam pan mówi, że nie da się ich zmienić, więc pewnie trzymałby ich pan do końca życia pod kluczem?

Doktorek roześmiał się rozkosznie, jakby to był dowcip wymierzony w niego, który umiał jednak docenić. Położył pieszczotliwie rękę na moim ramieniu:

— Jest pan idealistą! Niech pan nie sądzi, że obcy mi jest pański punkt widzenia. Ale ten pogląd nie jest naukowy, absolutnie nie naukowy. Pan razem z pańskim przyjacielem nie rozumiecie takich chłopców jak Otto. A ja rozumiem. Każdego tygodnia paru takich jak on przychodzi do mojej kliniki i muszę im operować adenoidy albo mastoiditis, czy migdały w ropnym stanie. Tak więc, jak pan widzi, znam ich na wylot!

— Może raczej należałoby powiedzieć, że zna pan ich gardła i uszy.

Być może moja znajomość niemieckiego nie zdołała

oddać w pełni sensu tej uwagi, w każdym razie doktorek całkowicie ją zignorował. — Znam ten typ chłopca doskonale — powtórzył. — Jest to typ niedobry, zdegenerowany. Nic pan z nich nie robi. Mają prawie zawsze, bez wyjątku, chore migdały.

Piotr i Otto toczą z sobą nieustannie małe potyczki, jednak nie mogę powiedzieć, żebym się źle czuł w ich towarzystwie. A właśnie teraz bardzo mnie wciągnęła moja nowa powieść. Dumając nad nią, często wypuszczam się na długie, samotne spacery. Zresztą, coraz częściej szukam pretekstu, żeby ich pozostawić samych. To egoizm, bo kiedy jestem z nimi, nieraz mi się udaje stłumić kłótnię w zarodku — ot, zmieniam temat albo rzucam jakiś żart. Wiem, że Piotr nie lubi tych moich ucieczek. — Jesteś ascetą — powiedział mi niedawno uszczypliwie — wciąż się oddalasz dla tych swoich kontemplacji. — Raz, gdy siedziałem w kawiarni koło moła, przysłuchując się orkiestrze, przechodzili obok Piotr z Ottonem. — A, to tutaj się ukrywasz! — zawołał Piotr. Spostrzegłem, że w tym momencie naprawdę mnie nie lubił.

Któregoś wieczoru szliśmy wszyscy trzej główną ulicą, po której spacerował tłum letników. — Dlaczego — zagadał Otto do Piotra z tym swoim szczególnie zjadliwym uśmiechem — musisz zawsze patrzeć w tę samą stronę co i ja? — Strzał był niespodziewanie celny, bo ilekroć Otto odwracał głowę za dziewczyną, oczy Piotra automatycznie sły za jego wzrokiem, wiedzione instynktowną zazdrością. Mijaliśmy właśnie witrynę fotografa, w której codziennie wystawiają inne grupki pstryknięte przez plażowych fotoreporterów. Otto przystanął, by przyjrzeć się jednemu z nowych zdjęć z taką uwagą, jakby przedstawiało coś wyjątkowo ponętnego. Spostrzegłem, że Piotr ściągnął wargi. Walczył z sobą, lecz nie mogąc pokonać własnej

zazdrosnej ciekawości, też przystanął. Zdjęcie przedstawiało jakiegoś starego tłuściocha z długą brodą, wymachującego proporczykiem Berlina. Otto widząc, że podstęp się udał, zarechotał złośliwie.

Po kolacji Otto niezmiernie wyrusza na dansing do Kurhausu albo do kawiarni nad jeziorem. Nie zadaje już sobie trudu, by pytać Piotra o pozwolenie; ustanowił prawo, że wieczory ma dla siebie. My z Piotrem zazwyczaj wychodzimy także, do wioski. Przechyleni przez poręcz przystani, stoimy w milczeniu długie chwile, wpatrzeni w paciorki światel odbitych w czarnej wodzie, każdy zajęty własnymi myślami. Niekiedy zaglądamy do „Bawarskiej” i Piotr upija się na umór — jego zacięte purytańskie wargi wykrzywają się z niesmakiem za każdym razem, gdy podnosi kieliszek do ust. Nie mówię ani słowa. Za wiele jest do powiedzenia. Wiem, że Piotr chce, abym napomknął coś prowokacyjnie o Ottonie, bo wówczas znakomicie by się wyładował. A ja nic, pijam prowadząc z nim jakąś oderwaną rozmowę o książkach, sztukach teatralnych i koncertach. Później, w drodze do domu, Piotr będzie stopniowo przyspieszał kroku, aż znalazłszy się za progiem, zostawi mnie i popędzi na górę do swego pokoju. Nieraz wracamy dopiero o wpół do pierwszej albo i za kwadrans pierwsza, lecz bardzo rzadko zastajemy tam Ottona.

Przy stacji kolejowej mieści się dom wypoczynkowy dla dzieci z hamburskich slumsów. Otto poznał wychowawczynię z tego domu i teraz prawie co wieczór chodzą razem na tańce. Dziewczyna maszeruje czasem ze swoją gromadką obok naszego domu, a wówczas dzieci patrzą w górę, na okna, i jeśli zdarzy się, że Otto wygląda właśnie na ulicę, pozwalają sobie na śmiałe zarciki. Trącają przy tym swoją młodą panią w ramię, szarpia, żeby też spojrziała w górę.

Dziewczyna w takich razach uśmiecha się wstydliwie i rzuca spod rzęs jedno krótkie spojrzenie Ottonowi, a wówczas Piotr, obserwujący to zza firanek, mamrocze przez zaciśnięte zęby: — Suka... suka... suka... — Ta tortura nęka go bardziej niż sama przyjaźń z Ottonem. Wędrując lasem, wciąż mamy wrażenie, że wpadamy na dzieci. Maszerują śpiewając patriotyczne piosenki o Ojczyźnie przenikliwymi, ptaszęcymi głosikami. Słyszymy je z daleka, a wtedy robimy w tył zwrot i idziemy w drugą stronę. Piotr mówi, że to tak jak z Kapitanem Hookiem i krokodylem.

Piotr zrobił awanturę, więc Otto poprosił przyjaciółkę, żeby nie prowadziła więcej swej gromadki koło jego domu. Cóż, kiedy dziatki zaczęły odwiedzać naszą plażę i kąpać się nie opodal naszego graj dołu. Za pierwszym razem wzrok Ottona nieustannie wędrował w tamtą stronę. Piotr widział to oczywiście i zaciął się w ponurym milczeniu.

— Co z tobą dzisiaj, Piotrze? — spytał Otto. — Czemu jesteś tak wrogo do mnie nastawiony?

— Wrogo do ciebie? — Piotr zaśmiał się złowieszczo.

— No to świetnie. — Otto zerwał się na nogi. — Rozumiem, że nie chcesz mnie tu widzieć. — I przeskoczywszy wał grajdołu, począł z gracją biec przez plażę w stronę dzieci i ich wychowawczyni, prezentując przy tym jak najkorzystniej swą figurę.

Wczoraj w Kurhausie odbywał się galowy wieczór. Otto, w przypływie niezwyklej łaskawości, obiecał Piotrowi, że wróci nie później niż za kwadrans pierwsza, Piotr przeto zasiadł z książką w rękę, żeby na niego poczekać. Ja sam nie byłem zmęczony i chciałem skończyć rozdział, więc zaproponowałem mu, żeby poczekał u mnie.

Pracowałem, Piotr czytał i tak z wolna płynęły godziny. Nagle spojrzałem na zegarek: było kwadrans po drugiej. Piotr przysnął w fotelu. Zastanawiałem się, czy go obudzić, gdy usłyszałem, że właśnie wraca Otto i idzie na górę. Po

krokach poznałem, że jest pijany. Nie zastawszy nikogo w pokoju, otworzył z hukiem moje drzwi. Piotr wzdrygnął się i wyprostował.

Otto szczyrzył w uśmiechu zęby, niedbale oparty o framugę. Zrobił w moim kierunku pijackowaty gest na powitanie. — Cały czas czytałeś? — zapytał Piotra.

— Tak — odparł Piotr, doskonale opanowany.

— Dlaczego? — Otto uśmiechnął się głupkowato.

— Bo nie mogłem spać.

— A dlaczego nie mogłeś spać?

— Dobrze wiesz, dlaczego — wycedził Piotr przez zęby. Otto ziewnął wyzywająco. — Nie wiem i nic mnie to nie

obchodzi... Nie rób takiego szumu.

— Boże! — Piotr zerwał się na równe nogi. — Ty świntuchu! — i wymierzył Ottonowi siarczasty policzek wierzchem dłoni. Otto nawet nie usiłował się bronić. Jego połyskliwe małe oczka rzuciły tylko Piotrowi niezwykle mściwe spojrzenie. — Dobrze — warknął. — Jutro wracam do Berlina — i chwiejnie odwrócił się na pięcie.

— Otto, chodź tutaj — zawołał Piotr. Widziałem, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem z wściekłości. Poszedł za Ottonem na podest schodów. — Chodź tutaj — powtórzył ostrym tonem rozkazu.

— Och, zostaw mnie w spokoju — odrzucił Otto. — Mam ciebie powyżej uszu. Teraz chce mi się spać, a jutro wracam do Berlina.

Dziś rano wszakże pokój został przywrócony — za pewną cenę. Skrucha Ottona przybrała formę nieoczekiwaną: roztkliwił się nad swoją rodziną. — Ja tu się zabawiam i nigdy o nich nie pomyślę... Mama, biedaczka, musi harować jak ten wół, a ma takie schorowane płuca... Wyślijmy jej trochę grosza, co, Piotrze? Poślijmy jej pięćdziesiąt marek... — Szczodrość Ottona przypomniła mu o jego własnych potrzebach. W uzupełnieniu sumy przeznaczonej dla Frau Nowak, Piotr został naciągnięty na

zakup nowego garnituru dla Ottona, co będzie kosztowało sto osiemdziesiąt marek, a prócz tego pary butów, szlafroka i kapelusza.

W zamian za te wydatki Otto sam się zobowiązał, że zerwie wszelkie stosunki z wychowawczynią. (Teraz się dowiadujemy, że dziewczyna tak czy owak opuszcza jutro wyspę.) Ukazała nam się po kolacji, spacerując przed domem.

— Niech sobie czeka, aż się zmęczy — powiedział Otto. — Nie zejść do niej.

Dziewczyna, ośmielona zniecierpliwieniem, zagwizdała. To już wprawiło Ottona w szal radości. Otworzywszy jednym ruchem okno, jął tańczyć wymachując ramionami i robiąc do niej obrzydliwe miny. Stała jak wryta na to niezwykle przedstawienie.

— Zabieraj się stąd! — wrzasnął Otto. — Wynoś się! Dziewczyna zawróciła i powoli, budząc żal, odeszła w gęstniejący mrok.

— Mógłbyś jej powiedzieć coś na pożegnanie — odezwał się Piotr, teraz już wielkoduszny, skoro zobaczył, że jego wróg się wycofuje.

Ale Ottonowi ani to było w głowie.

— Co ja mam z tych wszystkich zakichanych dziewczyn, tak czy owak? Co wieczór przychodziły, nie dawały mi spokoju, żebym z nimi tańczył... A ty wiesz, jaki jestem, Piotrze... jak łatwo mnie namówić... Jasne, że to było niktzemne z mojej strony tak ciebie zostawiać, ale co ja miałem zrobić? To wszystko przez nie, szkoda gadać...

Nasze życie wkroczyło obecnie w nową fazę. Postanowienia Ottona były krótkotrwałe. Większą część dnia spędzamy samotnie obaj z Piotrem. Wychowawczyni wyjechała, a wraz z nią ostatni powód, dla którego Otto kąpał się przy naszej plaży. Teraz chodzi co rano do kąpieliska koło przystani, żeby poplirtować i pograć w piłkę z partnerkami

no

od wieczornych tańców. Mały doktor też gdzieś się podział i obaj z Piotrem możemy do woli kąpać się i wylegiwać w słońcu bez przymusowych ćwiczeń.

Po kolacji zaczyna się rytuał przygotowań Ottona do dansingu. Ze swego pokoju słyszę kroki Piotra na podeście, lekkie i sprężyste, znamionujące ulgę — bo to jedyna pora dnia, kiedy Piotr czuje się zwolniony z wszelkiego zainteresowania poczynaniami przyjaciela. Puka do moich drzwi, więc zamykam natychmiast książkę. Zdażyłem już być w wiosce, żeby kupić pół funta miętówek. Piotr rzuca Ottonowi „do widzenia”, wciąż jeszcze z nikłą nadzieją, że może tamten wróci dziś wreszcie punktualnie: — Do wpół do pierwszej...

— Do pierwszej — targuje się Otto.

— Dobrze, niech będzie — ustępuje Piotr. — Do pierwszej. Ale nie później.

— Nie, nie później.

Otto macha nam ręką z balkonu, gdy otworzywszy furtkę, przechodzimy przez drogę wiodącą w las. Muszę uważać i ukryć pod płaszczem miętówki, żeby ich nie zauważył. Śmiejemy się jak winowajcy i żując miętówki ruszamy leśną ścieżką do Baabe. Ostatnio zawsze spędzamy tam wieczory. Wolimy ją od naszej wioski. Jedyna, i to piaszczysta, ulica Baabe, z jej domkami o nisko opuszczonych dachach, ma w sobie coś romantycznego, jakiś nastrój kolonialny; wygląda jak zrujnowana, zapadła osada w leśnych ostępach, dokąd ludzie przychodzą w poszukiwaniu nie istniejącej żyły złota i, zagubieni, pozostają już tam na resztę życia.

W maleńkiej restauracji zjadamy truskawki ze śmietaną i ucinamy sobie pogawędkę z młodym kelnerem. Kelner nienawidzi Niemiec i marzy, żeby pojechać do Ameryki. — *Hier ist nichts los* — powiada. W sezonie nie ma ani jednej wolnej chwili, a za to w zimie w ogóle nie zarabia. Większość chłopców z Baabe to naziści. Dwóch takich zagląda czasem do restauracji i wdają się z nami w **dobni**

roduszne polityczne sprzeczki. Opowiadają o swoich ćwiczebnych poligonach i żołnierskich grach.

— Przygotowujecie się do wojny — zauważa oburzony Piotr. I choć się polityką naprawdę zupełnie nie zajmuje, w takich momentach łatwo traci zimną krew.

— O, przepraszam — zaprzecza jeden z chłopców — to nieprawda. Fuhrer nie chce wojny. Nasz program opowiada się za pokojem, honorowo. Ale mimo to... — dodaje tęsknie i twarz mu się rozjaśnia — wojna może być wspaniała! Niech pan pomyśli o starożytnych Grekach!

— Starożytni Grecy — oponują — nie używali gazów trujących.

Chłopcy przyjmują ten haczyk raczej pogardliwie. — To czysto techniczne zagadnienie — rzuca wyniośle jeden z nich.

O wpół do jedenastej schodzimy wraz z tłumem mieszkańców do stacji kolejowej, aby popatrzeć na przyjazd ostatniego pociągu. Zwykle przychodzi pusty. Pobrzękując i podzwaniając zgrzytliwie, zanurza się w ciemny las. Czas już teraz odmaszerować do domu. Tym razem idziemy drogą. Z daleka, za łąkami widać rzęsiście oświetlone wejście do kawiarni nad jeziorem, do której Otto chodzi na tańce.

— Światła Piekieł jarzą się dziś okazale — to ulubiona uwaga Piotra.

Zazdrość doprowadziła go do bezsenności. Zaczął łykać tabletki, choć przyznaje, że rzadko odnoszą jakiś skutek, za to następnego rana po śniadaniu czuje się jak zaczadziały. Często też zasypia na jakąś godzinkę albo dwie w naszym grajdole nad brzegiem.

Dziś rano było chłodno i ponuro, a morze miało szary kolor ostrygi. Wynajęliśmy z Piotrem łódkę i powiosłowaliśmy za moło, by potem pozwolić jej dryfować miękko

z dala od brzegu. Piotr zapalił papierosa i odezwał się ni stąd, ni zowąd:

— Ciekaw jestem, jak to długo potrwa...

— Jak długo na to pozwolisz; tak przypuszczam.

— Właśnie... Zdaje się, że utknęliśmy w martwym punkcie. Wygląda na to, że nie ma żadnego szczególnego powodu, dla którego mielibyśmy z Ottonem inaczej wobec siebie postępować... — urwał, po czym dodał: — Chyba że przestanę dawać mu pieniądze, to jasne.

— A jak myślisz, co się wówczas stanie?

Piotr w zamyśleniu przebierał palcami w wodzie. — Porzuci mnie.

Łódź dryfowała jeszcze jakąś chwilę. — Sądziś, że mu na tobie w ogóle nie zależy? — zapytałem.

— Z początku może zależało... Teraz nie. Nic nas już nie łączy prócz moich pieniędzy.

— A tobie na nim zależy?

— Nie... Nie wiem. Może... Czasami go jeszcze nienawidzę... jeśli to oznaka, że jednak mi zależy.

— Możliwe, że tak.

Zapadło długie milczenie. Piotr wytarł palce w chusteczkę. Usta drgały mu nerwowo.

— No więc — rzucił wreszcie — co mi radzisz zrobić?

— A co ty c h e s z zrobić?

Usta Piotra znów zadygotały.

— Myślę, naprawdę, że chcę się z nim rozstać.

— W takim razie lepiej, żebyś się z nim rozstał.

— Od razu?

— Im prędzej, tym lepiej. Daj mu jakiś ładny prezent i odeślij go jeszcze dzisiaj po południu do Berlina.

Piotr potrząsnął głową i uśmiechnął się markotnie.

— Nie mogę.

Znów nastąpiła długa pauza. Wreszcie Piotr przemówił:

— Wybacz, Christopher... Masz absolutną rację, wiem. Gdybym był na twoim miejscu, powiedziałbym to samo... Ale ja nie mogę. Niech się to wszystko toczy dalej tak jak dotąd... póki się coś nie wydarzy. To już nie może potrwać długo, tak czy owak... Och, wiem, że ze mnie słabeusz...

— Przedemną nie musisz się tłumaczyć. — Uśmiechnąłem się, by pokryć lekką irytację. — Nie jestem twoim psychoanalitykiem!

Ująłem wiosła i zacząłem wiosłować w stronę brzegu. Kiedyśmy dobijali do przystani, Piotr powiedział:

— Śmiać mi się chce, jak dziś pomyślę, że kiedy poznałem Ottona, to zdawało mi się, że pozostaniemy razem

już na zawsze.

— O, mój Boże! — obraz życia pędzonego z Ottonem wyglądał w moich oczach jak komiczne piekło. Roześmiałem się na głos. Piotr roześmiał się także, wbijając między kolana zaciśnięte dłonie. Twarz jego z różowej zrobiła się czerwona, wreszcie purpurowa. Żyły mu nabrzmiały. Śmieliśmy się jeszcze po wyjściu z łódki.

W ogrodzie czekał na nas właściciel pensjonatu. — Co za szkoda! — zawołał. — Panowie się spóźnili! — Wskazał ręką w stronę jeziora za łąkami. Zobaczyliśmy dym unoszący się nad linią topól, gdy kolejka ruszyła ze stacji. — Przyjaciel panów musiał wyjechać do Berlina, nagle, w pilnych sprawach. Miałem nadzieję, że panowie zdążą się jeszcze z nim zobaczyć. Jaka szkoda!

Tym razem obaj z Piotrem pobiegliśmy na górę. Pokój Piotra wyglądał jak pobożowisko — otwarte były wszystkie szafy i szuflady. Na środku stołu sterczała wetknięta kartka, zabazgrana niewprawną ręką Ottona:

„Drogi Piotrze proszę Cię wybaczyć mi ale nie mogę już znieść tej miejscowości więc wracam do domu. Uściski Otto. Nie gniewaj się”. (Otto, jak zauważyłem, napisał to na przedtytułowej kartce wydartej z jednej z książek Piotra traktujących o psychologii: *Ponad zasadą przyjemności*.)

— No tak...! — Piotrowi zaczęły drżeć usta. Spojrzałem na niego podenerwowany, spodziewając się gwałtownego wybuchu, ale nie, wydawał się całkiem spokojny. Po chwili podszedł do szafy i jął przeszukiwać szuflady. — Nie wziął tak wiele — oznajmił na końcu poszukiwań. — Tylko parę krawatów, trzy koszule... szczęście, że moje buty na niego nie pasują! I jeszcze... zaraz, zaraz... jakieś dwieście marek... — Piotr roześmiał się dosyć histerycznie: — Ogółem biorąc, bardzo skromnie!

— Sądziś, że on zaplanował ten nagły wyjazd? — zapytałem, żeby coś powiedzieć.

— Pewnie tak. To do niego bardzo podobne... Teraz sobie przypominam, że mu powiedziałem o naszym zamiarze popływania rano łódką i że zapytał, czy długo nas nie będzie...

— Aha, rozumiem...

Usiadłem na łóżku Piotra i dziwne, ale pomyślałem sobie, że Otto zrobił wreszcie coś, co budzi mój szacunek.

Histeryczny dobry humor Piotra utrzymywał się przez całe przedpołudnie. Przy lunchu Piotr spochmurniał i nie odezwał się słowem.

— Muszę teraz się spakować — powiedział wreszcie, kiedyśmy skończyli.

— Ty też wyjeżdżasz?

— Oczywiście.

— Do Berlina?

Piotr uśmiechnął się. — Nie, Christopher, nie wpadaj w panikę! Tylko do Anglii...

— Ooo...

— Jest taki pociąg, który mnie dowiezie późnym wieczorem do Hamburga. Stamtąd pojedę chyba zaraz dalej... Czuję, że powinienem jechać, jechać bez ustanku, póki się nie wydostanę z tego cholernego kraju...

Cóż mogłem odpowiedzieć? Pomogłem mu się spakować, bez słowa. Kładąc do torby lusterko do golenia, Piotr zapytał: — Pamiętasz, jak Otto je potłukł stając na głowie?

— Tak, pamiętam.

Kiedyśmy skończyli pakowanie, Piotr wyszedł na balkon. — Ile to będzie gwizdania dzisiaj w nocy, tam, na dole

— zauważył.

Uśmiechnąłem się. — Będę musiał zejść i je pocieszyć. Piotr roześmiał się. — Tak, zrobisz to na pewno! Odprowadziłem go na stację. Na szczęście, maszyniście się spieszyło. Pociąg stał zaledwie parę minut.

— Co będziesz robił, jak przyjedziesz do Londynu?

— zapytałem.

Kąciki ust wygięły mu się w dół i uśmiechnął się jakoś na opak, tak, jakby się krzywił. — Rozejrzę się chyba za następnym psychoanalitykiem.

— Tylko pamiętaj, nie płąć mi za wiele!

— Dobrze.

Pociąg ruszył i Piotr pomachał mi ręką. — No, Christopher, do widzenia! Dziękuję za moralne wsparcie!

Nawet nie napomknął, żebym do niego napisał czy też go odwiedził. Myślę, że chce wymazać z pamięci tę miejscowość i wszystkich, którzy mieli z nią jakiś związek. Nie mogę go właściwie za to winić.

Dopiero dziś wieczorem, gdy wertowałem strony czytanej właśnie książki, znalazłem wetkniętą tam karteczkę od Ottona:

„Proszę cię kochany Christopherze i ty też na mnie się nie gniewaj bo nie jesteś idiotą tak jak Piotr. Jak wrócisz do Berlina to ciebie odwiedzę bo wiem gdzie mieszkasz.

Zobaczyłem adres na jakimś twoim liście i możemy sobie fajnie pogadać. Twój kochający cię przyjaciel Otto”.

Pomyślałem sobie czemuś, że nie będzie tak łatwo pozbyć się Ottona.

Teraz już za dzień, dwa sam wracam do Berlina. Myślałem, że posiedzę tu do końca sierpnia i może skończę swoją powieść, lecz nagle poczułem wokół siebie pustkę. Brakuje mi Piotra i Ottona, i ich codziennych kłótni znacznie bardziej, niż oczekiwałem. A i Ottonowe partnerki do tańca przestały się smętnie snuć o zmierzchu pod moim oknem.

NOWAKOWIE

Na Wassertorstrasse wchodziło się przez wielką, kamienną arkadową bramę, szczątek starego Berlina, pobazgraną rysunkami sierpów i miotów, i swastyk, oblepioną postrzępionymi plakatami obwieszczającymi aukcje lub przestępstwa. Była to mroczna, obskurna, wybrukowana kocimi łbami ulica, po której tam i siam lażyły rozmazane dzieci. Wyrostki w wełnianych swetrach krążyły między nimi chwiejnie na rowerach wyścigowych, pokrzykując do dziewczyn niosących dzbanki z mlekiem. Chodnik był poznaczony kredą, do gry w klasy zwanej tu: Niebo i Ziemia. Na końcu ulicy, niczym wysoki, niebezpiecznie ostry czerwonawy przyrząd, stał kościół.

Drzwi otworzyła mi sama Frau Nowak. Robiła wrażenie bardziej schorowanej, niż kiedy ostatnio ją widziałem; miała duże sine krążki pod oczami. Była w tym samym kapeluszu i wyświechtanym czarnym palcie. Nie poznała mnie z początku.

— Dobry wieczór, Frau Nowak.

Świdrująca podejrzliwość na jej twarzy przeszła z wolna w promienny, nieśmiały, prawie dziewczęcy uśmiech powitalny.

— A niech mnie, to przecie Herr Christoph! Proszę wejść, Herr Christoph! Proszę, niech pan siada.

— Pewnie miała pani właśnie wyjść?

— Nie, nie, Herr Christoph, dopiero co weszłam. Przed minutką. — Prędko wytarła ręce o płaszcz, zanim się ze mną przywitała. — Dzisiaj jest dzień, kiedy chodzę na posługi. Kończę dopiero wpół do trzeciej, dlatego mamy taki późny obiad.

Stanęła z boku, żeby mnie przepuścić. Pchnąłem szerzej drzwi, aż zazgrzytała rączka patelni na kuchennym piecu, stojącym tuż za drzwiami. W małej kuchence ledwie starczało miejsca dla nas dwojga. Mieszkanie wypełniał dławiący zapach kartofli smażonych na taniej margarynie.

— Niechże pan siada, Herr Christoph — powtórzyła krzątając się pośpiesznie. — Okropny tu bałagan, pan wybaczy. Muszę wstawać wcześniej rano, a moja Greta to taki kawał lenia, choć skończyła już dwanaście lat. Nie można jej zapędzić do roboty, chyba że by się nad nią stało cały czas.

Pokój miał obwisły sufit, poznaczony wyschniętymi zaciekami. Stał tam duży stół, sześć krzeseł, kredens i dwa szerokie łóża. Był tak zastawiony sprzętami, że trzeba się było przeciskać bokiem, żeby przejść.

— Greta! — zawołała Frau Nowak. — Gdzie ty jesteś? Chodź tu zaraz!

— Ona wyszła — dobiegł mnie głos Ottona z drugiego pokoju.

— Otto! Chodź, zobacz, kto przyszedł!

— Nie przeszkadzaj mi teraz. Jestem zajęty. Naprawiam gramofon.

— Zajęty! Kto by to pomyślał! Ty, taki nierób! Ładnie to mówić tak do matki? Wylaż z tego pokoju, słyszysz?

W mgnieniu oka wpadła w pasję, automatycznie, z zadziwiającą gwałtownością. Twarz jej to był w tej chwili jeden wielki nos — cienki, zawzięty, rozogniony. Trzęsła się na całym ciecie.

— Doprawdy nie warto, Frau Nowak — łagodziłem. — Niech wyjdzie, kiedy zechce. Tym większa go spotka niespodzianka.

— Miły synalek, nie ma co! Żeby tak mówić do mnie... Ściągnęła z głowy kapelusz i jęła wyjmować przetłuszczone pakunki ze sznurkowej siatki. — Boże kochany — zrzędziła rozdrażniona — ciekawam, gdzie to dziecko się podziewa. Ona by tylko siedziała na ulicy. Mówiłam jej raz, mówiłam setki razy, ale dzieci są nieusłuchane.

— A jak pani płuca, Frau Nowak?

Westchnęła. — Czasem mi się zdaje, że tak źle jeszcze nie było nigdy. Takie mam pieczenie, o, tutaj. A jak skończę robotę, to po prostu nie mam siły zjeść. Taka się robię stetryczala... Doktorowi też się to chyba nie podoba. Mówi, że później, zimą, trzeba mnie będzie wysłać do sanatorium. Raz już tam byłam, wie pan. Ale zawsze czeka tyle ludzi... A znów w mieszkaniu o tej porze roku jest okropna wilgoć. Widzi pan te ślady na suficie? Nieraz przyjdzie taki dzień, że trzeba podstawić wanienkę, żeby nie kapało na podłogę. Oni w ogóle nie mają prawa wynajmować takich poddaszy na mieszkania. Inspektor wciąż ich za to ruga. Ale co robić? Trzeba gdzieś mieszkać. Już przeszło rok będzie, jak napisaliśmy podanie o zamianę, a oni stale tylko obiecują, że się postarają. No bo jest pewnie tylu innych ludzi, którzy mają jeszcze gorzej... Mąż wyczytał dopiero co w gazecie

o Anglikach i ich funcie. Mówią, że ciągle spada. Ja tam się na tym nie rozumiem, ale pan, Herr Christoph, chyba nie stracił pieniędzy, mam nadzieję?

— Prawdę mówiąc, Frau Nowak, również i dlatego dziś panią odwiedziłem. Postanowiłem poszukać tańszego pokoju i przyszło mi na myśl, że może pani mogłaby mi coś polecić tutaj w okolicy?

— Boże ty mój, Herr Christoph, żal mi pana!

Była szczerze wstrząśnięta. — Ale pan przecież nie może mieszkać w tej dzielnicy... Taki elegancki człowiek! O, nie. Boję się, że to by panu w ogóle nie odpowiadało.

— Może nie jestem tak wybredny, jak się pani zdaje. Potrzebuję cichego, czystego pokoju za jakieś dwadzieścia marek. Nieważne, czy będzie mały, i tak większość dnia przebywam poza domem.

Kręciła głową z powątpiewaniem. — No, to będę musiała się rozejrzeć, Herr Christoph, może mi przyjdzie coś do głowy...

— Obiadu jeszcze nie ma, mam? — zapytał od progu drugiego pokoju Otto, pojawiając się w samej koszuli, bez marynarki. — Umieram z głodu!

— Jak ma być obiad, skoro tyram dla ciebie jak niewolnica przez całe przedpołudnie, ty leniu zatracony! — wrzasnęła piskliwie Frau Nowak, po czym, przechodząc natychmiast, bez najmniejszej pauzy, do towarzyskiego, przymilnego tonu, dorzuciła: — Nie widzisz, kto przyszedł?

— O... Christoph! — Otto, jak zwykle, z miejsca zaczął przedstawienie. Twarz jego rozjaśniła się powoli uśmiechem podobnym do wschodu słońca, dołki w policzkach drżały. Skoczył ku mnie i jedną rękę zarzucił mi na szyję, a drugą ścisnął moją dłoń. — Christoph, ty stary byku, gdzie się przez tyle czasu ukrywałeś? — W jego głosie pojawiła się nutka rzewnego napomnienia: — Tęskniliśmy za tobą, i to jak! Czemu nas nigdy nie odwiedzasz?

— Herr Christoph to bardzo zapracowany pan — pouczyła go Frau Nowak. — Nie może tracić czasu na bieganie za takim nierobem.

Otto skrzywił się w uśmiechu, mrugnął do mnie, po czym skarcił matkę:

— Co ty sobie myślisz, mam? Pozwalasz, żeby Christoph siedział tutaj i nie dostał nawet filiżanki kawy? Na pewno by się czegoś napił, jak się wgramolił na te nasze schody!

— Chcesz powiedzieć, że to ty byś się czegoś napił, prawda, Otto? Nie, dziękuję, Frau Nowak, nic nie będę pił, naprawdę. I nie będę już pani przeszkadzał w gotowaniu... Słuchaj, Otto, nie poszedłbyś ze mną teraz i nie pomógł mi znaleźć pokoju? Właśnie mówiłem twojej mamie, że mam zamiar tu zamieszkać w okolicy... Napijesz się kawy ze mną gdzieś po drodze.

— Jak to, Christoph, będziesz mieszkał tutaj, w Hallesches Tor? — i Otto zaczął tańczyć z radości. — O, mam, to dopiero będzie bomba! Jak się cieszę!

— Lepiej, żebyś poszedł teraz rozejrzeć się z Herr Christophem — poradziła Frau Nowak. — Obiadu nie będzie wcześniej niż za godzinę. Zawadzaj mi tu tylko. Nie, nie pan, Herr Christoph, skądże znowu. Pan wróci do nas i przekąsi pan coś z nami, dobrze?

— To bardzo miło z pani strony, ale obawiam się, że dziś mi się nie uda. Muszę wrócić do domu.

— Daj mi tylko przed wyjściem skórkę chleba, mam

— zakwilił Otto. — Tak mnie ssie w brzuchu, że mam kołowrotek w głowie.

— Dobrze, już dobrze. — Frau Nowak ukroiła kromkę chleba i, rozeźlona, prawie mu ją rzuciła. — Tylko nie miej do mnie pretensji, jak wieczorem nie będzie z czego zrobić tych twoich kanapek... Do widzenia, Herr Christoph, to bardzo ładnie, że pan nas odwiedził. Jeśli pan naprawdę zamieszka gdzieś w pobliżu, to mam nadzieję, że pan zajrzy częściej... Choć wątpię, żeby pan znalazł coś odpowiedniego. To nie będzie to, do czego pan jest przyzwyczajony...

Otto już wychodził za mną, gdy zawołała go jeszcze. Słyszałem jakąś kłótnię, potem drzwi się zatrzasnęły. Powoli zszedłem pięć pięter na podwórce. Panował tam wilgotny ziąb i mrok, mimo że na niebie przebijało przez chmurę słońce. Wszędzie wałały się w nieładzie rozbite wiadra, koła od dziecięcych wózków i kawałki opon rowerowych — jak przedmioty, które wpadły do studni.

Po jakichś dwóch minutach Otto z tupotem zbiegł po schodach.

— Mama nie chciała ci tego proponować — wysapał.

— Bała się, że cię urazi... Ale ja jej powiedziałem, że na pewno wolałbyś być z nami, bo u nas możesz robić, co ci się podoba, i wiesz, że wszystko jest czysto i ładnie, nie tak jak w jakimś obcym, zapluskwionym domu... Zgódź się, Christoph, proszę cię! Ale będzie ubaw! Możemy spać w tamtym drugim pokoju. Będziesz spał na łóżku Lothara, jemu wszystko jedno. On może spać na tym podwójnym łóżku z Gretą... A rano możesz się wylegiwać, ile ci się żywnie podoba. Jak chcesz, będę przynosił ci śniadanie... No, sprowadzisz się do nas, prawda? I tak oto rzecz została załatwiona.

Mój pierwszy wieczór u Nowaków w charakterze lokatora przypominał trochę uroczystość. Gdy pojawiłem się z dwiema walizkami tuż po piątej, Frau Nowak przygotowywała już kolację. Otto szepnął mi do ucha, że szykuje się nie lada przysmak: gulasz z płucek.

— Boję się, że nasze jedzenie nie będzie panu zbyt do smaku po tym, do czego pan przywykł — zauważyła Frau Nowak. — Ale postaramy się, jak możemy. — Była cała w uśmiechach i aż kipiała podnieceniem. Uśmiechałem się i ja — bez końca, skrepowany, z uczuciem, że przeszkadzam. Wreszcie, przekraczając sprzęt pokoju bawialnego, przeciśniełem się do swego łóżka. Usiadłem na nim widząc, że nie ma gdzie się rozpakować. Nie było także najwyraźniej miejsca na ubrania. Przy stole w pierwszym pokoju Greta bawiła się kalkowaniem obrazków z papierosowych opakowań. Była ociężałym dwunastoletnim dzieckiem o cukierkowej urodzie, za grubym, przygarbionym. Czując moją obecność, zachowywała się nienaturalnie — wierała się przybierając sztucznie uśmiechnięte miny i raz po raz wołała z afektowanym „dorosłym” zaśpiewem w stronę kuchni:

— Mamusiu, chodź, zobacz, jakie ładne kwiaty!

— Nie mam czasu na twoje ładne kwiaty! — wybuchnęła w końcu Frau Nowak, już na dobre rozjątrzona. — Córeczka jak ten słoń, a ja muszę tyrać sama przy kuchni, żeby było co jeść na kolację!

— Masz rację, mam! — włączył się rozradowany Otto. I zaraz pełen słusznego oburzenia naskoczył na Gretę:

— Czemu jej nie pomagasz, chciałbym wiedzieć? Tuścioch jeden. Całymi dniami tylko siedzisz i próżnujesz. Złaz zaraz z tego krzesła, słyszysz? I zabierz te śmierdzące malunki, bo je spalę.

Jedną ręką zgarnął obrazki, a drugą wymierzył jej policzek. Greta, której wyraźnie nic się nie stało, jęła zawodzić teatralnie: — Och, jak boli, Otto! — Zakryła rękami twarz, zerkając na mnie przez rozsunięte palce.

— Zostawisz to dziecko w spokoju? — zajazgotała z kuchni Frau Nowak. — I kto tu mówi o próżniactwie? A ty, Greta, przestań wyć, bo powiem Ottonowi, żeby ci dobrze przylał, tak że będziesz miała o co płakać. Przez te wasze kłótnie wszystko mi z rąk leci.

— Ależ mam! — Otto wpadł do kuchni, objął ją w pół i obsypał pocałunkami. — Biedne mamusiątko, mała *Mutti*, malutka *Muttchen* — zaszczebiotał ckliwie. — Musisz tak ciężko harować, a z Ottona taki potwór. Ale on nie ze złej woli, sama wiesz, jest tylko głupi, i nic więcej... Przynieść ci węgla na jutro, mamusiu? Chcesz?

— Puść mnie, ty stary obłudniku! — zawołała Frau Nowak, szamocząc się i śmiejąc. — Nie potrzebuję tych umizgów! Dużo cię obchodzi twoja biedna stara matka! Puść mnie, żebym spokojnie zrobiła, co mam zrobić.

— Otto nie jest zły — ciągnęła, już do mnie, gdy ją uwolnił wreszcie — tylko taki postrzelony. Całkiem odwrotnie niż mój Lothar; tamten to pan zobaczy: wzór dobrego syna. Żadnej roboty się nie wstydzi, żeby nie wiem jakiej, a jak już uciula parę groszy, to zamiast je wydać na siebie, przychodzi prosto do mnie i mówi: „Masz, mam, kup sobie ciepłe bambosze na zimę” — i Frau Nowak wyciągnęła ku mnie rękę, jakby dawała mi pieniądze. Podobnie jak Otto, miała nawyk odgrywania każdej opisywanej sceny.

— Ach, Lothar to, Lothar tamto — przerwał jej gniewnie Otto. — Zawsze tylko Lothar. A powiedz mi, mam, który to z nas dał ci przedwczoraj dwadzieścia marek?

Lothar nie zarobiłby dwudziestu marek i przez całą wieczność. Ale skoro tak mówisz, to nie spodziewaj się ode mnie więcej; nawet żebyś błagała na kolanach.

— Ty nieponiu! — Frau Nowak w mgnieniu oka przyjęła z powrotem postawę wojowniczą. — Nie wstyd ci mówić takie rzeczy przy panu Christophie?! Bo jakby wiedział, skąd się wzięło te dwadzieścia marek — i jeszcze dużo więcej — toby już ani chwili nie chciał przebywać z tobą pod jednym dachem, gardziłby tobą. I miałby rację! Co za czelność — mówić, że mi dał e s e te pieniądze! Dobrze wiesz, że jakby ojciec nie zobaczył tej koperty...

— Ano właśnie! — wykrzyknął Otto, strojąc do niej małą minę, i zatańczył z podniecenia. — O to mi chodziło! Żebyś się przyznała Christophowi, że ukradłaś te pieniądze! Jesteś złodziejką! Jesteś złodziejką!

— Otto, jak śmiesz! — i ręka Frau Nowak błyskawicznie, jak furia, chwyciła za pokrywkę. Uskoczyłem w tył, potknąłem się o krzesło i kląpnąłem ciężko. Greta wydała afektowany pisk radości i trwogi. Drzwi się otworzyły. To wrócił z pracy Herr Nowak.

Był krzepko zbudowanym, przysadzistym, niedużym mężczyzną ze spiczastym wąsem, krótko przystrzyżoną czupryną i krzaczastymi brwiami. Na widok tej sceny chrząknął przeciągle, co przypominało nieco czkawkę. Najwyraźniej nie rozumiał, co się dzieje, albo może było mu wszystko jedno. Frau Nowak nie pospieszyła z wyjaśnieniem. Spokojnie powiesiła na haczyku pokrywkę. Greta zerwała się z krzesła i podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami: — *Pappi! Pappi!*

Herr Nowak uśmiechnął się do niej, odsłaniając parę pociemniałych od nikotyny pieńków zębów. Schylił się i podniósł ją do góry, ostrożnie i fachowo, z niejaką ciekawością i podziwem, jak olbrzymią drogocenną wagę. Był z zawodu tragarzem mebli. Potem wyciągnął rękę — bez pośpiechu, łaskawie, bez nadmiernego starania, żeby się spodobać:

— Serwus, Herr!

— Nie cieszysz się, że Herr Christoph będzie u nas mieszkał, *Pappf?* — zaświergotała słodziuteńko Greta, usadowiona na ramieniu ojca. Na co Herr Nowak, jakby w nagłym przyływie energii, zaczął ponownie, już o wiele serdeczniej, ścisnąć moją rękę i grzmocić mnie po plecach.

— Czy się cieszę? No pewnie, że się cieszę! — energicznie przytakiwał głową. — *Englisch man? Anglais, co?* Cha, cha. Zgadza się? Tak, tak; ja, widzi pan, rozmawiam po francusku. Teraz to już prawie wszystko zapomniałem. Na wojnie się nauczyłem. Byłem *Feldwebel*, na Zachodnim Froncie. Rozmawiałem z wieloma jeńcami. Porządne chłopaki. Całkiem jak my...

— Znów się upiłeś, ojciec! — zawołała Frau Nowak z odrazą. — Co też Herr Christoph sobie pomyśli!

— Christophowi to nie przeszkadza, no nie, Christoph?

— Herr Nowak poklepał mnie po ramieniu.

— Christoph, rzeczywiście! Dla ciebie on jest Herr Christoph! Nie widzisz, że masz do czynienia z prawdziwym panem?

— O wiele bym wolał, żeby pan mówił mi po imieniu — zapewniłem.

— Racja! Christoph ma rację! Wszyscy jesteśmy z jednej krwi i kości... *Argent, money*— wszystko jedno! Cha, cha!

Otto ujął mnie pod drugie ramię. — Christoph już należy do rodziny!

Zasiedliśmy zaraz do olbrzymiej kolacji, na którą się składały duszone płucka, gotowane kartofle, czarny chleb i kawa słodowa. Frau Nowak, w pierwszym szaleństwie wywołanym tak wielką ilością pieniędzy do wydania (dałem jej z góry dziesięć marek za tygodniowe utrzymanie), ugotowała kartofle dla tuzina osób. Co chwila zsuwała mi je na talerz z ogromnego półmiska, aż zląkłem się, że się udławię. — Jeszcze trochę, Herr Christoph. Nic pan nie je.

— W życiu tyle nie zjadłem, Frau Nowak.

— Christophowi nie smakuje nasze jedzenie — stwierdził Herr Nowak. — Nie przejmuj się, Christoph, przyzwyczaisz się. Z Ottonem było tak samo, jak wrócił znad morza. Przyzwyczaił się do różnych smakołyków z tym swoim Anglikiem...

— Zamilcz, ojciec — upomniała go Frau Nowak. — Nie możesz zostawić go w spokoju? Otto jest na tyle dorosły, że sam może odróżnić, co dobre, a co złe, więc tym bardziej się powinien wstydzić!

Jedliśmy jeszcze, gdy wszedł Lothar. Rzucił czapkę na łóżko, uściśnął mi rękę uprzejmie, lecz bez słowa, z lekkim ukłonem, i zasiadł przy stole. Moja obecność najwyraźniej wcale go nie zdziwiła ani nie zaciekała; ledwie mnie w ogóle dostrzegł. Wiedziałem, że ma dopiero dwadzieścia lat, ale równie dobrze mógłby mieć znacznie więcej. Był już mężczyzną. Otto wyglądał przy nim nieomal jak dziecko. Lothar miał szczupłą, kościstą chłopską twarz, której rysy zaostrzyła przechowywana we krwi pamięć jałowych pól.

— Lothar idzie do szkoły wieczorowej — oznajmiła z dumą Frau Nowak. — Miał robotę w warsztacie samochodowym, wie pan, a teraz chce uczyć się na inżyniera. W dzisiejszych czasach nie przyjmą pana nigdzie, jak nie ma pan jakiegoś dyplomu. Musi panu pokazać swoje rysunki, Herr Christoph, jak pan znajdzie dłuższą chwilę czasu. Nauczyciel powiedział, że bardzo dobrze mu to idzie.

— Chciałbym je zobaczyć.

Lothar nic nie odpowiedział. Żał mi się go zrobiło i poczułem się głupawo. Ale Frau Nowak nie ustępowała; chciała się nim pochwalić.

— W które wieczory masz lekcje, Lothar?

— Poniedziałki i czwartki. — Jadł dalej niespiesznie, wytrwale, nie podnosząc głowy znad talerza. Po chwili, chcąc może pokazać, że nie żywi wobec mnie żadnych nieprzyjaznych uczuć, dodał: — Od ósmej do wpół do jedenastej. — Ledwieśmy skończyli, wstał bez słowa, uściśnął mi rękę z tym samym lekkim ukłonem, wziął czapkę i wyszedł.

Frau Nowak popatrzyła za nim i westchnęła: — Idzie pewnie do tych swoich Nazich. Nieraz bym wolała, żeby w ogóle się z nimi nie zadawał. Napychają mu głowę rozmaitymi głupotami. Dlatego nie może sobie znaleźć miejsca. Całkiem się odmienił, odkąd przystał do nich... Choć ja sama na polityce się nie rozumiem. Zawsze mówię: czy nie lepiej byłoby mieć znowu kajzera? Wtedy to były dobre czasy, mówcie sobie, co chcecie!

— Och, na diabła ci twój stary kajzer — wtrącił Otto.

— Nam potrzeba komunistycznej rewolucji.

— Komunistycznej rewolucji! — zachnęła się Frau Nowak. — Też mi pomysł! Komuniści to wszystko nicponie, nieroby tak jak ty, co to w życiu nie przepracowali uczciwie jednego dnia.

— Christoph jest komunistą — obwieścił Otto. — No nie, Christoph?

— Obawiam się, że nieprawdziwym.

Frau Nowak uśmiechnęła się. — Co jeszcze wymyślisz mądrego? Jak Herr Christoph może być komunistą? Jest przecie prawdziwym panem.

— A ja mówię... — Herr Nowak odłożył nóż i widelec, po czym starannie wytarł wąsy wierzchem dłoni — ...że wszyscy jesteśmy równi, tak jak nas Pan Bóg stworzył. Ty jesteś tak samo dobry jak i ja, a ja tak jak ty. Francuz jest nie gorszy od Anglika, a Anglik od Niemca. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Kiwnąłem głową.

— Weźmy na przykład wojnę. — Herr Nowak odsunął od stołu swoje krzesło. — Któregoś dnia byłem w lesie. Samiusieńki. Tak sobie chodziłem po tym lesie, jakbym chodził po ulicy... Aż tu nagle przede mną staje Francuz. Jakby z ziemi wyrósł. Był nie dalej ode mnie niż ty teraz. — Mówiąc to, Herr Nowak zerwał się na równe nogi i porwawszy ze stołu nóż do chleba, trzymał go przed sobą w pozycji obronnej niczym bagnet. Łypał na mnie przy tym spod krzaczastych brwi, przeżywając na nowo tamtą scenę.

— Stoimy i patrzymy jeden na drugiego. A ten Francuz był błydy jak śmierć. I ni stąd, ni zowąd krzyczy: „Nie strzelaj do mnie!” Tymi słowami. — Herr Nowak złożył dłonie w błagalnym geście. Kuchenny nóż teraz przeszkadzał, więc położył go na stole. — „Nie zabijaj mnie! Mam pięcioro dzieci.” (Mówił po francusku oczywiście, ale ja go rozumiałem. Wtedy jeszcze mówiłem perfekt po francusku, tylko teraz trochę zapomniałem.) No więc patrzę ja na niego, a on na mnie. I w końcu mówię: „*Ami*” (znaczy: przyjaciel). I podajemy sobie ręce. — Herr Nowak pochwycił moją rękę w obie dłonie i ścisnął ją z przejęciem.

— A potem rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę... tyłem. Nie chciałem dostać w plecy. — Wciąż wpatrzony przed siebie, Herr Nowak zaczął cofać się ostrożnie, krok po kroku, aż gwałtownie zderzył się z kredensem. Spadła fotografia w ramce, rozbiło się szkło.

— *Pappi! Pappi!* — krzyknęła Greta w zachwycie.

— Zobacz, co zrobiłeś!

— Może to będzie dla ciebie nauczka, żebyś przestał się wygłupiać, ty stary błaznie! — warknęła Frau Nowak. Greta wybuchnęła głośnym, teatralnym śmiechem, aż Otto trzepnął ją w twarz i wówczas uderzyła w równie teatralny lament. Herr Nowak zdążył tymczasem przywrócić żonie dobry humor pocałunkiem i uszczyptnięciem w policzek.

— Odsuń się ode mnie, ty gburze — wzbraniała się ze śmiechem, zadowolona w duchu, że przy tym jestem.

— Zostaw mnie w spokoju, cuchniesz piwem!

Dawałem wówczas bardzo dużo lekcji. We dnie na ogół nie bywałem w domu. Moje uczennice mieszkały w różnych punktach modnych przedmieść zachodniej strony miasta — były to bogate, dobrze zakonserwowane panie w wieku Frau Nowak, tyle że wyglądały o dziesięć lat młodziej. Upodobały sobie lekką angielską konwersację w nudne popołudnia, kiedy ich mężowie przebywali jeszcze w biurze. Siedząc na jedwabnych poduszkach przed buzującym ogniem w kominku, dyskutowaliśmy o *Kontrapunkcie* i *Kochanku Lady Chatterley*. Lokaj wnosił herbatę i posmarowane masłem grzanki. Czasem, gdy już znużyły się literaturą, zabawiałem je opowieściami o domu Nowaków. Pilnowałem się tylko, by nie zdradzić, że tam mieszkam — zaszkodziłoby moim interesom takie przyznanie się do ubóstwa. Panie płaciły mi trzy marki za godzinę; z pewnymi oporami, bo starały się, jak mogły, obniżyć mi stawkę do dwóch i pół. Przeważnie próbowały także,

świadomie albo podświadomie, przedłużyć lekcję. Musiałem więc ciągle zerkać na zegarek.

Mniej osób wolało lekcje rano i tak się ułożyło, że wstawałem zwykle dużo później niż reszta domowników. Frau Nowak chodziła na posługi, Herr Nowak do swego przedsiębiorstwa wywozu mebli, Lothar, który był bez pracy, pomagał przyjacielowi roznosić gazety, Greta szła do szkoły. Tylko Otto dotrzymywał mi towarzystwa, chyba że niekiedy matka, gderając nieustannie, wyganiała go do urzędu zatrudnienia, żeby podstemplował sobie kartę.

Przynosił zwykle śniadanie dla nas obu — po filiżance kawy i kromce chleba z jakimś tłuszczem — a potem zrzucał piżamę i zabierał się do ćwiczeń: boksowania z niewidocznym przeciwnikiem albo stawania na głowie. Napinał mięśnie, abym je podziwił, to znów, przycupnąwszy na moim łóżku, opowiadał mi historyjki:

— Mówiłem ci kiedyś, Christoph, jak zobaczyłem Rękę?

— Nie, chyba nie.

— No to posłuchaj... Którejś nocy, jak byłem jeszcze malutki, leżałem sobie w łóżku. Było bardzo późno i okropnie ciemno. Nagle się budzę i widzę ogromną czarną rękę, jak wyciąga się nad łóżkiem. Tak się przeląknęłam, że nie mogłem nawet krzyżeć. Podciągnąłem tylko nogi pod brodę i patrzyłem. Potem, za chwilę, ręka znikła, a ja się rozwrzeszczałem. Przybiegła mama, więc jej mówię: „Mamo, widziałem Rękę”. Ale ona się tylko roześmiała. Wcale mi nie uwierzyła.

Niewinna twarz Ottona z dwoma dołkami, jak bułeczka, bardzo spoważniała. Przygwoździł mnie swymi śmiesznie małymi, świecącymi oczkami, mobilizując cały swój potencjał narracyjny:

— A w ileś lat potem, Christoph, pracowałem jako czeladnik u tapicera. No i któregoś dnia — to było w biały dzień, przed południem — siedzę na stołku i coś dłubię, aż tu nagle w pokoju jakby pociemniało, podnoszę głowę i widzę Rękę — tak blisko jak ty teraz — a potem zamknęła się nade mną. Poczulem, że ręce i nogi mi lodowacieją, nie mogłem oddychać ani wołać. Szef zobaczył, jak okropnie zbladłem, i pyta: „Co ci jest, Otto, źle się czujesz?” A Ręka wtedy jakby zaczęła się oddalać, robiła się coraz mniejsza, aż w końcu została z niej tylko czarna kropka. Kiedy znów podniosłem głowę, w pokoju już było jasno, tak jak zawsze, a ta czarna kropka to była wielka mucha, co łąziła sobie po suficie. Cały dzień byłem taki chory, że szef musiał odesłać mnie do domu.

Twarc Ottona pobladła w trakcie tej opowieści i rysy przybrały na chwilę przeraźliwy wyraz. Był teraz tragiczny, maleńkie oczka lśniły łzami.

— Pewnego dnia znów zobaczę Rękę. I wtedy umrę.

— Nonsens — roześmiałem się. — Ochronimy cię. Otto z największym smutkiem pokręcił głową:

— Miejmy nadzieję. Ale boję się, Christoph, że nic z tego. Ręka i tak w końcu mnie dosięgnie.

— Jak długo pracowałeś u tapicera?

— Och, niedługo. Tylko parę tygodni. Szef był dla mnie taki niezyczliwy. Zawsze dawał mi najcięższe roboty do zrobienia — takiemu małemu szczawikowi. Któregoś dnia spóźniłem się o pięć minut. Zrobił piekielną awanturę, nazwał mnie *verfluchter Hund*. Myślisz, że to przeląknęłam? — Otto pochylił się do przodu i wyciągnął ku mnie twarz, skurczoną jak u małpy grymasem złośliwości. — *Nee, nne! Bei mir nicht!* — Jego malutkie oczka utkwiły we mnie ze zdumiewającą siłą małpiej nienawiści. Ściągnięte rysy gwałtownie zeszeptniały. Ale po chwili już się rozluźniły. Przestałem być tapicerem. Otto roześmiał się radośnie i niewinnie, odrzucając w tył włosy i odsłaniając zęby.

— Udałem, że mu chcę dać w łeb. Nieźle go przestraszyłem! — wykonał gest naśladowujący przestraszony mężczyzny w średnim wieku zasłaniającego się przed ciosem i zarechotał znowu.

— A potem musiałeś odejść?

Przytaknął głową. Powoli twarz mu się zmieniała, oblekając się znowu w melancholię.

— I co na to rodzice?

— Och, oni zawsze byli przeciwko mnie. Nawet jak byłem mały. Jeśli zostawały tylko dwie skórki chleba, mama zawsze dawała większą Lotharowi. A jak się skarżyłem, to mówili: „Idź, zapracuj. Jesteś już na tyle duży. Sam się postaraj o jedzenie. Dlaczego my mamy ciebie utrzymywać?” — Oczy Ottona zwilgotniały z najszczerzego żalu. — Nikt mnie tu nie rozumie. Nikt nie jest dla mnie dobry. Oni wszyscy mnie naprawdę nienawidzą. Woleliby, żeby umarł.

— Jak możesz pleść takie bzdury, Otto? Twoja matka na pewno nie czuje do ciebie nienawiści.

— Biedna mama! — zgodził się ze mną Otto. Natychmiast zmienił ton, jakby zupełnie nieświadomy tego, co powiedział przed chwileczką. — To okropność. Nie mogę patrzeć, jak ona haruje dzień w dzień. Wiesz, Christoph, że ona jest bardzo, bardzo chora? Nieraz w nocy kaszle godzinami. Czasem nawet pluje krwią. A ja nie mogę zmrużyć oka, bo mi się zdaje, że ona umiera.

Pokiwałem głową. Wbrew woli, zacząłem się uśmiechać. Nie żebym nie wierzył w to, co powiedział o Frau Nowak, ale on sam, siedzący w kucki na łóżku, był zwierzęcym okazem żywotności, jego nagie brązowe ciało lśniło takim zdrowiem, że ta jego gadanina o śmierci wydawała się niedorzeczna, jakby wypacykowany kłown rozprawił o pogrzebie. Musiał chyba to zrozumieć, bo uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi, bynajmniej nie speszony moją jawną bezdusnością. Wyprostował nogi i pochyliwszy się bez wysiłku, chwycił rękami stopy. — Potrafisz to, Christoph?

Zaświtała mu w głowie jakaś myśl, która go ucieszyła. — Christoph, jeżeli ci coś pokażę, to przysięgniesz, że nie pójdziesz o tym nikomu?

— Dobrze.

Wstał i wgramolił się pod swoje łóżko. W kącie pod oknem jedną deskę podłogi można było wyjąć i podniósłszy ją, wygrzebał blaszane pudełko po biskoptach. Pełne było listów i fotografii. Rozrzucił je na łóżku.

— Mama, jakby to znalazła, toby je spaliła... Popatrz, Christoph, jak ci się ta podoba? Ma na imię Hilda. Poznałem ją w tym lokalu, do którego chodzę na potańcówki... A to Maria. Prawda, jakie ma przepiękne oczy? Szaleje za mną, wszystkie chłopaki są zazdrosne. Ale tak naprawdę, to ona nie jest w moim typie. — Otto pokręcił głową z całą powagą. — Wiesz, to dziwna rzecz, ale jak tylko widzę, że dziewczyna leci na mnie, przestaje mnie interesować. Chciałem z nią zerwać na amen, ale przyszła tu, do domu, i zrobiła taki szum przy matce, że muszę się z nią widywać czasem, żeby nie skwierczała... A to Truda... słowo honoru, Christoph, uwierzysz, że ona ma dwadzieścia siedem lat? Fakt! Z taką cudowną figurą! Mieszka w West End, ma własne mieszkanie! Dwa razy się już rozwiodła. Mogę tam chodzić, kiedy zechcę. A to zdjęcie jej brat zrobił. Chciał nas popstrykać trochę razem, ale mu nie pozwoliłem. Bałem się, że potem te fotosy posprzedaje, a za to można iść do ciupy, wiesz... — Otto uśmiechnął się głupawo i wręczył mi pakiecik listów. — Masz, przeczytaj, uśmiejesz się. Ten jest od jednego Holendra. Ma taki wielki samochód, jakiego w życiu nie widziałem. Byłem z nim na wiosnę. Pisuje do mnie czasem. Ojciec to wywuchał i teraz pilnuje, bo może jakaś forsa jest w kopercie. Sukinsyn! Ale ja go przechytryłem! Powiedziałem swoim przyjaciółom, żeby adresowali listy do piekarni na rogu. Syn piekarza to mój kumpel...

— Masz jakieś wiadomości od Piotra?

Otto popatrzył na mnie przez chwilę z wielką powagą.

— Christoph...

— Słucham?

— Czy mogę cię o coś prosić?

— O co? — zapytałem ostrożnie. Otto zawsze wybierał najmniej oczekiwany moment, żeby poprosić o małą pożyczkę.

— Proszę cię... — mówił teraz tonem łagodnego napomnienia — proszę, nigdy mi więcej o Piotrze nie wspominaj ...

— Och, dobrze — zgodziłem się mocno zaskoczony. — Jeśli sobie nie życzysz.

— Bo widzisz, Christoph... Piotr mnie bardzo zranił. Myślałem, że jest moim przyjacielem. A on zniemacka mnie opuścił... zostawił mnie samego.

Na dnie mrocznej studni podwórza, gdzie tej wilgotnej jesieni mgła nigdy się nie podnosiła, uliczni śpiewacy i muzycanci prześcigali się wzajemnie w popisach, które zdawały się nie mieć końca. Były tam gromadki chłopców z mandolinami, jakiś staruszek grywał na harmonii, to znów jakiś ojciec śpiewał ze swymi małymi córeczkami. Ulubionym szlagierem był niezmiennie *Aus der Jugendzeit*. Nieraz słyszałem go z dziesięć razy w ciągu jednego poranka. Ojciec dziewczynek był sparaliżowany i wydawał z siebie tylko rozpaczliwe, gardłowe osłe dźwięki; za to córeczki wywodziły swoje trele z energią wręcz diabelską. „*Sie kommt nicht mehr!*” — wrzeszczały unisono niczym powietrzne demony rozradowane zawiedzionymi nadziejami ludzkości. Od czasu do czasu z jakiegoś okna, skądś z wysoka, ciskano zawinięty w skrawek gazety grosik. Uderzał w chodnik, rykoszetował jak karabinowa kula, ale dziewczynki przyjmowały to bez drgnienia.

Co jakiś czas odwiedzała Frau Nowak pielęgniarka środowiskowa, kręciła głową na widok warunków, w jakich u nas się sypiało, i zniknęła. Przychodził także inspektor mieszkaniowy, blade młodzian z rozpiętym

kołnierzykiem u koszuli (nosił takie najwyraźniej dla zasady), i czynił obszerne notatki. Strych, obwieszczal Frau Nowak, urąga przepisom sanitarnym i jest absolutnie niemieszkalny. Mówił to z miną, w której czaiła się nagana, jakby to była po części nasza wina. Frau Nowak z całego serca nie cierpiała tych wizyt. Jej zdaniem, ci ludzie przychodzili zwyczajnie na przespiesi. Prześladowała ją obawa, że pielęgniarzka czy inspektor zajrzą w chwili, kiedy w domu będzie panował nieporządek. Te podejrzania były tak ugruntowane, że posuwała się nawet do kłamstewek — udawała, że przeciek w dachu to nic poważnego, żeby tylko jak najprędzej ich się pozbyć.

Jeszcze jednym regularnym gościem był żydowski krawiec, handlujący też konfekcją — sprzedawał na raty różną odzież. Był nieduży, uprzejmy i miał wielką siłę przekonywania. Całymi dniami krążył po okolicznych domach, zbierając tu pięćdziesiąt fenigów, a tam markę, wyskrobując te swoje niepewne środki egzystencji jak kura z jałowej widać gleby. Nigdy nie naciskał mocno o pieniądze; wołał raczej skłonić swych dłużników, by wzięli jeszcze coś z jego towarów i rozpoczęli nową serię spłat. Dwa lata temu Frau Nowak kupiła za trzysta marek kostiumik, a także płaszcz dla Ottona. Kostium i płaszcz dawno już są znoszone, ale do spłaty długu daleko. Wkrótce po moim wprowadzeniu się Frau Nowak zadłużyła się na ubranie dla Greta na sumę siedemdziesięciu pięciu marek i krawiec nie sprzeciwiał się temu wcale.

Cała dzielnica była mu winna pieniądze, a mimo to nie był postacią nie lubianą — pełnił rolę osoby dobrze znanej, którą ludzie przeklinają, lecz bez prawdziwej złości. „Może i Lothar ma rację — mawiała czasem Frau Nowak. — Jak przyjdzie Hitler, to pokaże tym Żydom, gdzie raki zimują. Przeszaną być wtedy tacy bezczelni.” Ale gdy podpowiadałem, że Hitler, jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, całkiem zlikwiduje tego krawca, o, wówczas Frau Nowak z miejsca przybierała inny ton: „No, tego bym nie chciała. On robi bardzo dobre ubrania, jak już o to chodzi. A poza tym Żyd zawsze odczeka, jak człowiek ma trudności. Nie znajdzie pan chrześcijanina, żeby dawał na kredyt tak jak on... Niech pan zapyta ludzi w naszej okolicy, Herr Christoph, nigdy by nie wyrzucili Żydów”.

Otto, który przez cały dzień obijał się ze smętną miną — albo łąził z kąta w kąt, albo gwarzył z kumplami przy wejściu na podwórze — zaczynał się pod wieczór rozpogadzać. Po powrocie z pracy zastawałem go zazwyczaj w trakcie przebierania się — ściągał sweter i pumpy, by włożyć najlepszy garnitur z wywatowanymi pod linijkę ramionami, małą, obcisłą dwurzędową kamizelką i rozszerzanymi u dołu spodniami. Miał sporą kolekcję krawatów i potrzebował co najmniej pół godziny, aby wybrać jeden i zawiązać go w sposób zadowalający. Wystawał przed trójkątem stłuczonego lustra w kuchni błazerisko uśmiechnięty, z dołkami na brzoskwińowej buźce rozdętej próżnością, i przeszkadzał Frau Nowak, nie bacząc na jej protesty. Zaraz po kolacji szedł potańczyć.

Ja zazwyczaj także wychodziłem wieczorami. Choć byłbym nie wiem jak zmęczony, nie potrafiłem zasnąć natychmiast po posiłku. Greta i jej rodzice kładli się spać nieraz o dziewiątej. Szedłem więc do kina lub zasiadałem w jakiejś kawiarence, czytałem gazety i ziewałem. Nic innego nie miałem do roboty.

U wylotu ulicy mieścił się piwniczny lokal, który nosił nazwę: „Alexander Casino”. Pokazał mi go pewnego wieczoru Otto, kiedy przypadkiem wyszliśmy z domu razem. Schodziło się cztery schodki w dół, otwierało drzwi, odsuwało ciężką skórzaną kotarę, która chroniła od przeciągów, i oto już miało się przed sobą długą, niską i obskurną salę. Była oświetlona chińskimi lampionami i obwieszona festonami z zakurzonych serpentyn. Wzdłuż ścian stały wiklinowe stoły i duże, wyświechtane kanapy, które przypominały siedzenia w angielskich wagonach trzeciej klasy. W drugim końcu sali mieściły się alkowy z kratkami, jak altany, oplecione przymocowanym na drucikach sztucznym kwieciami wiśni. Cały lokal cuchnął zastałym piwem.

Byłem tu już kiedyś; rok temu, w czasach, kiedy to Fritz Wendel zabierał mnie w sobotnie wieczory na wycieczki po „spelunkach” miasta. Nic się tu od tamtego czasu nie zmieniło, tyle że lokal był teraz mniej upiorny, nie tak malowniczy, nie symbolizował już straszliwej prawdy o sensie egzystencji — ponieważ tym razem ani trochę nie byłem pijany. Ten sam właściciel, dawny bokser, opierał potężny brzuch o kontuar baru, ten sam kelner-szubienicznik snuł się posuwicie w wyplamionym białym kitlu. Dwie dziewczyny, pewnie też te same, tańczyły z sobą przy zawodzącym megafonie. Grupa wyrostków w swetrach i skórzanych kurtkach grała w durnia, zaś kibice pochylali się nad nimi, żeby dojrzeć karty. Pod piecem siedział chłopak z tatuażem na ramionach, zatopiony po uszy w lekturze kryminału. Był w koszuli rozpiętej pod szyją, z zawiniętymi aż po pachy rękawami, w szortach i skarpetkach, jakby zaraz miał wziąć udział w biegu wyścigowym.

Dalej, w odległej alce, siedział jakiś mężczyzna z chłopcem. Chłopiec miał okrągłą, dziecięcą twarz i ocieźałe, zaczerwienione powieki, które wyglądały jak opuchnięte z niewyspania. Opowiadał coś starszemu panu, a ten — dostojny jegomość o wygolonej głowie — słuchał dość niechętnie, ćmiąc krótkie cygaro. Chłopiec jednak ciągnął wytrwale i cierpliwie swą opowieść. Raz po raz, dla podkreślenia jakiejś kwestii, kładł rękę na kolanie starszego pana i zaglądał mu w twarz, śledząc bacznie, przenikliwie każdy jej grymas, jak lekarz, który ma do czynienia z nerwowym pacjentem.

Później poznałem tego chłopaka całkiem nieźle. Nazywał się Pieps. Był zawołanym podróżnikiem. W

czternastym roku życia uciekł z domu, ponieważ ojciec, drwał w Turyngskiej Puszczy, zwykł go bić. Pieps wyruszył piechotą do Hamburga. W Hamburgu wśliznął się na statek płynący do Antwerpii, a stamtąd znów wrócił do Niemiec, wędrując wzdłuż Renu. Odwiedził także Austrię i Czechosłowację. Był skarbnicą piosenek, żarcików i opowieści; z natury niezwykle pogodny i beztroski, dzielił się z przyjaciółmi tym, co posiadał, nigdy nie troszcząc się o to, co będzie jadł nazajutrz. Był zręcznym kieszonkowym złodziejaszkiem i „pracował” w krytym lunaparku na Friedrichstrasse niedaleko Pasażu, który stał się ostatnio niebezpieczny, bo roiło się w nim od detektywów. W tej hali rozrywkowej były worki bokserskie i fotoplastykony, i przyrządy zręcznościowe. Większość chłopców z „Alexander Casino” spędzała tam popołudnia, podczas gdy ich dziewczyny przechadzały się po Friedrichstrasse i po Linden w poszukiwaniu klientów.

Pieps mieszkał z dwoma kumplami, Kurtem i Gerhardtem, w piwnicy nad brzegiem kanału, nie opodal stacji kolei nadziemnej. Piwnica należała do ciotki Gerhardta, podstarzałej prostytutki z Friedrichstrasse, której nogi i ręce pokrywał tatuaż wyobrażający węże, ptaki, kwiaty. Gerhardt był roslym chłopakiem z nieodłącznym uśmiechem na ustach — nieokreślonym, głupkowskim, zatroskanym. Nie polował na kieszenie, tylko kradł w dużych domach towarowych. Nigdy dotąd go nie przyłapano, może z powodu szaleńczej beczelności tych kradzieży. Z głupawym uśmiechem napychał sobie kieszenie tuż pod nosem sprzedawców. Wszystko, co ukradł, oddawał ciotce, która mu wymyślała od leni i mocno skąpiła grosza. Któregoś dnia, gdyśmy się spotkali, wyjął z kieszeni bajecznie kolorowy skórzany damski pasek.

— Popatrz, Christoph, może nieładny?

— Gdzieś to zdobył?

— U Landauerów — wyjaśnił. — A co... czemu się uśmiechasz?

— Bo widzisz, Landauerowie to moi przyjaciele. Zabawne... Ale tylko o to chodzi, o nic więcej.

Twarz Gerhardta w mgnieniu oka przybrała wyraz konsternacji. — Ale ty im nie powiesz, prawda?

— Nie — obiecałem. — Nie powiem.

Kurt przychodził do „Alexander Casino” nie tak często jak inni. Rozumiałem go lepiej niż Piepsa czy Gerhardta, bo zdawał sobie sprawę z tego, co go gnębi. Miał wariacką, zgubną cechę charakteru — dostawał nagłych ataków wściekłości na beznadziejność własnej egzystencji. Niemcy nazywają to *Wut*. Potrafił w milczeniu siedzieć sobie w kącie, łapczywie popijając, bębniąc pięściami po stole, władczy i ponury, by nagle zerwać się na równe nogi z okrzykiem: „Ach, *Scheiss!*” i wielkimi krokami ruszyć do wyjścia. W takim nastroju umyślnie prowokował kłótnie z innymi chłopakami, walczył z kilkoma jednocześnie i w końcu łądował na ulicy, oszołomiony, zlany krwią. Nawet Pieps i Gerhardt walczyli wtedy przeciw niemu, traktując go jak wariata zagrażającego spokojowi publicznemu. Lali go niemiłosiernie, tak jak wszyscy inni, a potem wzięwszy delikwenta pod ramiona, wlekli go do domu, niepomiernie na czarne sińce wokół oczu, jakimi nieraz zdołał ich obdarzyć. Widać nie byli zaskoczeni jego zachowaniem. Nazajutrz wszyscy trzej byli z powrotem najlepszymi przyjaciółmi.

Kiedy wracałem do domu, państwo Nowakowie spali — zapewne od jakichś paru godzin. Otto zwykle przychodził jeszcze później. Mimo to Herr Nowak, który miał co do prowadzenia się syna tyle innych zastrzeżeń, wstawał zawsze bez sprzeciwu, aby mu otworzyć drzwi, bez względu na porę. Z jakichś nie znanych mi powodów Nowakowie za nic nie chcieli, by któryś z nas miał klucze. Nie zasnęliby głęboko, póki drzwi nie były zatrzaśnięte i zaryglowane.

W tych czynszowych domach jedna ubicacja przypadała na cztery mieszkania. Nasza była piętro niżej. Jeśli przed położeniem się do łóżka zapragnąłem spłacić dług naturze, musiałem odbyć następną podróż w ciemnościach przez główny pokój do kuchni, czyli obejść stół i krzesła, postarać się nie zderzyć z wezglowiem łoża państwa Nowaków ani nie potrącić łóżka, na którym spali Lothar z Gretą. I żeby nie wiem jak ostrożnie się poruszał, Frau Nowak zawsze się budziła, jakby miała dar widzenia mnie po ciemku, i wprawiała mnie w zakłopotanie uprzejmymi wskazówkami:

— Nie, nie, Herr Christoph, nie tam. Zechce pan do wiadra, na lewo koło pieca.

Leżąc w ciemnościach, w tym moim maleńkim zakamarku olbrzymiego ludzkiego mrowiska, słyszałem z niesamowitą dokładnością każdy dźwięk dochodzący mnie z dołu, z podwórza. Kształt tego podwórza działał chyba jak gramfonowa tuba. Ktoś schodzi na dół — pewnie nasz sąsiad, Herr Muller, ma nocną zmianę na kolei. Jego kroki słychać z każdym piętrem coraz słabiej, po chwili przemierzają już podwórze, brzmią czysto, kleiście na mokrym kamieniu. Wyteżam słuch i dobiega mnie — albo tak mi się wydaje — zgrzyt klucza w zamku wielkiej bramy, potem brama się zamyka z głuchym łoskotem. W sąsiednim pokoju Frau Nowak ma atak kaszlu. W ciszy, która po nim nastaje, słychać, jak trzeszczy pod Lotharem łóżko, kiedy odwraca się we śnie, mamrocąc jakieś pogródki. Gdzieś po drugiej stronie podwórza zaczyna wrzeszczeć dziecko, zatrząskuje się

jakieś okno, coś bardzo ciężkiego gdzieś, we wnętrzu budynku, uderza głucho w ścianę. Wszystko to jest obce, tajemnicze i niesamowite, jakbym spał samotnie w dżungli.

Niedziela dłużyła się u Nowaków. Nie było dokąd pójść w tę ohydłą pogodę. Siedzieliśmy wszyscy w domu. Greta i Herr Nowak naprawiali pułapkę na wróble, którą ten zrobił i zainstalował w oknie. Pochyleni nad nią już od paru godzin, zapomnieli o bożym świecie. Sprężynkę trzymała w ręce Greta. Od czasu do czasu chichotali do siebie i zerkali na mnie. Siedziałem po drugiej stronie stołu, marszcząc czoło nad kartką papieru, na której napisałem: „Ależ Edwardzie, nie możesz tego p o j ą ć ? ” Usiłowałem ciągnąć dalej moją powieść. Traktowała o rodzinie, która mieszkała w dużej wiejskiej rezydencji, żyła z dochodów, których sama nie zapracowała, i była bardzo nieszczęśliwa. Trawili czas na wyjaśnianiu sobie wzajemnie, dlaczego nie potrafią cieszyć się życiem. Niektóre powody — choć to ja sam mówię — były niezwykle wyszukane. Niestety stwierdziłem, że coraz mniej mnie obchodzi moja nieszczęśliwa rodzina — atmosfera domu Nowaków nie była zbyt inspirująca. Otto w drugim pokoju, przy otwartych drzwiach, zabawiał się utrzymywaniem w równowadze bibelotów na tarczy starego gramofonu, któremu brakowało już ramienia i głośnika; chciał zobaczyć, jak długo się utrzymają, zanim pospadają i rozbiją się na kawałeczki. Lothar naprawiał zamki i dopasowywał klucze sąsiadom, a na jego pochylonej nad robotą bladej i ponurej twarzy widać było zaciętą koncentrację. Frau Nowak, zajęta gotowaniem, rozpoczęła kazanie o Dobrym i Niedobrym Bracie: — Popatrz na Lothara. Nawet jak nie idzie do roboty, to zawsze czymś się zajmie. A ty potrafisz tylko tłuc, co ci w rękę wpadnie. Co to za syn!

Otto drwiąco rozwał się na łóżku; raz po raz wypluwał z siebie jakieś obsceniczne słowo albo wydawał nieprzyzwoity dźwięk wargami. Ton jego chwilami doprowadzał do szału — miało się ochotę zdrowo mu przyłożyć i dobrze o tym wiedział. Jazgotliwe gderanie Frau Nowak urosło do wrzasku:

— Zaraz cię wyrzucę z domu! Czy ty kiedy coś dla nas zrobiłeś? Każdy siedzi i coś robi, tylko ty jesteś zmęczony. Ale na to, żeby przebumbłować pół nocy, to ci starczy siły, ty nicponiu, ty ladaco...

Otto zerwał się z łóżka i jał tańczyć po pokoju z okrzykami zwierzęcego triumfu. Frau Nowak chwyciła kawałek mydła i cisnęła w niego, lecz odskoczył i mydło trafiło w okno, rozbijając szybę. Na ten widok siadła i wybuchnęła płaczem. Otto w mig podbiegł i zaczął ją uspokajać głośnymi pocałunkami. Lothar i Herr Nowak prawie w ogóle nie zwracali uwagi na tę awanturę. Herr Nowak jakby nawet znajdował w niej przyjemność, bo mrugał do mnie chytrze. Dziurę w szybie zasłonięto później tekturą i w tym stanie pozostała, przydając jeszcze jednego do wielu innych przeciągów na poddaszu.

Kolacja upłynęła w świetnym nastroju. Herr Nowak wstał od stołu, żeby nam zademonstrować, jak modlą się Żydzi, a jak katolicy. Upadł na kolana i wałąc głową o podłogę, mamrotał jakieś głupstwa, które miały naśladować modlitwę hebrajską i łacińską: — Koolywoczka, koolywoczka, koolywoczka. Amen. — Potem rozgadał się o egzekucjach, ku przerażeniu i najwyższej radości Grety i Frau Nowak. — Wilhelm Pierwszy, staruszek Wilhelm, nigdy nie podpisał wyroku śmierci. A wiecie, dlaczego? Bo raz, tuż po tym, jak wstąpił na tron, odbywał się głośny proces o zabójstwo i sędziowie długo nie mogli uzgodnić między sobą, czy więzień był winny, czy niewinny, ale w końcu skazali go na ścięcie. Postawili go na szafocie i kat wziął topór... o, tak; i zamachnął się... o, w ten sposób... i łup! *Kernack!* (To wszystko, rzecz jasna, byli wyszkoleni fachowcy; ani wy, ani ja nie ucielibyśmy człowiekowi głowy za jednym zamachem, nawet gdyby nam zapłacili tysiąc marek.) I głowa spadła do koszyka... pa! — Herr Nowak przewrócił oczami i zwiesił język w kąciku ust, przywołując plastyczny i odrażający obraz zdekapitowanej głowy. — A wtedy głowa przemówiła, sama z siebie: „Jestem niewinny” — powiedziała. (Oczywiście to były tylko nerwy, ale przemówiła, tak jak ja teraz mówię do was.) „Jestem niewinny” — mówi... No i w parę miesięcy później jakiś człowiek wyznał na łożu śmierci, że to on jest prawdziwym mordercą. Więc po tej historii Wilhelm już nigdy nie podpisał wyroku śmierci!

Na Wassertorstrasse tygodnie prawie się od siebie nie różniły. Nasze przeciekające, duszne małe poddasze przesiąknięte było zapachami gotowania i wadliwej kanalizacji. Dusiliśmy się z gorąca, gdy przepalało się w pokoju, marzliśmy, kiedy piec był zimny. Na dworze bardzo się oziębiło. Frau Nowak, gdy nie szła do pracy, wydeptywała ulice od kliniki do ośrodka służby zdrowia i z powrotem. Godzinami wyczekiwała na ławkach w wietrznych korytarzach albo łamała sobie głowę nad zawiłymi formularzami podań. Lekarze nie byli zgodni co do jej choroby: jeden optował za niezwłocznym wysłaniem jej do sanatorium, drugi uważał, że w tym stanie nie warto w ogóle jej wysyłać, o czym ją powiadomił. Jeszcze inny zapewniał, że jej choroba to nic poważnego i tylko przyda jej się dwutygodniowy pobyt w Alpach. Frau Nowak wysłuchiwała wszystkich trzech z największym szacunkiem i relacjonując mi później te rozmowy, nigdy nie omieszkła zaznaczyć, że każdy z tych lekarzy to najzyczliwszy z ludzi i najtęższa profesorska głowa, jakiej nie spotkać w całej Europie. Wraciła do domu kaszląc i drżąc na całym ciele, w przemoczonych butach, wyczerpana, rozhisteryzowana. Ledwie przekraczała próg, zaczynała gderać na Gretę czy Ottona, niemal że automatycznie, jak nakręcana lalka, gdy idzie w ruch sprężyna.

— Skończysz w więzieniu... popamiętasz moje słowa! Żałuję, że nie posłałam cię do poprawczaka, jak miałeś czternaście lat. Dobrze by ci to zrobiło. I pomyśleć, że w całej mojej rodzinie wszyscy to porządni, przyzwoici

ludzie!

— Ty przyzwoita! — zadrwił Otto. — Jak byłaś dziewczyną, uganiałaś się za każdą parą spodni, jaka się napatoczyła.

— Zabraniam ci mówić tak do mnie! Słyszysz? Zabraniam! Och, szkoda, że nie umarłam, zanim cię na świat wydałam, ty niegodziwe, ty wyrodne dziecko!

Otto podskakiwał wokół niej, wymykając się uderzeniom, rozradowany do obłędu wywołaną przez siebie awanturą. W tym swoim rozochoceniu przybierał obrzydliwe miny.

— On oszalał! — wrzasnęła Frau Nowak. — Niech no pan tylko na niego popatrzy, Herr Christoph. To przecie wścickły wariat! Muszę go zabrać do szpitala, żeby go zbadali.

Ten pomysł przemówił do romantycznej Ottonowej wyobraźni. Nieraz, gdy byliśmy sami, skarżył mi się ze łzami w oczach:

— Nie pobędę tutaj długo, Christoph. Nerwy mi wysiadają. Niebawem przyjdą i mnie stąd zabiorą. Wpakują mnie w kaftan bezpieczeństwa i będą mnie karmić przez gumową rurkę. A jak przyjdiesz mnie odwiedzić, to nie poznam ciebie wcale.

Nie tylko Frau Nowak i Otto cierpieli na „nerwy”, bowiem stopniowo a nieubłaganie i moja odporność na Nowaków ulegała załamaniu. Z każdym dniem fetor z kuchennego zlewu wydawał mi się dokuczliwszy, głos Ottona, gdy się kłócił, nieco bardziej szorstki, a jego matki — bardziej jazgotliwy. Słyszając pojękiwania Grety, zaciskałem zęby, a kiedy Otto trząsał drzwiami, wzdrygałem się poirytowany. Nocami nie mogłem zmrzyć oka, jeśli się przedtem choć trochę nie upiłem. Niepokoili mnie także skrycie tajemnicza a nieprzyjemna wysypka — może to skutki kuchni Frau Nowak, a może coś gorszego.

Wieczory spędzałem teraz przeważnie w „Alexander Casino”. Przy stoliku w kącie koło pieca pisywałem listy, rozmawiałem z Piepsem i Gerhardtem albo po prostu bawiłem się obserwowaniem innych gości. Było tam zazwyczaj bardzo spokojnie. Gromadziliśmy się wokół stołu albo rozsiadłszy się przy barze czekaliśmy, co się zdarzy. Na odgłos otwieranych drzwi dziesięć par oczu odwracało się, by popatrzeć, co to za nowy gość wychynie zza skórzaną kotary. Zwykle był to tylko sprzedawca herbatników ze swoim koszykiem albo dziewczyna z Armii Zbawienia, krążąca z broszurkami i puszką po kweście. Jeśli sprzedawca herbatników miał dobry utarg albo był pijany, grał z nami w kości za batony z wafla. Co do dziewczyny, to obchodziła monotonnie salę postukując obcasami i nic nie uzyskawszy, znikła nie wywołując w nas najmniejszych wyrzutów sumienia. Tak dalece stała się częścią codziennego programu wieczoru, że Pieps i Gerhardt nie robili nawet żarcików na jej temat. Poza tym odwiedzał nas jeszcze pewien staruszek — człapał w stronę baru, szeptał coś do barmana i wychodził razem na zaplecze. Był kokainistą. Zjawiał się znowu po chwileczce, unosił kapelusz w naszą stronę nieokreślonym dwornym gestem i powłócząc nogami wycofywał się z lokalu. Staruszek miał jakiś nerwowy tik i nieustannie trząsał głową, jakby mówił życiu: Nie. Nie. Nie.

Czasem zaglądała też policja w poszukiwaniu ściganych przestępców albo młodych uciekinierów z zakładu poprawczego. Ich wizyty były zazwyczaj przewidziane i poprzedzone odpowiednimi przygotowaniem. W każdym razie zawsze można było, jak mi wytłumaczył Pieps, w ostatniej chwili wymknąć się przez okno w ubikacji na podwórze z tyłu domu. „Ale musisz uważać, Christoph — dodawał.

— Zrób porządną, długi skok, bo inaczej wpadniesz do zsypu węglowego, a potem do piwnicy. Mnie się to już raz zdarzyło. Hamburg Werner, który leciał za mną, tak rechotał, że gliny go złapały.”

W soboty i niedziele wieczorami „Alexander Casino” było pełne ludzi. Ściągali tu goście z West End jak ambasadrowie innych krajów. Sporo się widywało cudzoziemców — głównie Holendrów, ale i Anglików. Anglicy mówili głośno, o ton wyżej z podniecenia. Rozprawiali o komunizmie, o Van Gogh i o najlepszych restauracjach. Niektórzy robili wrażenie lekko przestraszonych — może się obawiali, że ktoś dźgnie ich nożem w tej złodziejskiej melinie. Pieps i Gerhardt siedzieli przy swoich stolikach i naśladowali ich wymowę, zebrząc o drinki i papierosy. Jakiś postawny gość w rogowych okularach pytał: — Byliście na tym cudownym przyjęciu, jakie wydał Bill na cześć murzyńskich śpiewaków? — A młody człowiek z monoklem szeptał: — Cała poezja świata jest w tej twarzy.

— Wiedziałem, co on czuje w tym momencie; byłem w stanie żywić dla niego sympatię, nawet mu zazdrościć. Lecz smutek ogarniał na myśl o tym, że za dwa tygodnie będzie się chełpił swoimi odkryciami u nas przed doborowym towarzystwem kolegów klubowych albo przelożonych — zasiadających z dyskretnymi, podgrzanymi uśmiechami wokół stołu zastawionego zabytkowym srebrem i osławionym porto. Na taką myśl od razu lat mi przybywało.

Lekarze wreszcie się zdecydowali: Frau Nowak jednak wyśle się do sanatorium, i to szybko, jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Usłyszawszy to, Frau Nowak zamówiła

u krawca nową suknię. Była tak przejęta i uradowana, jakby ją zaproszono na przyjęcie. — Przełożone zawsze są wymagające, wie pan, jak to jest, Herr Christoph. Pilnują, żebyśmy były czyściutkie i porządnie wyglądały. Jak nie, to nas karzą... I mają rację, co tu gadać! Na pewno mi się tam spodoba — westchnęła — żebym tylko przestała się niepokoić o rodzinę. Bóg raczy wiedzieć co oni zrobią beze mnie. Są tacy bezradni jak te owce... — Wieczorami spędzała długie godziny na szyciu ciepłej białej bielizny flanelowej i uśmiechała się do siebie jak kobieta, która się spodziewa dziecka.

W dniu mego wyjazdu po południu Otto był bardzo przygnębiony.

— Teraz, jak wyjeżdżasz, Christoph, nie wiem, co się ze mną stanie. Za sześć miesięcy może mnie już w ogóle nie być na tym świecie.

— Radziłeś sobie dobrze, zanim tu zamieszkałem.

— Tak... ale teraz i mamy też nie będzie. Wątpię, żeby ojciec dał mi coś do zjedzenia.

— Co za bzdury!

— Zabierz mnie z sobą, Christoph. Pozwól mi być twoim służącym. Mogę się bardzo przydać, wiesz. Mógłbym ci gotować i reperować ci ubranie, i otwierać drzwi twoim uczniom... — Oczy mu zaświeciły, bo już siebie podziwiał w nowej roli. — Nosiłbym krótką białą marynarkę... Choć może lepsza byłaby niebieska, ze srebrnymi guzikami.

— Obawiam się, że jak na moją kieszeń, jesteś zbyt luksusowy.

— Ależ skąd, Christoph, ja bym nie chciał żadnej pensji, mowy nie ma. — W tym miejscu Otto zamilkł na chwileczkę czując, że to oferta trochę zbyt wspaniałomyślna. — To znaczy — ostrożnie uzupełnił — najwyżej parę marek, żebym od czasu do czasu miał za co potańczyć.

— Niestety, wielka szkoda.

Przerwało nam wejście do domu Frau Nowak. Wróciła wcześniej, żeby mi przyrzucić pożegnalny posiłek. Jej siatka na zakupy była wypełniona różnościami i to dźwiganie okropnie ją zmęczyło. Z ciężkim westchnieniem zamknęła za sobą drzwi wejściowe i z miejsca zaczęła miotać się po kuchni; nerwy miała tak napięte, że w powietrzu wisiała awantura.

— No i co ty, Otto? Pozwoliłeś, żeby wygasło pod kuchnią! A przecież ci mówiłam, żebyś przypilnował! O, Chryste! Że też nie mogę zdać się w tym domu na nikogo, nikt do niczego nie przyłoży palca!

— Przepraszam, mam. Zapomniałem.

— Pewnie, że zapomniałeś! A czy ty kiedy o czym pamiętasz? Z a p o m n i a ł e ś ! — wrzeszczała, a z jej ściągniętych, zaostzonych rysów ziała wściekłość. — Zaharowuję się dla ciebie na śmierć i taką mam podziękę! Mam nadzieję, że jak wyjadę, ojciec wyrzuci cię na bruk. Zobaczymy, jak ci się to spodoba! Ty leniu zatracony, ty wałkoniu! Zejdź mi z oczu, słyszysz? Zejdź mi z oczu zaraz!

— Dobrze. Słyszysz, Christoph, co ona mówi? — Otto zwrócił się do mnie z twarzą drgającą ze złości. Uderzając byli do siebie podobni w tym momencie i przypominali istoty opętane przez demony. — Pożaluję tego!

Odwrócił się na pięcie i dał nura do swego pokoju, zatraskując za sobą rachityczne drzwi. Frau Nowak natychmiast podbiegła do pieca kuchennego i zaczęła rozgarniać popiół. Trzęsła się na całym ciele i kaszłała przeraźliwie. Pomogłem jej rozpalić, podając szczapy drewna i kawałki węgla, które brała ode mnie machinalnie, bez słowa, nawet nie spojrzawszy w moją stronę. Czulem, jak zwykle, że tylko przeszkadzam, więc wyszedłem do pokoju i stanąłem z głupia frant przy oknie, pragnąc tylko jednego: zniknąć stamtąd. Miałem tego dosyć. Na parapecie leżał ogryzek ołówka. Narysowałem małeńkie kółko na drewnianej framudze, myśląc: „Pozostawiam swój znak”. I wtedy sobie przypomniałem, że dokładnie to samo zrobiłem przed laty, tuż przed wyjazdem z pensjonatu w Północnej Walii. W tamtym drugim pokoju panowała cisza. Postanowiłem stawić czoło dąsom Ottona — musiałem jeszcze spakować walizki.

Otto siedział na swoim łóżku, kiedy otworzyłem drzwi. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w swój lewy nadgarstek z ciętą raną, z której na otwartą dłoń sączyła się krew i wielkimi kroplami skapywała na podłogę. W prawej ręce, między kciukiem a palcem wskazującym trzymał ostrze brzytwy. Nie protestował, gdy mu ją odebrałem. Sama rana nie była groźna; przewiązałem ją jego chusteczką. Przez chwilę sprawiał wrażenie, że omdlewa, i zwałił mi się na ramię.

— Psiakrew, jak ty to zrobiłeś?

— Chciałem jej pokazać — uzalił się. Był bardzo blady. Najwyraźniej sam się porządnie wystraszył tym, co

zrobił. — Nie powinienesz być mi przeszkodzić, Christoph.

— Ty mały idioto — uciałem ze złością, bo i mnie przestraszył. — Któregoś dnia zrobisz sobie naprawdę krzywdę... przez omyłkę.

Otto spojrział na mnie przeciągle, z wyrzutem. Powoli oczy napełniły mu się łzami.

— To co, że zrobisz? Jestem do niczego... Jak myślisz, Christoph, co ze mną będzie, jak wydorosłeję?

— Znajdziesz pracę.

— Pracę... — Na samą myśl o pracy Otto wybuchnął płaczem. Łkał gwałtownie, wycierając nos wierzchem dłoni.

Wyciągnąłem z kieszeni chusteczkę. — Masz.

— Dzięki... — Wytarł oczy z pogrzebową miną i głośno wysiąkał nos. Nagle coś w samej chusteczce zwróciło jego uwagę. Zaczął się jej przyglądać, zrazu dosyć obojętnie, później z najwyższym zainteresowaniem.

— Jak to? — wykrzyknął z oburzeniem — przecież to moja!

Któregoś popołudnia, parę dni po Bożym Narodzeniu, odwiedziłem znowu Wassertorstrasse. Latarnie już się paliły, gdy wchodziłem przez arkadową bramę na długą zawilgoconą ulicę, pokrytą tu i ówdzie płatami brudnego śniegu. Ze sklepów w suterenach sączyły się żółte, mdłe światła. Pod migotliwym płomykiem gazowym jakiś kaleka sprzedawał na ręcznym wózku jarzyny i owoce. Banda wyrostków z twarzami opryszków obserwowała dwóch chłopców, którzy się bili w bramie. Jakiś dziewczęcy, podniecony głos rozdarł powietrze, gdy jeden z nich potknął się i upadł. Przemierzając błotniste podwórze, wdychając tak dobrze mi znana stęchliznę domów czynszowych, pytałem siebie w duchu: Czy ja naprawdę tu mieszkałem? Ja, ze swoim pokojem-salonikiem w West End i świetną nową posadą, stałem się w slumsach rzadkim gościem.

Na klatce schodowej u Nowaków światło się nie zapalało i panował gęsty mrok. Wszedłem na górę po omacku bez większych trudności i załomotałem w drzwi. Rozmyślnie czyniłem taki hałas, bo sądząc z okrzyków, śpiewów i piskliwych śmiechów, w środku odbywało się przyjęcie.

— Kto tam? — zaryczał Herr Nowak.

— Christoph.

— A, Christoph! *Anglais! Englisch mani* Wchodź! Wchodź!

Drzwi rozwarły się gwałtownie. W progu stał chwiejnie Herr Nowak z otwartymi ramionami, aby mnie uściskać. Za nim Greta, drżąca jak galaretką, ze łzami śmiechu spływającymi po policzkach. Nikogo więcej nie udało mi się dostrzec.

— Christoph, stary przyjacielu! — wołał Herr Nowak, grzmocąc mnie po plecach. — Mówiłem Grecie: Ja wiem, że on tu przyjdzie. Christoph nas nie porzuci! — Zamaszystym powitalnym gestem, jak w scenicznej farsie, popchnął mnie z całej siły do pokoju. Panował tam przeraźliwy bałagan. Na jednym łóżku leżały rzucone byle jak, na stos, przeróżne części garderoby, na drugim walały się kubki, spodki, buty, noże i widelce. Na kredensie stała patelnia z zaschniętym tłuszczem, a cały pokój oświetlony był trzema świecami wetkniętymi do pustych butelek po piwie.

— Odciełi nam światło — wyjaśnił Herr Nowak, machnąwszy ręką od niechcenia. — Nie zapłacony rachunek... Kiedyś trzeba będzie zapłacić, oczywiście. Ale co tam, tak jest milej, no nie? Chodź, Greta, zapalimy świeczki na choince.

Choinka była maciupenka. Tak mizerna, że zdołała utrzymać, i to na samym czubku, tylko jedną świeczkę. Spowijał ją jeden jedyny, cieniutki łańcuch z cynfolii. Herr Nowak upuścił parę zapalonych zapalek na podłogę, zanim udało mu się zapalić świeczkę. Gdybym ich nie przyduśił nogą, obrus zająłby się w mgnieniu oka.

— Gdzie Lothar i Otto? — zapytałem.

— Nie wiem. Gdzieś tam łążą... Rzadko się teraz pokazują, nie pasuje im tutaj... A, wszystko jedno, nam tu jest dobrze razem, no nie, Greta? — Herr Nowak wykonał kilka tanecznych *pas* ruchem słońca i zaśpiewał: — *O Tannenbaum! O Tannenbaum!*... No, Christoph, teraz wszyscy razem: — *Wie treu sind Deine Blatter!*

Skończyli wreszcie i wyciągnąłem przyniesione prezenty: dla Herr Nowaka cygara, dla Greta czekoladki i nakręcaną myszkę. Herr Nowak wydobył spod łóżka butelkę piwa. Po długich poszukiwaniach okularów, które, jak się okazało, wisiały na kranie w kuchni, odczytał mi list Frau Nowak, pisany z sanatorium. Powtarzał każde zdanie po trzy, cztery razy, utknął w środku, zaklął, wytarł nos, zaczął dłużyć w uchu. Nie zrozumiałem prawie ani słowa. Zaraz jednak zajął się razem z Gretą myszką, puszczając ją po stole, piszcząc i rycząc, gdy zbliżała się

do krawędzi. Myszka miała takie powodzenie, że mogłem się wynieść szybcuteńko, bez żadnych ceremonii. — Do widzenia, Christoph — rzucił mi na odchodnym Herr Nowak i natychmiast odwrócił się do stołu. Gdy wychodziłem, oboje z Gretą pochylali się nad stołem z zapalem dwojga graczy.

Wkrótce potem zjawiał się u mnie Otto we własnej osobie. Przyszedł zapytać, czy bym z nim nie pojechał w najbliższą niedzielę w odwiedziny do mamy. Sanatorium wyznaczyło jeden dzień w miesiącu na wizyty i z Hallesches Tor odjedzie specjalny autobus.

— Nie musisz za mnie płacić — dodał Otto z miną lorda. Aż biło od niego zadowolenie z siebie.

— To bardzo ładnie z twojej strony, Otto... Cóż to, nowy garnitur?

— Podoba ci się?

— Coś niecoś musiał kosztować.

— Dwieście pięćdziesiąt marek.

— Nie żartuj! Czyżby twój statek zawinął do przystani? Otto uśmiechnął się głupawo. — Widuję się teraz często z Trudą. Wuj jej zostawił trochę grosza. Może się na wiosnę pobierzemy.

— Moje gratulacje... Mieszkasz pewnie nadal w domu?

— Och, zaglądam tam czasem — kąciki ust opadły mu w grymasie cierpiętniczej odrazy — ale ojciec jest wiecznie pijany.

— Obrzydliwość, co? — naśladowałem jego ton. Roześmieliśmy się obaj.

— Rany boskie, Christoph, to już tak późno? Muszę pędzić... A zatem, do niedzieli. Bądź człowiekiem.

Dotarliśmy do sanatorium koło południa.

Jechaliśmy do niego wyboistą drogą, która się wila parę kilometrów przez ośnieżony las sosnowy, aż wyrosła nam nagle przed oczami gotycka ceglana brama niczym wejście na dziedziniec kościoła, a za nią duże budynki, też czerwone. Autobus stanął. Wysiedliśmy z Ottonem na samym końcu. Staliśmy potem rozprostowując kości i mrużąc oczy porażone blaskiem śniegu — tam, na wsi, wszystko tonęło w oślepiającej bieli. Zesztywnieliśmy w tym autobusie, bo była to tylko furgonetka ze skrzyniami do przewożenia towaru i zwykłymi ławkami do siedzenia. Ławki nie przesuwwały się zbytnio w czasie jazdy, bo wszyscy siedzieliśmy na nich upchani ciasno jak książki na półce.

I zaraz przybiegli powitać nas pacjenci — nieporadne, okutane w szale i koce figuryнки, potykające się i ślizgające na wydeptanej, oblodzonej ścieżce. Tak się spieszyli, że ich niezadarna szarża kończyła się długim poślizgiem i rozpedzeni wpadali w ramiona krewnych i przyjaciół, którzy chwiali się na nogach przy zderzeniu. Jakaś para pośród pisków i śmiechu przewróciła się na ziemię.

— Otto!

— Mama!

— Naprawdę przyjechałeś! Jak ty świetnie wyglądasz!

— Naturalnie, żeśmy przyjechali, mamó! A co ty myślała?

Frau Nowak oderwała się od Ottona, żeby się przywitać ze mną.

— Jak się pan miewa, Herr Christoph?

Wyglądała o całe lata młodziej. Jej niewinna, pociągła i zaokrąglona twarz, żywa i ciut chytrenka z tymi małymi chłopskimi oczami, wyglądała jak twarz młodej dziewczyny. Policzki nabrały jaskrawych rumieńców. Uśmiechała się bez ustanku.

— Ach, Herr Christoph, jak to ładnie, że pan przyjechał! Jak to miło, że przywiózł pan Ottona! — Zaniósła się dziwnym, krótkim, historycznym śmiechem.

Weszliśmy po paru schodkach do wnętrza. Zapach ciepłego, czystego, odkażonego budynku uderzył mnie w nozdrza jak powiew lęku.

— Dali mnie do mniejszej sali — objaśniła Frau Nowak.

— Jest nas tylko cztery. Wyglupiamy się ile wlezie. — Otworzywszy dumnie drzwi, rozpoczęła prezentację:

— To jest Muttchen... ona nas krótko trzyma! A to Erna. A to Erika, nasze maleństwo!

Erika była jasnowłosym osiemnastoletnim chucherkiem, które zachichotało na nasz widok: — A więc to jest ten sławetny Otto! Już od tygodni nie możemy się doczekać, żeby go zobaczyć!

Otto uśmiechnął się leciutko, dyskretnie, bardzo pewny siebie. Jego nowiutki brązowy garnitur był w niewypowiedzianie złym guście, podobnie jak fioletowe getry i żółte spiczaste pantofle. Na palcu tkwił olbrzymi sygnet z kwadratowym oczkiem koloru czekolady. Ten sygnet szczególnie sobie upodobał, bo nadawał ręce wdzięczne pozy, zerkając na nią ukradkiem, by podziwiać efekt. Frau Nowak po prostu nie mogła od niego się oderwać. Ścisłała go raz po raz i szczypała mu policzki.

— Prawda, jak on świetnie wygląda? — wołała. — Doskonale! Takie wielkie, silne chłopisko z ciebie, Otto, że chyba podniósłbyś mnie jedną ręką!

Stara Muttchen przeziębła się, jak poinformowały. Miała na szyi bandaż, ciasno owinięty pod kołnierzem staromodnej czarnej sukni. Sprawiała wrażenie sympatycznej staruszki, ale coś w niej było odstręczającego, jak w liszajowatym starym psie. Siedziała na brzegu łóżka, a na stoliku obok stały fotografie jej dzieci i wnuków niczym zdobyte nagrody. Wyglądała, jakby w głębi ducha była ukontentowana, jakby się cieszyła, że jest taka chora. Dowiedzieliśmy się od Frau Nowak, że Muttchen była w tym sanatorium już trzy razy. Za każdym razem wypisywano ją jako wyleczoną, ale w ciągu dziewięciu miesięcy albo roku choroba powracała i znów ją tutaj przysyłano.

— Najlepsi profesorowie z całych Niemiec przyjeżdżają tu, żeby ją zbadać — dodała z dumą Frau Nowak — ale Muttchen zawsze wystrychnie ich na dudka, no nie, kochaneńka?

Stara pokiwała głową, uśmiechając się jak pochwalone przez starszych sprytne dziecko.

— A Erna jest tutaj drugi raz — ciągnęła Frau Nowak. Doktorzy mówią, że wyzdrowieje, tylko źle się odżywała. Więc teraz wróciła do nas, tak, Erna?

— Tak, wróciłam — potwierdziła Erna.

Chuda, krótko ostrzyżona, mniej więcej trzydziestopięcioletnia, Erna musiała być kiedyś bardzo kobieca i pociągająca, łagodna, rozmarzona. Teraz, w stanie krańcowego wyczerpania, wyglądała, jakby nią zawładnęła jakaś desperacka śmiałość, jakiś rodzaj buntu. Miała olbrzymie, ciemne, pożądliwe oczy. Obrączka tkwiła luźno na wychudłym palcu. Gdy mówiła i wpadała w podniecenie, ręce jej poruszały się niezmiernie, wykonując bezcelowe gesty jak dwie wyschnięte ćmy.

— Mąż bił mnie, a w końcu zwał. Tej nocy, kiedy uciekł, tak mnie sprął, że jeszcze parę miesięcy miałam znaki. To był taki wielki, silny chłop. O mało mnie nie zabił. — Mówiła spokojnie, ważąc słowa, lecz z jakimś tłumionym podnieceniem, nie spuszczała przy tym oczu z mojej twarzy. Jej wygłodniałe spojrzenie wwiercało mi się w mózg, wczytywało chciwie moje myśli. — Śni mi się teraz czasem — dorzuciła, jakby leciutko ubawiona.

Usiedliśmy z Ottonem przy stoliku, podczas gdy Frau Nowak krzątała się gorączkowo wokół nas, podsuwając kawę i ciasteczka przyniesione przez którąś z sióstr. Ciekawa rzecz, bo wszystko, co mi się zdarzyło tego dnia, pozostawało jakby poza mną — zmysły miałem przytłumione, oddzielone ode mnie, funkcjonowały, jakbym śnił na jawie. W tej cichej białej sali, z wielkimi oknami wychodzącymi na milczący, ośnieżony las sosnowy, z choinką na stole i papierowymi łańcuchami nad każdym łóżkiem, z przybitymi do ścian fotografiami, z talerzem czekoladowych herbatników w kształcie serc — tutaj te cztery kobiety żyły, tu się poruszały. Moje oczy zdołały dotrzeć do każdego zakątka ich świata: oto wykresy temperatury, tu gaśnica, tam skórzana kotara w drzwiach. Ubrane co dzień w swoje najlepsze łaszki, z czystymi rękami już nie pokłutymi igłą i nie spierzchniętymi od szorowania, leżakowały na tarasie słuchając radia, bo rozmowy były zabronione. Kobiety zamknięte razem w tej sali wytwarzały atmosferę przyprowadzającą po trosze o młodości, jak brudna bielizna zamknięta w szafce bez dostępu powietrza. Płatały sobie nawzajem figle i piszczwały jak wyrośnięte uczennice. Frau Nowak z Eriką znajdowały uciechę w nagłych, ukradkowych popisach szamotaniny. Szarpały się wzajemnie za ubranie, by po chwili milczących zmagających wybuchnąć piskliwym, wymuszonym śmiechem. Popisywały się przed nami.

— Pan nie wie, jak bardzo czekałyśmy na dzisiejszy dzień — zwierzyła mi się Erna. — Żeby zobaczyć prawdziwego mężczyznę z krwi i kości!

Frau Nowak zachichotała.

— Erika to było takie niewiniątko, zanim tu przyjechała... Nic nie wiedziałaś, co, Erika?

Erika parsknęła cichym śmiechem:

— Za to od tego czasu dosyć się nauczyłam...

— No chyba! Uwierz pan, Herr Christoph, że ciotka przysłała jej na Gwiazdkę tego małego karzełka i teraz ona

bierze go do łóżka co noc, bo mówi, że musi mieć mężczyznę w łóżku?

Erika roześmiała się bezwstydnie: — Lepiej to niż nic, no nie? — Mrugnęła do Ottona, który przewrócił oczami, udając zgorzzenie.

Po lunchu Frau Nowak obowiązywał godzinny odpoczynek, przeto na spacer po terenie sanatorium wybraliśmy się z Erną i Eriką, które nas wzięły w swoje posiadanie.

— Pokażemy im najpierw cmentarz — zaproponowała Erna.

Był to cmentarz dla oswojonych zwierzątek, które zakończyły żywot, a należały do personelu. Mieścił z tuzin małych krzyżyków i nagrobków z wypisanymi na nich wierszem, sztucznie patetycznymi inskrypcjami. Pochowano tam martwe ptaki, białe myszki i króliki, a nawet nietoperza, którego znaleziono zamrożonego na śmierć po zadymce.

— Smutno się robi, jak pomyśleć, że one tam leżą — powiedziała Erna. Odgarnęła rękami śnieg z jednej mogiłki. W oczach miała łzy.

Co nie przeszkadzało, że gdy poszliśmy dalej ścieżką, obie z Eriką rozochociły się od razu. Śmialiśmy się i rzucaliśmy w siebie śnieżkami. Otto porwał na ręce Erikę, udając, że chce ją wrzucić w zaspę. Trochę dalej minęliśmy z bliska altanę stojącą z dala od ścieżki, na pagórku pośród drzew. Wychodziła z niej właśnie jakaś para.

— To Frau Klemke — objaśniła Erna. — Dzisiaj ją odwiedza mąż. I pomyśleć, że ta stara szopa to jedyne miejsce całej posesji, gdzie dwoje ludzi może być ze sobą sam na sam...

— Musi tam być niezły ziąb o tej porze.

— Pewnie, że tak! Jutro znów podskoczy jej temperatura i będzie musiała leżeć w łóżku dwa tygodnie... Ale kogo to obchodzi! Ja na jej miejscu zrobiłabym to samo. — Erna ścisnęła moje ramię. — Musimy żyć, pókiśmy młodzi, no nie?

— Naturalnie!

Spojrzała mi szybko w twarz. Jej wielkie, ciemne oczy wczepiły się w moje jak haczyki. Miałem wrażenie, że ciągną mnie na ziemię.

— Ja, tak naprawdę, nie jestem gruźliczką, wiesz, Christoph... Nie miałeś mnie chyba za gruźliczkę tylko dlatego, że tu jestem?

— Nie, Erno, skądże znowu.

— Dużo jest tu takich, co nie są gruźliczkami. Potrzebują tylko, tak jak ja, żeby ktoś o nie zadbał troszeczkę... Doktor mówi, że jak zadbam o siebie, to będę taka silna jak dawniej. A jak myślisz, co zrobię najpierw, jak tylko mnie stąd wypuszczą?

— Co?

— Najpierw postaram się o rozwód, a potem znajdę sobie męża — zaśmiała się Erna, a w jej głosie pobrzmiwał jakiś gorzki triumf. — Nie będę długo czekała, mogę cię zapewnić!

Po podwieczorku zasiedliśmy na górze, w sali. Frau Nowak pożyczyła gramofon, żebyśmy mogli potańczyć. Ja tańczyłem z Erną, Erika z Ottonem. Była trzpiotowata i niezdarła, wybuchała głośnie śmiechem, gdy się pośliznęła lub nadepnęła mu na palce. Otto, przymilnie uśmiechnięty, prowadził ją zręcznie w przód i w tył, modnie przygięty w szympansim skłonie obowiązującym w Hallesches Tor. Stara Muttchen spoglądała na nas ze swego łóżka. Trzymając Ernę w ramionach, czułem, jak drży na całym ciele. Zrobiło się już prawie ciemno, ale nikt nie zaproponował, by zapalić światło.

Niebawem przestaliśmy tańczyć i usiedliśmy w kółko na łóżkach. Frau Nowak rozgadała się o swoim dzieciństwie, które spędziła z rodzicami na folwarku w Prusach Wschodnich. — Mieliliśmy własny tartak — opowiadała — i trzydzieści koni. Konie mojego ojca były najlepsze w powiecie. Ileż to razy dostawał za nie nagrody na wystawach...

— W sali panował już zupełny mrok. W ciemnościach majaczyły wielkie blade prostokąty okien. Erna, która siedziała na łóżku obok mnie, wyszukała po omacku moją rękę i ścisnęła ją; potem sięgnęła w tył i przerzuciła sobie moje ramię wokół pasa. Drżała gwałtownie. — Christoph...

— szepnęła mi do ucha.

— ... a letnią porą — ciągnęła swą opowieść Frau Nowak

— chodziliśmy tańczyć do wielkiej stodoły koło rzeki... Przycisnąłem ustami gorące, suche wargi Erny. Nie odczuwałem przy tym zbliżeniu niczego szczególnego, wszystko to było tylko częścią długiego, dość ponurego, a symbolicznego snu, jaki śniłem tego dnia na jawie. — Jestem dziś tak szczęśliwa... — szeptała Erna.

— Syn pocztmajstra grywał na skrzypcach — podjęła Frau Nowak. — Pięknie grał... aż się na plac zbierało...

Z łóżka, na którym siedzieli Erika z Ottonem, dobiegły odgłosy szamotaniny i głośny chichot: — Otto, ty bezecniku... Dziwię ci się! Powiem twojej mamie!

Pięć minut później weszła siostra i oznajmiła, że autobus jest gotów do drogi.

— Słowo daję, Christoph — zaszeptał do mnie Otto, kiedyśmy wkładali palta — mogłem zrobić z tą dziewczyną, co mi się podobało! Obmacałem ją caluteńką... A tobie jak się udało? Twoja trochę za chuda, no nie? Ale założę się, że ognista!

Potem gramoliliśmy się do autobusu wraz z innymi pasażerami. Pacjenci tłoczyli się wokół nas, żeby się pożegnać. Opatuleni w koce razem z głową, mogli uchodzić za członków pierwotnego leśnego plemienia.

Frau Nowak popłynęły z oczu łzy, mimo że dzielnie próbowała się uśmiechać.

— Powiedz ojcu, że niedługo wrócę...

— Pewnie, że wrócisz, mamol! Już niedługo będziesz zdrowa. Niedługo będziesz w domu...

— To już teraz szybko zleci... — chlpała Frau Nowak, a łzy ciekły po jej wykrzywionej obrzydliwym żabim uśmiechem twarzy. I nagle rozkaszała się — wyglądała, jakby przełamała się na pół niczym składana lalka. Zaciskając ręce na piersi, wydawała z siebie urywane, świszczące dźwięki jak zdesperowane ranne zwierzę. Koc ześliznął jej się z głowy i ramion, do oczu wciskał się oswobodzony z węzła kosmyk włosów — bezwiednie potrząsała głową, żeby się go pozbyć. Dwie siostry delikatnie próbowały ją wyprowadzić, ale oparła im się, rozjuszona. Nie pójdzie z nimi, i tyle!

— Idź na salę, mamol — błaga! Otto. Sam już był bliski płaczu. — Idź, proszę cię! Przeżyjesz się na śmierć!

— Napisz do mnie czasem, dobrze, Christoph? — Erna uczepiła się mojej ręki, jakby tonęła. Jej oczy wpatrywały się we mnie z przerażającym natężeniem rozpaczki pozbawionej wstydu. — Może być tylko kartka... tylko podpis.

— Naturalnie, że napiszę...

Przez chwilę tłoczyły się wszystkie wokół nas w małym kręgu światła z dyszącego autobusu, a ich oświetlone twarze wyglądały upiornie jak twarze widm na tle czarnych pni sosnowych. Mój sen osiągnął teraz apogeum, szczyt koszmaru, który miał przynieść przebudzenie. Ogarnął mnie bowiem jakiś nagły, absurdalny lęk, że one nas zaatakują — horda zakutanych i bezkształtnych zjaw — że w martwej ciszy powyrywają nas szponami z siedzeń i powloką chciwie w dół, na ziemię. Ale to minęło. Cofnęły się w ciemność — nieszkodliwe w końcu, jak przystało zjawom — a nasz autobus, buksując co niemiara, potoczył się chwiejnie w stronę miasta przez głęboki, niewidoczny śnieg.

LANDAUEROWIE

Pewnego wieczoru w październiku 1930, w jakiś miesiąc po Wyborach, na Leipzigerstrasse wywiązała się spora awantura. Na ulicę wyległy watahy nazistowskich bojówkarzy, żeby przeprowadzić antyżydowską demonstrację. Poturbowali jakichś przechodniów — brunetów o wydatnych nosach — i wyflukli okna wystawowe wszystkich żydowskich sklepów. Incydent ten, sam w sobie, nie miał większego znaczenia — nie było ofiar śmiertelnych, niewiele strzelaniny, zaledwie kilkadziesiąt aresztowań. Pamiętam go tylko dlatego, że wprowadził mnie w świat polityki Berlina.

Frl. Mayr była oczywiście zachwycona: — Dobrze im tak! — pokrzykiwała. — To miasto nimi rzyga. Przewróć kamień, a wylezie spod niego paru Żydów. Zatruwają nawet wodę, którą my pijemy! Dławią nas, ograbiają, wysysają naszą krew. Niech pan popatrzy na te wszystkie wielkie domy towarowe: Wertheim, K.D.W., Landauerowie. Do kogo one należą? Do tego złodziejskiego żydowskiego plugastwa!

— Landauerowie są moimi osobistymi przyjaciółmi — odparowałem lodowato i wyszedłem z pokoju, zanim Frl. Mayr zdołała się zastanowić nad stosowną odpowiedzią.

Trochę to się rozmijało z prawdą. W gruncie rzeczy nigdy dotąd żadnego członka rodziny Landauerów nie poznałem. Ale przed moim wyjazdem z Anglii nasz wspólny przyjaciel dał mi list polecający, skierowany do nich. Do listów polecających nie mam zaufania i pewnie bym z niego nigdy nie skorzystał, gdyby nie ta uwaga Frl. Mayr. Teraz, właśnie na przekór, postanowiłem bezzwłocznie napisać do Frau Landauer.

Natalia Landauer, którą zobaczyłem po raz pierwszy trzy dni później, była osiemnastoletnią uczennicą. Miała na głowie gęstwinę ciemnych włosów — tak obfita, że twarz przy nich, z iskrzącymi się oczami, sprawiała wrażenie zbyt pociągłej i za wąskiej. Przypominała mi młodego liska. Witając się, podawała rękę wyprężoną od ramienia, nowoczesnym studenckim obyczajem. — Tutaj, proszę. — Głos jej brzmiał energicznie, nie znosił sprzeciwu.

Salon był obszerny i pogodny, w przedwojennym guście, trochę przeładowany. Natalia zaczęła z miejsca konwersację; z niesamowitą werwą, posługując się kulawą, za to pełną dobrych chęci angielszczyzną, pokazywała mi płyty, książki i obrazy. Na każdą z tych rzeczy wolno mi było patrzeć tylko moment.

— Pan lubisz Mozarta? Tak? Och, i ja! Baarzo!... Na tej obrazie jest Kronprinz Palast. Nie widział pan? To pokażę panu którego dnia, tak?... Do Heinego pan ma zamiłowanie? Niech pan powie uczciwie, proszę. — Spojrzała sprzed biblioteczeki z uśmiechem, ale i pewną belferską surowością. — Pan przeczyta. To piękne. Tak uważam.

Minął zaledwie kwadrans, a już Natalia odłożyła dla mnie cztery książki, które miałem wziąć ze sobą: *Tonio Kroger*, nowele Jacobsena, tomik Stefana George'a, listy Goethego. — Masz mi pan uczciwie powiedzieć, co pan o nich myślisz — zastrzegła.

Nagle służąca rozsunęła szklane drzwi w końcu pokoju i naszym oczom ukazała się Frau Landauer, zażywna, bladolica jejmość z ciemnym znamieniem na lewym policzku, z włosami szczesanymi gładko na tył głowy i upiętymi w kok; siedziała w pogodzie ducha przy jadalnianym stole, napełniając szklanki herbatą z samowara. Stały tam półmiski z szynką i pokrojoną na zimno niemiecką kiełbasą, a także wazka z tymi cienkimi śliskimi parówkami, co to strzykają gorącą wodą, jak się je nakłuje widelcem. Poza tym ser, rzodkiewki, pumpernikiel i piwo w butelkach.

— Pan będzie pił piwo — zarządziła Natalia, zwracając matce jedną szklanekę herbaty.

Rozejrzawszy się po pokoju, zobaczyłem, że nieliczne wolne przestrzenie ścian pomiędzy obrazami i kredensami zdobią wycięte z kolorowego papieru i przypięte pinezkami, ekscentryczne postacie naturalnej wielkości — jakieś dziewczoje z rozwianym włosiem czy skośnookie gazele. Komicznie wyglądał ich daremny sprzeciw wobec mieszczańskiej stateczności mahoniowych mebli. Z góry wiedziałem, że to Natalia była projektantką owych dekoracji. Tak, istotnie, sama je zrobiła i poprzypinała na zabawę. Teraz chciała je pozdejmować, ale mama jej nie pozwalała. Posprzeczały się trochę o nie — widać to należało do ich codzienności. — Och, przecie one są o k r o p l i w e ! Tak uważam! — wykrzyknęła Natalia po angielsku. — Według mnie są bardzo ładne — odparła spokojnie Frau Landauer po niemiecku, nie podnosząc oczu znad talerza, z ustami pełnymi pumpernikla i rzodkiewek.

Ledwie skończyliśmy kolację, Natalia dała mi do zrozumienia, że mam się pożegnać z jej matką. Wróciliśmy następnie do salonu. Zarzuciła mnie teraz pytaniami. Gdzie mam pokój? Ile za niego płacę? Powiedziałem, a wtedy z miejsca oświadczyła, że wybrałem złą dzielnicę (o wiele lepsza jest Wilmersdorf) i że mnie oszukano. Za identyczną cenę mógłbym dostać dokładnie to samo plus bieżąca woda i centralne ogrzewanie. — Trzeba było mnie zapytać — dorzuciła zapominając najwyraźniej, że dopiero dzisiaj się poznaliśmy. — Znalazłabym go

panu sama.

— Pana przyjaciel mówi nam, że pan jest pisarzem?

— rzuciła nagle prowokująco.

— Niezupełnie pisarzem — sprostowałem.

— Ale napisał pan książkę? Tak?

— Tak, napisałem książkę.

Natalia triumfowała.

— Napisał pan książkę i mówi pan, że nie jest pan pisarzem. Chyba pan oszalał.

Musiałem jej zatem opowiedzieć całą historię *Tych wszystkich spiskowców*— dlaczego książka nosi taki tytuł, o czym traktuje, kiedy została wydana i tak dalej.

— Przyniesie mi pan egzemplarz, proszę.

— Nie mam — odpowiedziałem z satysfakcją — i jest już wyczerpana.

Zgasiłem ją tym z początku, ale już po chwili skwapliwie wywęszyła świeży trop. — A to, co pan napiszesz w Berlinie? Proszę mi powiedzieć.

Żeby ją zadowolić, zacząłem mówić o opowiadaniu, jakie przed laty napisałem dla uczelnianego czasopisma w Cambridge. Ulepszałem je przy tym, improwizując jak się dało. Sam się nawet ożywiłem przypomnieniem tej opowiadki, i to tak dalece, iż nabrałem przekonania, że myśl w niej zawarta nie była w końcu taka zła i że naprawdę potrafiłbym napisać ją na nowo. Pod koniec każdego zdania Natalia ściągała mocno wargi i potakiwała głową tak żarliwie, że włosy trzepotały się jej na twarzy.

— Tak, tak — powtarzała. — Tak, tak.

Dopiero po paru minutach zorientowałem się, że nie docierało do niej nic z tego, co mówiłem. Najwidoczniej nie rozumiała mojej angielszczyzny, bo mówiłem teraz znacznie szybciej i nie doбираłem słów. Wiedziałem, że mimo ogromnego, pełnego samozaparcia wysiłku koncentracji, odnotowuje w myślach bieg mojego przedziałka we włosach, jak i to, że mam znoszony, wyświecony na węzle krawat. Zerknęła nawet ukradkiem na moje pantofle. Udawałem wszakże, iż tego wszystkiego nie dostrzegam. Byłbym gburem bez sumienia, gdybym urwał nagle i zepsuł jej przyjemność płynącą już z samego faktu, że rozmawiam z nią tak poufnie o sprawach, które naprawdę mnie interesują, choć prawie się nie znamy.

Ledwie skończyłem, z miejsca zapytała: — I będzie gotowe... kiedy? — Bo już wzięła w posiadanie tę nowelę, jak zresztą wszystko inne, co mnie dotyczyło. Odpowiedziałem, że nie wiem, że ze mnie kawał lenia.

— Lenia? — wytrzeszczyła na mnie oczy drwiąco. — To tak? No to ja przepraszam. Nic panu nie poradzę.

Teraz już oświadczyłem, że muszę iść. Odprowadziła mnie do drzwi. — I przyniesiesz mi pan prędko to opowiadanie — nastawała.

— Tak.

— Jak prędko?

— W przyszłym tygodniu — obiecałem chwiejnie. Minęły dwa tygodnie, nim znów odwiedziłem Landauerów. Po obiedzie, kiedy Frau Landauer wyszła z pokoju, Natalia powiadomiła mnie, że mamy iść razem do kina.

— Na koszt mojej mamy. — Gdy wstaliśmy, by wyruszyć, porwała zniemacka z kredensu dwa jabłka i pomarańczę i wcisnęła mi je do kieszeni. Najwidoczniej uznała, że jestem niedożywiony. Zaprotestowałem nieprzekonująco.

— Powiesz jeszcze jedno słowo, to się pogniewam

— ostrzegła. — Przyniosłeś tamto? — zapytała, gdy wychodziliśmy.

Wiedząc doskonale, że chodziło o nowelę, przybrałem najniewinniejszy ton: — Co takiego miałem przynieść?

— Wiesz co. To, co obiecałem.

— Nie pamiętam, żebym coś obiecywał.

— Nie p a m i ę t a s z ? — Natalia zaśmiała się wzgardliwie. — No to ja przepraszam. Nic na to nie poradzę.

Przebaczyła mi jednakże, zanim doszliśmy do kina. Ten cały ważny film to był jakiś „Pat i Pataszon”. — Pewnie nie lubisz takich filmów — głos Natalii brzmiał surowo. — To dla ciebie za mało inteligentne?

Zaprzeczyłem, jakoby lubił tylko „inteligentne” filmy, ale mi nie dowierzała. — Dobrze. Zobaczymy.

Przez cały czas trwania filmu zerkąłem na nią, żeby sprawdzić, czy się śmieje. Z początku więc rechotałem do przesady, później jednak zmęczyło mnie to i zamilkłem całkiem. Natalia traciła już do mnie cierpliwość. Pod koniec filmu zaczęła mnie nawet poszturchiwać w miejscach, gdzie powinienem się śmiać. Ledwie zapalono światła, naskoczyła na mnie:

— A widzisz? Miałam rację. Nie podobał ci się, tak?

— Ależ bardzo mi się podobał.

— Akurat, już wierzę! Mów teraz uczciwie.

— Powiedziałem. Podobał mi się.

— Ale się nie śmiałeś. Siedzisz i masz taką twarz... o, taką — Natalia próbowała mnie naśladować — i ani razu się nie śmiejesz.

— Nigdy się nie śmieję, kiedy mnie coś bawi — powiedziałem.

— Aha, może! To pewnie jakiś wasz angielski zwyczaj, nie śmiać się?

— Żaden Anglik się nie śmieje, kiedy go coś bawi, nigdy.

— I chcesz, żebym w to uwierzyła? Więc posłuchaj: ci twoi Anglicy to wariaci.

— Spostrzeżenie niezbyt oryginalne.

— A czy moje spostrzeżenia zawsze muszą być takie oryginalne, mój drogi panie?

— Kiedy jesteś ze mną, tak.

— Imbecyl!

Przysiedliśmy na chwilę w kawiarni koło stacji Zoo, żeby zjeść lody. Lody były grudkowate i smakowały trochę jak kartofel. Natalia ni stąd, ni zowąd zaczęła opowiadać o rodzicach.

— Nie rozumiem, o co w tych nowoczesnych książkach chodzi, kiedy mówią, że rodzice zawsze muszą się kłócić z dziećmi. Bo wiesz, to byłoby niemożliwe, żebym ja mogła się kłócić z rodzicami. Niemożliwe.

Spojrzała na mnie twardo, aby się przekonać, czy jej wierzę. Przytaknąłem głową.

— Absolutnie niemożliwe — powtórzyła uroczyście. — Bo wiem, że moi rodzice mnie kochają. I dlatego zawsze myślą nie o sobie, tylko o tym, co jest najlepsze dla mnie. Wiesz, mama nie ma dużo siły. Cierpi czasami okropliwe bóle głowy. No i wtedy naturalnie nie mogę jej zostawić samej. Bardzo często chciałabym pójść do kina albo do teatru, albo na koncert, a moja mama nic nie powie, ale ja patrzę na nią i wiem, że ma się źle, więc mówię: Nie, rozmyślałam się, nie pójdę. Ale nigdy się nie zdarzy, że ona powie choć jedno słowo, jaką ma boleść. Nigdy.

(Przy okazji następnej wizyty u Landauerów wydałem dwie i pół marki na róże dla starszej pani. Warto było. Frau Landauer ani razu nie miała migreny, gdy proponowałem Natalii wspólny wypad.)

— Mój ojciec ma zawsze taką wolę, żebym ja miała wszystko, co najlepsze — ciągnęła Natalia. — Mój ojciec zawsze ma wolę, żebym ja mówiła: Moi rodzice są bogaci i ja nie potrzebuję myśleć za pieniędzmi. Ale ja jestem inna — westchnęła. — Zawsze czekam, że przyjdzie najgorsze. Wiem, co się dzisiaj w Niemczech dzieje, i nagle może być tak, że mój ojciec traci wszystko. Wiesz, że już raz tak było? Przed wojną mój ojciec miał wielką fabrykę w Poznaniu. Przychodzi wojna i ojciec musi wyjechać. Jutro może być to samo tutaj. Ale mój ojciec to jest taki człowiek, że jemu wszystko jedno. Może zacząć od jednego feniga i pracować, pracować, aż wszystko odzyska.

— Dlatego — wywodziła — chcę rzucić szkołę i zacząć się uczyć coś pożytecznego, żebym mogła zdobyć chleb. Nie mogę wiedzieć, jak długo moi rodzice będą mieć pieniądze. Ojciec ma taką wolę, żebym zdała maturę i poszła na uniwersytet. Ale teraz będę z nim mówiła¹ zapytam, czy nie mogę jechać do Paryża i studiować sztukę. Jeśli będę umiała rysować i malować, to może się utrzymam; no i nauczę się gotowania. Wiesz, że ja nie umiem gotować, nic, nawet najprostszej rzeczy?

— Ja też nie.

— Dla mężczyzny to nie takie ważne, uważam. Ale dziewczyna musi być przygotowana do wszystkiego. — Jak

będę chciała — dorzuciła z przekonaniem — wyjadę z mężczyzną, którego bym kochała, i będę z nim mieszkała. Nawet jeśli nie będziemy mogli wziąć ślubu, to będzie bez znaczenia. A wtedy muszę umieć zrobić wszystko sama, rozumiesz? Co z tego, że powiem: „Zdałam maturę, mam dyplom uniwersytetu”, bo on odpowie: „Przepraszam, a gdzie mój obiad?”

Nastąpiła chwila milczenia.

— Ciebie to nie szokuje, co ja teraz mówię? — zapytała nieoczekiwanie. — Że ja mieszkałabym z mężczyzną bez tego, że byśmy byli małżeństwem?

— Nie, skądże.

— Proszę, żebyś mnie źle nie zrozumiał. Ja nie admiruję kobiety, co to ciągle chodzi od jednego mężczyzny do drugiego... To jest wszystko takie — zrobiła gest niesmaku — takie zdegenerowane, uważam.

— Nie sądzisz, że kobietom wolno zmieniać zdanie?

— Nie wiem. Ja nie rozumiem takich kwestii... Ale to jest zdegenerowane.

Odprowadziłem ją do domu. Natalia miała osobliwy zwyczaj doprowadzania człowieka do samego progu, by natychmiast, ze zdumiewającą szybkością podać mu rękę, wśliznąć się do domu i zatrzaskać mu przed nosem drzwi.

— Dzwonisz do mnie? W przyszłym tygodniu? Tak?

— słyszę teraz jej głos. Po czym drzwi się zatrzaskały i zniknęła nie czekając na odpowiedź.

Natalia unikała wszelkich fizycznych kontaktów, bezpośrednich i pośrednich. Tak jak nie zniosłaby pogaduszek ze mną na progu własnego domu, tak samo, gdyśmy gdzieś siadali, zauważyłem, że wołała zawsze, aby nas odgradzał stół. Zzynała się, jak jej podawałem palto. — Nie mam jeszcze sześćdziesiąt lat, mój drogi panie! — Gdy wstawaliśmy od stolika w kawiarni albo restauracji i widziała, że mój wzrok biegnie w stronę wieszaka, na którym wisi jej płaszcz, błyskawicznie rzucała się na niego, po czym niosła go do kąta jak zwierzę, które strzeże swojej stawy.

Któregoś wieczoru poszliśmy do kawiarni i zamówiliśmy dwie filiżanki czekolady. Kiedy nam ją przyniesiono, okazało się, że kelnerka zapomniała o łyżeczce dla Natalii. Zdążyłem już upić parę łyków ze swojej filiżanki, a następnie zamieszać czekoladę. Wydawało się całkiem naturalne, że jej odstąpię swoją łyżeczkę, ale ku memu zaskoczeniu i lekkiej irytacji Natalia odmówiła z miną zdradzającą niejaki obrzydzenie. Nie życzyła sobie nawet takiego pośredniego kontaktu z moimi ustami.

Natalia postarała się o bilety na koncert Mozartowski. Ten wieczór jednak się nie udał. W surowej korynckiej sali panował chłód i raził mnie w oczy tradycyjny przepych elektrycznych świateł. Do tego uwierały proste, drewniane, wypolerowane krzesła. Publiczność wyraźnie traktowała koncert jak uroczystość religijną. Jej wymuszony, nabożny entuzjazm miażdżył mnie jak ból głowy; ani na chwilę nie traciłem z oczu tych wszystkich oślepionych, nieco nachmurzonych, zasłuchanych głów. I choć grano Mozarta, nie mogłem pozbyć się wrażenia: cóż za przedziwny sposób spędzania wieczoru!

W drodze powrotnej byłem zmęczony i naburmuszony, co miało taki skutek, że posprzeczałem się z Natalią. To ona zaczęła, nawiązując do Hippi Bernstein. Sama mi naraiła te lekcje u Bernsteinów — chodziły obie z Hippi do tej samej szkoły. Parę dni temu miałem z Hippi pierwszą lekcję angielskiego.

— I jak ona ci się podoba? — zapytała Natalia.

— Bardzo. A tobie nie?

— Tak, też... Ale ona ma dwa niedobre błędy. Pewnie jeszcze ich nie zauważasz?

Nie podjąłem tej kwestii, więc dorzuciła z powagą: — Wiesz, chciałabym, żebyś powiedział mi uczciwie, jakie są moje błędy.

W innym nastroju rozbawiłoby mnie to, nawet wzruszyło. A tak, pomyślałem tylko: „Prowokuje mnie do komplementów” i uciałem krótko:

— Nie wiem, co rozumiesz przez „błędy”. Nie osądzam ludzi na podstawie migawkowych wrażeń. Zapytaj lepiej kogoś ze swoich nauczycieli.

Zamilkła zrazu, ale już po chwili nie dała za wygraną. Czy przeczytałem choć jedną książkę z tych, które mi pożyczyła?

Nie przeczytałem, lecz odpowiedziałem: — Tak, przeczytałem *Frau Marie Grubbe* Jacobsena.

I co ja o tym myślę?

— Bardzo dobra — odparłem szorstko, bo z poczuciem winy.

Natalia przeszła mnie spojrzeniem. — Obawiam się, że jesteś baarzo nieszczerzy. Nie mówisz tak, jak naprawdę myślisz.

Nagle rozzłościłem się po dziecinnemu.

— Pewnie, że nie. Bo i po co? Kłótlive dyskusje mnie nudzą. Nie mam zamiaru mówić nic takiego, z czym najprawdopodobniej byś się nie zgodziła.

— Ale skoro tak — Natalia była naprawdę skonsternowana — to nie ma sensu, żebyśmy mówili poważnie o czymkolwiek.

— Oczywiście, że nie ma.

— To w ogóle nie będziemy rozmawiać? — zapytała biedna Natalia.

— Najlepiej, jak będziemy się odzywać głosami zwierząt na fermie. Lubię słuchać twojego głosu, ale ani trochę nie dbam o to, co mówisz. Toteż byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy mówili tylko hau-hau albo beee i miauu.

Natalia spurpurowiała. Była zbita z tropu i głęboko dotknięta. Po długim milczeniu powiedziała wreszcie:

— Tak. Rozumiem.

Kiedy podeszliśmy pod jej dom, usiłowałem to jakoś zaklajstrować i obrócić wszystko w żart, ale nie reagowała. Wróciłem do domu pełen wstydu.

Jednakże parę dni po tym wydarzeniu Natalia zadzwoniła do mnie z własnej woli i zaprosiła mnie na lunch. Sama mi otworzyła drzwi — najwyraźniej czatowała na ten moment — i przywitała mnie okrzykami: — Hau-hau! Beee! Miauu!

Przez chwilę naprawdę myślałem, że chyba zwariowała. Wreszcie przypomniałem sobie naszą kłótnię. Ale Natalia, gdy już pożartowała sobie, skłonna była powrócić do przyjaźni.

Weszliśmy do salonu i Natalia zaczęła wrzucać tabletki aspiryny do wazonów — żeby kwiaty się ożywiły. Zapytałem, co robiła przez ostatnie parę dni.

— Ten cały tydzień — powiedziała — nie chodzę do szkoły. Źle się czułam. Trzy dni temu stoję tam, przy pianinie, i nagle upadam... o, tak. Jak się nazywa: *ohnmachtig*?

— Chcesz powiedzieć, że zemdlałeś?

Przytaknęła energicznie głową. — Tak, właśnie. Jestem *ohnmachtig*.

— Ale w takim razie powinnaś leżeć w łóżku. — Poczułem się nagle bardzo męski, opiekuńczy. — Jak się teraz czujesz?

Natalia roześmiała się wesoło; wyglądała doprawdy znakomicie, nigdy jej nie widziałem w lepszej formie.

— Och, to nie takie ważne! A jeszcze jedną rzecz muszę ci powiedzieć — dorzuciła. — Myślę, że to będzie dla ciebie miłą niespodzianka: dziś przyjeżdża mój ojciec i mój kuzyn Bernhard.

— Jak to miło.

— Tak! Nieprawda? Mój ojciec robi nam wielką radość, jak przyjeżdża, bo teraz często jest w podróży. Ma wszędzie pełno interesów, w Paryżu, w Wiedniu, w Pradze. Zawsze musi jeździć w pociągu. Myślę, że powinieneś go polubić.

— Z pewnością powinienem.

I rzeczywiście, gdy rozstąpiły się szklane drzwi, Herr Landauer już czekał, aby mnie powitać. Obok stał Bernhard Landauer, kuzyn Natalii, wysoki młody mężczyzna o bladej twarzy, w ciemnym garniturze, zaledwie parę lat starszy ode mnie. — Bardzo mi miło pana poznać — powiedział, gdyśmy ściskali sobie ręce. W jego angielszczyźnie nie było nawet cienia obcego akcentu.

Herr Landauer był małym, żywym człowieczkiem o ciemnej, pomarszczonej jak skóra cerze, przypominającej stary, dobrze wypolerowany but. Miał lśniące brązowe oczy jak guziki u kamaszy i brwi, jakie miewają uliczni komedianci — tak gęste i czarne, że wyglądały, jakby je podkreślono osmalonym korkiem. Od razu było widać, że jest rozkochany w swej rodzinie. Przed Frau Landauer otworzył drzwi takim gestem, że mogło się zdawać, iż miał przed sobą piękne dziewczę. Swym dobrotliwym, wniebowziętym uśmiechem ogarniał całe towarzystwo:

Natalię, promieniejącą radością z powrotu ojca, Frau Landauer, leciutko zarumienioną, Bernharda, bladego, układowego i trochę w swojej uprzejmości nieodgadnionego, nawet mnie. Właściwie to Herr Landauer zwracał się w rozmowie głównie do mnie, starannie unikając wszelkich wzmianek o sprawach rodzinnych, które mogłyby mi przypomnieć, że jestem kimś obcym przy tym stole.

— Byłem w Londynie trzydzieści pięć lat temu — opowiadał z silnym akcentem. — Przyjechałem do pańskiej stolicy, żeby napisać rozprawę doktorską o warunkach, w jakich pracują na East End żydowscy robotnicy. Widziałem wiele z tego, co wasi angielscy dygnitarze nie chcieli, żebym widział. Byłem wtedy zaledwie młodzieniaszkiem, podejrzewam, że młodszym niż pan teraz. Miałem nadzwyczaj interesujące rozmowy z dokerami i kobietami ulicznymi, i właścicielami tych, jak wy to nazywacie, pubów. Bardzo interesujące... — Herr Landauer uśmiechnął się na to wspomnienie. — A ta moja nieważna rozprawka wywołała sporo dyskusji. Przetłumaczono ją aż na pięć języków.

— Pięć języków! — powtórzyła Natalia po niemiecku, zwracając się do mnie. — Widzisz, mój ojciec też jest pisarzem!

— Ach, to było trzydzieści pięć lat temu! Na długo przed twoim urodzeniem, moja mała — zastrzegł się Herr Landauer potrząsając głową, a guziczki jego oczu zamigotały dobrotliwie. — Teraz nie mam czasu na tego rodzaju studia. — Znów zwrócił się do mnie: — Czytałem niedawno książkę w języku francuskim o waszym wielkim angielskim poecie, Lordzie Byronie. Nadzwyczaj ciekawa. Cieszyłbym się bardzo, gdybym usłyszał dziś od pana, jako pisarza, jakie jest pańskie zdanie w tej niezwykle ważnej kwestii: czy Lord Byron rzeczywiście popełnił zbrodnię kazirodztwa? Co pan o tym sądzi?

Poczułem, że się czerwienię. Z jakichś niewyjaśnionych przyczyn to nie obecność Natalii, ale głównie Frau Landauer, spokojnie poruszającej ustami nad talerzem, wprawiała mnie w tym momencie w zakłopotanie. Bernhard z nikłym uśmiechem utkwiał wzrok w swoim talerzu. — Czy ja wiem... — zacząłem — dosyć trudno...

— To bardzo ciekawy problem — przerwał mi Herr Landauer, przyjaźnie wodząc wzrokiem po nas wszystkich i żując z najwyższym upodobaniem. — Czy mamy przyjąć, że geniusz jest osobą wyjątkową, która może robić rzeczy wyjątkowe? Czy też powiemy: Nie, możesz napisać piękny poemat albo namalować piękny obraz, ale w codziennym życiu musisz się zachowywać jak zwyczajny człowiek, musisz być posłuszny prawom, które ustanowiliśmy dla zwykłych ludzi? Nie pozwolimy ci być takim n i e-zwykłym — i Herr Landauer, z pełnymi ustami, triumfalnie przywoździł każdego po kolei swym spojrzeniem. Nagle utkwiał promieniejące oczy we mnie. — A wasz dramaturg Oskar Wilde... to jeszcze inny przypadek. Daję panu ten przypadek pod rozważę, panie Isherwood. Rad bym bardzo usłyszeć pańskie zdanie. Czy wasze angielskie prawo miało podstawy, żeby ukarać Oskara Wilde'a, czy nie miało? Proszę, niech mi pan powie, co pan o tym sądzi.

Herr Landauer patrzył na mnie z radosną satysfakcją, jego widelec z mięsem zawisł w połowie drogi do ust. A tam, dalej, Bernhard — byłem tego świadom — uśmiechał się dyskretnie.

— Otóż... — zacząłem czując, że mi płoną uszy. Tym razem jednak nieoczekiwanie Frau Landauer wybawiła mnie z kłopotu, czyniąc jakąś uwagę po niemiecku do Natalii, coś na temat jarzyn. Wywiązała się mała dyskusja, w czasie której Herr Landauer jakby całkiem zapomniał o swoim pytaniu. Zajaśniał dalej z apetytem. Za to teraz Natalia musiała koniecznie wtrącić swoje:

— Proszę cię, powiedz ojcu, jak się nazywa twoja książka. Ja nie zapamiętałam. To taka śmieszna nazwa.

Zmarszczyłem lekko czoło, próbując ukradkiem przesłać jej ten znak dezaprobaty. — *Ci wszyscy spiskowcy* — wycodziłem chłodno.

— *Ci wszyscy spiskowcy*... no tak, oczywiście!

— Ach, to pan pisuje romanse kryminalne, panie Isherwood? — rozpromienił się Herr Landauer.

— Obawiam się, że ta książka nie ma nic wspólnego z kryminałami — powiedziałem uprzejmie. Herr Landauer wyglądał na strapionego i zawiedzionego:

— Nic wspólnego z kryminałami?

— Proszę, wytłumacz ojcu — rozkazała Natalia. Wzięłam głęboki oddech. — Tytuł ma znaczenie symboliczne... Jest zaczerpnięty z *Juliusza Cezara* Szekspira...

Herr Landauer rozpogodził się w mgnieniu oka. — Ach, Szekspir! Wspaniale! To nadzwyczaj interesujące...

— W języku niemieckim — uśmiechnąłem się lekko do własnej przebiegłości, bo zwabiałem go na boczną ścieżkę — macie, zdaje się, wspaniałe tłumaczenia Szekspira?

— A tak, rzeczywiście! Te tłumaczenia należą do najlepszych dzieł pisanych w naszym języku. Dzięki nim wasz Szekspir stał się prawie poetą niemieckim...

— Ale nic nie mówisz — uparła się Natalia, którą można by posadzić wręcz o diabelską złośliwość — o czym jest ta twoja książka.

— O dwóch młodych ludziach — powiedziałem przez zaciśnięte zęby. — Jeden jest malarzem, a drugi studentem medycyny.

— I tylko oni dwaj pokazują się w twojej książce?

— Skądże znowu... Ale zadziwia mnie twoja kiepska pamięć. Dopiero co opowiadałem ci całą fabułę.

— Imbecyli! Przecież nie chodzi o mnie! Pewnie, że pamiętam wszystko, co mi opowiadałeś. Ale mój ojciec jeszcze tego nie słyszał, więc zechcesz może opowiedzieć... I co dalej?

— Malarz ma matkę i siostrę. Wszyscy oni są bardzo nieszczęśliwi.

— Ale dlaczego są nieszczęśliwi? Ja i moi rodzice nie jesteśmy nieszczęśliwi.

Pragnąłem, żeby ją ziemia pochłonęła. — Nie wszyscy ludzie są tacy sami — powiedziałem ostrożnie, unikając wzroku Herr Landauera.

— No dobrze... — zgodziła się Natalia. — Są nieszczęśliwi... I co dalej?

— Malarz ucieka z domu, a jego siostra poślubia bardzo niesympatycznego młodzieniaszka.

Natalia spostrzegła chyba, że nie wytrzymam tego dłużej. Wsadziła mi więc ostatnią szpilę: — A ile sprzedałeś egzemplarzy?

— Pięć.

— Pięć! To chyba bardzo mało?

— Istotnie, bardzo mało.

Pod koniec lunchu wiadomo było bez słów, że Bernhard ze stryjem i stryjenką zechcą omówić sprawy rodzinne.

— Chcesz — zapytała mnie Natalia — żebyśmy się trochę przechadzali?

Herr Landauer pożegnał się ze mną ceremonialnie:

— Zawsze jest pan mile widziany pod moim dachem, panie Isherwood. — Skłoniliśmy się sobie nisko.

— Może — powiedział Bernhard wręczając mi swoją wizytówkę — zajrzy pan do mnie któregoś wieczoru i ożywi moją samotnię choćby odrobinę? — Podziękowałem i dodałem, że zrobię to z największą przyjemnością.

— I co myślisz o moim ojcu? — zapytała Natalia, ledwie wyszliśmy za próg domu.

— Myślę, że to najmilszy ojciec, jakiego w życiu spotkałem.

— Uczciwie? — Natalia była wniebowzięta.

— Uczciwie.

— A teraz mi się wypowiadaj, że mój ojciec ciebie zaszokował, jak mówił o Lordzie Byronie, tak? Byłeś czerwony na policzkach jak rak.

Roześmiałem się. — Przy twoim ojcu czuję się, jakbym był staroświecki. Ojciec jest w rozmowie taki nowoczesny.

Natalia zaśmiała się triumfalnie. — A widzisz, miałam rację! Byłeś zaszokowany. Och, jak się cieszę! Bo widzisz, mówię ojcu: Baarzo inteligentny młody człowiek przyjdzie tutaj do nas — no więc on chce ci pokazać, że też umie być nowoczesny i mówić o tych wszystkich zagadnieniach. Myślałeś, że mój ojciec to będzie stary dureń? Powiedz prawdę, proszę.

— Nie — zaprzeczyłem. — Nigdy tak nie myślałem!

— No bo on głupi nie jest... On ma baarzo dobrą głowę. Tylko nie ma tak dużo czasu na czytanie, bo ciągle musi pracować i pracować. Czasem przez osiemnaście i dziewiętnaście godzin w ciągu dnia. To okropne... I jest najlepszym w świecie ojcem!

— Twój kuzyn, Bernhard, jest współnikiem ojca, czy tak?

Natalia skinęła głową. — To on prowadzi ten dom towarowy tu, w Berlinie. On też ma baarzo dobrą głowę.

— Pewnie często go widzisz?

— Nie... On często nie przychodzi do naszego domu... To dziwny człowiek, wiesz? Myślę, że on lubi być baarzo samotnie. Dla mnie to niespodzianka, kiedy on prosi ciebie, żebyś zrobił mu wizytę... Musisz uważać.

— Uważać? Dlaczegoż, u licha, miałbym uważać?

— On jest baarzo sarkastyczny, rozumiesz. Myślę, że może on się z ciebie śmieje.

— To by nie było takie straszne. Mnóstwo ludzi się ze mnie śmieje... I ty też, czasami...

— Och, ja! To co innego. — Natalia z powagą pokręciła głową. Widać miała w tym względzie własne, przykre doświadczenia. — Ja się śmieję, żeby było wesoło, rozumiesz? Ale jak Bernhard się z ciebie śmieje, to nie jest miło...

Bernhard miał mieszkanie na zacisznej ulicy niedaleko Tiergarten. Kiedy zadzwoniłem do drzwi domu, przez maleńkie okienko w suterenie wyjrzał na mnie karzełkowaty stróż, zapytał, do kogo się wybieram, i w końcu, przyjrawszy mi się dłuższą chwilę wielce podejrzliwie, nacisnął guzik uwalniający zamek w drzwiach. Były one tak ciężkie, że musiałem je pchnąć obiema rękami. Zamknęły się za mną z głuchym łoskotem, jak armatni strzał. Następne były drzwi wychodzące na podwórze, potem drzwi Gartenhausu, potem pięć pięter w górę i drzwi do mieszkania. Tak więc czworo drzwi chroniło Bernharda od świata zewnętrznego.

Tego wieczoru miał na sobie pięknie haftowane kimono, narzucone na zwykły miejski ubiór. Nie przypominał tego Bernharda, jakiego zapamiętałem z naszego pierwszego spotkania — wtedy nie dostrzegłem w nim nic wschodniego, może więc kimono to z niego wydobyło. Jego przerafinowany, delikatny a wyrazisty, spiczasty profil nadawał mu po trosze wygląd ptaka w chińskim hafcie. To słabeusz, osobowość negatywna — pomyślałem — a przecież jest zastanawiająco mocny tą statyczną mocą świątynnego posążka, rzeźbionego w kości słoniowej. Znow zwróciłem uwagę na jego piękną angielszczyznę i odpychające gesty rąk, gdy pokazywał mi dwunastowieczną, wykutą w piaskowcu głowę Buddy z Khmeru, stojącą u podnóża jego łóżka — „żeby czuwała nad mym snem”. Na niskiej białej półce z książkami stały greckie, syjamskie i indochiriskie statuetki i kamienne głowy, w większości trofea z jego podróży. Pośród tomów *Kunst-Geschichte*, fotograficznych reprodukcji i monografii o rzeźbie i sztuce starożytnej dojrzałem *Wzgórze Vachella*, a także *Lenina: Co robić?* Samo mieszkanie jakby leżało gdzieś w otchłani — nie docierał do niego nawet nikły dźwięk. Gospoia, stateczna jejmość w fartusku, podała kolację. Zjadłem zupę, rybę i sznycel ze smakowitymi dodatkami. Bernhard pił mleko i jadł jedynie pomidory i sucharki.

Rozmawialiśmy o Londynie, w którym Bernhard nigdy nie był, i o Paryżu, gdzie przez pewien czas studiował w pracowni jakiegoś rzeźbiarza. W młodości chciał zostać rzeźbiarzem, „ale — tu Bernhard westchnął uśmiechając się łagodnie — Opatrzność zrządziła inaczej”.

Chciałem z nim pogawędzić o firmie Landauerów, ale się powstrzymałem w obawie, że może byłoby to nietaktowne. Sam Bernhard jednak napomknął o niej mimochodem: — Musi nas pan odwiedzić kiedyś, zainteresowałoby to pana, bo sądzę, że to jest interesujące, już choćby jako współczesny fenomen ekonomiczny. — Uśmiechnął się i jednocześnie twarz jego powlekła się znużeniem; przyszło mi na myśl, że może cierpi na jakąś nieuleczalną chorobę.

Po kolacji wszakże wyraźnie się rozpogodził — zaczął mi opowiadać o swoich podróżach. Parę lat temu objechał cały świat; ten nieagresywnie dociekliwy, nieszkodliwy prześmiewca wtykał swój delikatny ptasi nos we wszystko: w żydowskie wspólnoty wiejskie w Palestynie, żydowskie osady nad Morzem Czarnym, komitety rewolucyjne w Indiach, wojska rebelianckie w Meksyku. Czyniąc przerwy na głębszy namysł, precyzyjnie dobierając słowa, opisał mi rozmowę z chińskim przewoźnikiem o demonach, przytoczył też niewiarygodny przykład brutalności policji nowojorskiej.

Parę razy w ciągu tego wieczoru zadzwonił telefon i zawsze miałem wrażenie, że ktoś prosi Bernharda o pomoc i o radę. „Przyjdź do mnie jutro” — mówił tym swoim znużonym, kojącym głosem. Albo: „Tak. ... Na pewno to wszystko da się załatwić... Tymczasem proszę cię, nie martw się już więcej. Połóż się spać. Przepisuję dwie, trzy tabletki aspiryny...” Uśmiechał się wyrozumiale, ironicznie. Niewątpliwie nosił się z zamiarem pożyczania każdemu z tych „petentów” jakiejś sumy pieniędzy.

— A proszę mi powiedzieć — spytał, gdy już zabierałem się do wyjścia — jeśli to nie jest wścibstwo z mojej strony, co pana skłoniło do zamieszkania w Berlinie?

— Chciałem się nauczyć niemieckiego — odpowiedziałem. Po ostrzeżeniu Natalii ani mi w głowie było zwierzać się Bernhardowi z dziejów mego życia.

— I dobrze pan tu się czuje?

— Bardzo dobrze.

— To wspaniale... Wprost przewspaniale... — Bernhard zaśmiał się tym swoim przyciszonym, ironicznym

śmieszkiem. — Duch obdarzony taką żywotnością, że umie być szczęśliwy, i to nawet w Berlinie... Musi pan zdradzić mi swój sekret! Czy mogę siadywać u pańskich stóp i uczyć się mądrości? — Uśmiech przygasł, w końcu zgasł zupełnie. I znów martwota śmiertelnego znużenia położyła się cieniem na jego dziwnie młodocianej twarzy. — Mam nadzieję — powiedział — że pan zadzwoni do mnie, jak nie będzie pan miał nic lepszego do roboty.

Wkrótce po tym spotkaniu odwiedziłem Bernharda w jego firmie.

Dom towarowy Landauerów to był ogromny budynek ze stali i szkła niedaleko Potsdamer Platz. Przez blisko kwadrans błądziłem między działami: bieliźnianym, konfekcyjnym, sprzętu elektrycznego, sportowym i zawierającym stołowiżnę, nim dotarłem do prywatnego świata na zapleczu — gdzie zawierało się transakcje hurtowe, dokonywało się zakupów, obsługiwało akwizycję i gdzie wreszcie natrafiłem na niewielki ciąg pokoiów należących do Bernharda. Portier wprowadził mnie do małej poczekalni, wyłożonej jakimś pręgowanym, mocno wypolerowanym drewnem, z gęstym niebieskim dywanem i jednym obrazem — sztychem przedstawiającym Berlin w roku 1803. Po chwili wszedł Bernhard we własnej osobie. Wyglądał tego rana młodziej, bardziej elegancko, w muszce i jasnopopielatym garniturze. — Mam nadzieję, że ten pokój przypadł panu do gustu — powiedział. — Uważam, że skoro tylu ludziom tuż tutaj wyczekiwać, powinni przynajmniej znajdować możliwie przychylną atmosferę, która by złagodziła ich zniecierpliwienie.

— Jest bardzo ładny — przyznałem, dodając dla podtrzymania rozmowy, bo trochę czułem się nieswojo: — Co to za drewno?

— Orzech kaukaski. — Bernhard wymówił te słowa z typową dla niego pedanterią, bardzo wyraziście. Uśmiechnął się nagle. Miałem wrażenie, że jest w znacznie lepszym stanie ducha. — Chodźmy obejrzeć sklep.

W dziale metalowym kobieta w służbowym kombinezonie demonstrowała zalety patentowego sitka do kawy. Bernhard przystanął, żeby się dowiedzieć, jak idzie sprzedaż, i dostaliśmy po filiżance kawy. W czasie gdy popijałem swoją, Bernhard wyjaśniał ekspedientce, że jestem znanym kupcem handlującym kawą, że przyjeżdżam z Londynu i że warto posłuchać mego zdania. Kobieta zrazu skłonna była w to uwierzyć, ale śmieliśmy się obaj tak serdecznie, że wzbudziło to w niej podejrzenia. Potem Bernhard upuścił swoją filiżankę. Potłukła się i bardzo był zmartwiony, przeproszał wielokrotnie. — Nic nie szkodzi — zapewniała go ekspedientka, jakby był jakimś pomniejszym pracownikiem firmy, którego można by wylać za niezdarność.

— Mam jeszcze dwie.

Przeszliśmy następnie do zabawek. Bernhard powiedział mi, że obaj ze stryjem sprzeciwili się sprzedaży żołnierskich czy dziecięcych karabinów w swojej firmie. Niedawno na zebraniu dyrektorów toczyła się zażarta dyskusja na temat czołgów do zabawy i zwyciężył jego punkt widzenia.

— Ale, tak naprawdę, to jest wierzchołek góry lodowej — dodał ze smutkiem, podnosząc mały traktorek z kołami na gąsienicach.

Potem pokazał mi salkę, w której mogą się bawić dzieci, podczas gdy matki dokonują zakupów. Opiekunka w służbowym uniformie pomagała dwóm chłopczykom zbudować zamek z klocków. — Proszę zauważyć — powiedział Bernhard — że filantropia jest tutaj połączona z reklamą. Naprzeciwko pokazujemy wyjątkowo tanie i atrakcyjne kapelusze. Matki, które przyprowadzają tutaj dzieci, z miejsca ulegają pokusie... Obawiam się, że pan z ubolewaniem dostrzeże w nas materialistów...

Zapytałem, dlaczego nie ma działu księgarskiego.

— Dlatego, że nie odważymy się go mieć u siebie. Stryj wie, że spędzałbym tam cały dzień.

Wszędzie, w całym magazynie, napotykałem kinkiety z kolorowymi żarówkami — czerwoną, zieloną, niebieską i żółtą. Zapytałem, do czego one służą, i Bernhard objaśnił, że każde z tych światełek jest sygnałem dla poszczególnych dyrektorów firmy. — Ja mam światło niebieskie. Może symbolicznie, w pewnym sensie. — Zanim zdążyłem go zapytać, co chciał przez to powiedzieć, niebieska żarówka, na którą właśnie patrzyliśmy, zamigotała. Bernhard podszedł do najbliższego telefonu, gdzie mu powiedziano, że ktoś chce z nim pomówić i że czeka w biurze. Pożegnaliśmy się zatem. Po drodze do wyjścia kupiłem parę skarpetek.

Wczesną zimą często się z Bernhardem widywałem. Nie mogę powiedzieć, abym go o wiele lepiej poznał w trakcie tych wspólnie spędzonych wieczorów. Pozostał, tak jak przedtem, jakoś dziwnie ode mnie oddalony — z tą swoją twarzą nieruchomą ze znużenia w przyćmionym świetle lampy i miękkim głosem, snującym sekwencja za sekwencją humorystyczne opowieści. Jak choćby ta o lunchu z przyjaciółmi, którzy byli ortodoksyjnymi Żydami. „A — cytował — to jemy dzisiaj lunch na dworze? Cudownie! Jest jeszcze bardzo ciepło jak na tę porę roku, nie uważacie? A wasz ogród wygląda prześlicznie.” Po czym nagle się zorientował, że jego gospodarze jakoś kwaśno na niego popatrują, i przypomniał sobie ze zgrozą, że to przecież Święto Szałasów.

Śmiałem się. Rozbawił mnie. Świetnie opowiadał. A jednak przez cały czas miałem świadomość, że coś mnie w tym wszystkim irytuje. Dlaczego on mnie traktuje jak dziecko? Wszystkich nas traktuje jak dzieci — stryja, stryjenkę, Natalię i mnie. Opowiada nam historyjki. Jest miły, czarujący. Ale jego gesty, gdy częstuje mnie kieliszkiem wina albo papierosem, kryją w sobie arogancję, tę arogancką uniżoność Wschodu. Nie zamierza mi powiedzieć, co naprawdę myśli albo czuje, i gardzi mną, ponieważ nie wiem. Nigdy mi nie powie nic o sobie ani o sprawach dla niego najważniejszych. A że nie jestem do niego podobny, wręcz przeciwnie, chętnie bym się podzielił swoimi uczuciami i myślami z czterdziestoma milionami ludzi, jeśli tylko chcieli o nich czytać; trochę żywię podziw dla Bernharda, a trochę go nie lubię.

Rzadko rozmawialiśmy o sytuacji politycznej w Niemczech, lecz któregoś wieczoru opowiedział mi pewną historię z czasów wojny domowej. Otóż przyszedł do niego raz przyjaciel, student, który brał udział w walkach. Był bardzo zdenerwowany i za nic nie chciał usiąść. W końcu wyznał Bernhardowi, że otrzymał rozkaz zanieśienia meldunku do redakcji jednej z gazet, mieszczącej się w budynku otoczonym przez policję. Aby się do niej dostać, należało przeczołgać się po dachach wystawionych na ostrzał z broni maszynowej. Naturalnie nie rwał się do tej roboty. Miał na sobie jakoś podejrzanie gruby płaszcz, zaś Bernhard nastawa!, by go zdjął, bo w pokoju było gorąco i twarz chłopaka dosłownie ociekała potem. Wreszcie po długich wahaniach uległ i Bernhard ku swemu najwyższemu przerażeniu zobaczył, że podszewka płaszcza jest obszyta wewnętrznymi kieszeniami, wypchanymi granatami ręcznymi. — Na domiar złego — opowiadał Bernhard — postanowił nie ryzykować więcej i zostawić ten płaszcz u mnie. Zamierzał go włożyć do wanny i odkręcić kran z zimną wodą. Ledwie go przekonałem, że lepiej wynieść płaszcz po zmroku i wrzucić do kanału, co ostatecznie udało mu się zrobić... Jest teraz jednym z najwybitniejszych profesorów na pewnym prowincjonalnym uniwersytecie i jestem przekonany, że dawno już zapomniał o tej swojej dość kłopotliwej eskapadzie...

— A czy ty byłeś kiedyś komunistą, Bernhardzie? — zapytałem.

Natychmiast — widziałem to po jego twarzy — przyjął postawę obronną. Po chwili wycedził z wolna:

— Nie, Christopherze. Obawiam się, że byłem zawsze organicznie niezdolny do tego, by osiągnąć wymagany stopień entuzjazmu.

Zniecierpliwiał mnie nagle, wręcz rozżościł: — ... żeby kiedykolwiek w coś uwierzyć?

Bernhard uśmiechnął się blado na tę moją gwałtowność. Może go ubawiło to, że mnie tak wyprowadził z równowagi.

— Chyba... — po czym dodał jakby do siebie: — Nie... to niezupełnie prawda...

— W takim razie w c o ty wierzysz? — nie dawałem za wygraną.

Milczał dłuższą chwilę rozważając, a jego delikatny ptasi profil zastygł w bezruchu z półprzymkniętymi oczami. Wreszcie wy dobył z siebie: — Chyba wierzę w dyscyplinę.

— W dyscyplinę?

— Nie rozumiesz tego? Spróbuję ci to wytłumaczyć... Wierzę w dyscyplinę wobec siebie, niekoniecznie wobec innych. Innych osądzać nie mogę. Wiem tylko, że ja sam muszę przestrzegać pewnych ustalonych reguł, bez których całkiem się gubię... Czy to brzmi bardzo przeraźliwie?

— Nie — odpowiedziałem, myśląc jednocześnie: „On jest taki jak Natalia”.

— Nie potępiaj mnie zbyt surowo, Christopher. — Na twarzy Bernharda rozlał się drwiący uśmiezek. — Pamiętaj, że we mnie płynie mieszana krew. W końcu, może w tych moich skażonych żyłach jest i kropelka krwi czysto pruskiej. Może ten mały palec — podniósł go do światła — jest palcem pruskiego kaprała... Ty, Christopher, mając za sobą stulecia anglosaskiej wolności i wyrytą w sercu *Magna Carta*, nie potrafisz zrozumieć, że my, nieszczęśni barbarzyńcy, potrzebujemy sztywnego munduru, żeby się trzymać prosto.

— Dlaczego ty zawsze stroisz sobie ze mnie żarty, Bernhardzie?

— Stroję sobie żarty z ciebie, mój drogi? Gdzieżbym śmiał!

A jednak niewykluczone, że tym razem Bernhard powiedział mi nieco więcej, niż zamierzał.

Długo medytowałem nad eksperymentem poznania Natalii z Sally Bowles. Przewidywałem chyba, jaki może być rezultat takiego spotkania; w każdym razie miałem na tyle zdrowego rozsądku, żeby nie zaprosić Fritza Wendela.

Umówiliśmy się w eleganckiej kawiarni na Kurfurstendamm. Natalia miała przyjść pierwsza. Spóźniła się o kwadrans — pewnie dlatego, że chciała mieć przewagę osoby, która przychodzi ostatnia. Ale w swoich obliczeniach pominęła Sally — zabrakło jej tupetu, żeby spóźnić się w wielkim stylu. Biedna Natalia! Chciała za

wszelką cenę wyglądać dorosłej, a skutek był taki, że ubrała się dosyć niegustownie. W długiej, paniusiowatej sukni wcale nie było jej do twarzy. Na głowie sterczał wciśnięty na bakier mały kapelusik — nieświadoma parodia Sallinej pazióweczki. Tylko że Natalia miała na to o wiele za gęste, kędzierzawe włosy i kapelusik unosił się na falach jak wpółzatopiona łódka na wzburzonym morzu.

— Jak wyglądam? — z miejsca zapytała siadając naprzeciwko mnie; była lekko podniecona.

— Wyglądasz bardzo ładnie.

— Proszę cię, powiedz mi uczciwie, co ona o mnie pomyśli?

— Bardzo jej się spodobaś.

— Dlaczego tak mówisz? — Natalia obruszyła się.

— Przecież nie wiesz!

— Najpierw chcesz, żebym wypowiedział swoje zdanie, a potem mówisz, że ja nie wiem!

— Imbecyl! Ja się nie dopraszam komplementów!

— A ja chyba nie rozumiem, czego naprawdę się dopraszasz.

— Ach, nie? — wykrzyknęła Natalia wzgardliwie.

— Nie rozumiesz? No to ja przepraszam, nic na to nie poradzę!

W tym momencie pojawiła się Sally.

— Hellouu, kochany — zagruchnęła z daleka, jak tylko mogła najczulej. — Strasznie przepraszam, że się spóźniłam, wybaczysz mi? — Usiadła wytwornie, spowijając nas obłokiem perfum, i jęła maleńkimi, leniwymi ruchami ściągać rękawiczki. — Miętosiałam się z obleśnym starym Żydem, filmowym producentem. Mam nadzieję, że mi ofiaruje kontrakt, ale na razie sprawy nie posuwają się do przodu...

Kopnąłem ją prędko pod stołem i urwała z miną wyrażającą absurdalną konsternację, ale było już za późno, oczywiście. Natalia stężała na naszych oczach. Wszystko, co powiedziałem i co dałem jej do zrozumienia wcześniej, na wszelki wypadek z góry usprawiedliwiając zachowanie Sally, obróciło się natychmiast wniwecz. Po chwili lodowatej ciszy Natalia zapytała, czy widziałem *Sous les Toits de Paris*. Mówiła po niemiecku. Nie zamierzała pozwolić Sally, by uśmieła się z jej angielszczyzny.

Jednakże Sally natychmiast się włączyła do rozmowy, ani trochę nie speszona. Ona widziała ten film i uważa, że jest cudowny; czyż nie cudowny był Prejean i czy pamiętamy tę scenę, jak pociąg mija ich na drugim planie właśnie w chwili, kiedy zaczynają walkę? Niemczyzna Sally była gorsza od najgorszych wzorów, tak dalece, że przyszło mi do głowy, czy ona aby umyślnie nie przesadza, żeby zakpić sobie z Natalii jakimś sposobem.

Już do samego końca tej rozmowy cierpiałem psychiczne męki. Natalia prawie się nie odzywała. Sally paplała tą swoją morderczą niemczyzną — głównie o angielskiej produkcji filmowej — dla podtrzymania tego, co uważała za lekką ogólną konwersację. Ponieważ jednak każda opowiadka zawierała informację, że jakaś pani była kochanką kogoś tam, że ten pił, a ów zażywał narkotyki, nie sprzyjało to poprawie atmosfery. Coraz bardziej mnie irytowały obie — Sally przez tę swoją nieustanną, bezmyślną pornograficzną paplaninę, Natalia przez swoją pruderię. W końcu, po upływie czasu, który wydawał się wiecznością, choć w istocie trwało to nie więcej niż dwadzieścia minut, Natalia oświadczyła, że musi już iść.

— O Boże! Ja też! — wykrzyknęła Sally po angielsku. — Chris, złociutki, podrzucisz mnie do „Edenu”, dobrze?

Na co ja, tchórz jak zwykle, zerknąłem na Natalię, chcąc jej pokazać, że nie mam wyjścia. Miało to być dla niej sprawdzianem mojej lojalności i... nie wyszło, wiedziałem to aż nadto dobrze. W twarzy Natalii nie było litości. Twarz ta stężała. Natalia naprawdę była bardzo zagniewana.

— Kiedy się zobaczymy? — zaryzykowałem.

— Nie wiem — odparła i ruszyła energicznym krokiem przez Kurfurstendamm, jakby nigdy więcej nie chciała widzieć ani mnie, ani Sally.

Chociaż mieliśmy przejść tylko kilkaset metrów, Sally uparła się, żeby wziąć taksówkę. Jak by to wyglądało, tłumaczyła, przybyć do „Edenu” na piechotę?

— Chyba nie bardzo się spodobałam tej dziewczynie — zauważyła, ledwie taksówka ruszyła z miejsca.

— Nie. Nie bardzo.

— Naprawdę nie wiem, dlaczego... Wyłąziłam ze skóry, żeby być dla niej miłą.

— Jeśli ty to nazywasz: miła...! — Roześmiałem się mimo całej złości.

— No to co powinnam była zrobić?

— Raczej chodzi o to, czego nie powinnaś była zrobić... Czy nie potrafisz mówić swobodnie o niczym innym, tylko o cudzołóstwie?

— Ludzie muszą mnie brać taką, jaką jestem — zareplikowała Sally wyniośle.

— Z tymi paznokciami i tym wszystkim? — Zauważyłem, jak oczy Natalii raz po raz zwracały się na te paznokcie, oczy zafascynowane i przejęte zgrozą.

Sally zaśmiała się. — Dziś umyślnie nie pomalowałam paznokci u nóg.

— A niech cię, Sally! Naprawdę je malujesz?

— Tak, oczywiście.

— Ale po cóż, u licha? Przecież nikt... to znaczy, tylko nieliczni — poprawiłem się — mogą je zobaczyć...

Sally obdarzyła mnie jednym z tych swoich najbardziej głupkowatych uśmiezków. — Ja wiem, kochany... Ale dzięki nim mam uczucie, że jestem tak precudownie zmysłowa...

Od tego czasu datuje się schyłek mojej przyjaźni z Natalią. Nie wybuchła między nami żadna otwarta kłótnia ani nie zerwaliśmy definitywnie znajomości. Przeciwnie, spotkaliśmy się zaledwie parę dni później. Od razu jednak spostrzegłem, że temperatura naszej przyjaźni się zmieniła. Rozmawialiśmy, jak zwykle, o sztuce, o muzyce, o książkach, starannie unikając odniesień personalnych. Spacerowaliśmy tak już blisko godzinę po Tiergarten, gdy Natalia ni stąd, ni zowąd zapytała:

— Ty baarzo lubisz pannę Bowles? — Jej oczy, utkwione w zasłanej liśćmi ścieżce, uśmiechały się złośliwie.

— Oczywiście, że lubię... Niedługo się pobierzemy.

— Imbecyl!

Szliśmy teraz parę minut w milczeniu.

— A wiesz — odezwała się nagle z miną człowieka, który dokonuje zaskakującego odkrycia — że mnie się ta twoja panna Bowles nie podoba?

— Wiem.

Mój ton rozdrażnił ją, co było moim zamierzeniem.

— A co ja myślę, to nie ma znaczenia?

— Ani trochę — przekornie wyszczerzyłem zęby.

— Tylko twoja panna Bowles, tylko ona ma znaczenie?

— Ona znaczy bardzo wiele.

Natalia poczerwieniała i przygryzła wargę. Ogarniała ją złość. — Kiedyś przekonasz się, że ja mam rację.

— Nie wątpię, że się przekonam.

Całą drogę powrotną do jej domu przebyliśmy nie zamieniwszy ani słowa. Na progu jednak rzuciła jak zwykle:

Może zadzwonisz któregoś dnia... — Urwała, po czym

strzeliła na pożegnanie: — Jeśli ci ta twoja panna Bowles pozwoli?

Roześmiałem się. — Pozwoli czy nie pozwoli, i tak niedługo do ciebie zadzwonię. — Nie dokończyłem jeszcze zdania, gdy Natalia zamknęła mi przed nosem drzwi.

Nie dotrzymałem wszakże słowa. Upłynął miesiąc, zanim w końcu nakręciłem jej numer. Zamierzałem to zrobić przedtem wiele razy, ale niechęć zawsze przeważała nad chęcią ponownego z nią spotkania. I kiedy zobaczyliśmy się w końcu, temperatura była już o parę dalszych stopni obniżona; zdawało się, że jesteśmy ot, zwykłymi znajomymi. Natalia, jak sądzę, była przekonana, że Sally została moją metresą, ja zaś nie widziałem powodu, dla którego miałbym ją wyprowadzić z błędu — wymagałoby to bowiem długiej rozmowy „od serca”, na którą zwyczajnie nie miałem nastroju. Zresztą, w rezultacie wszystkich tych wyjaśnień Natalia byłaby przypuszczalnie tak samo wstrząśnięta jak i teraz, a przy tym o wiele bardziej zazdrosna. Nie pochlebiałem sobie, że Natalia chciała kiedykolwiek mieć mnie za kochanka, ale naprawdę zaczęła się zachowywać wobec mnie jak apodyktyczna starsza siostra i właśnie tę rolę — żeby było śmieszniej — przejęła od niej Sally. Szkoda,

choć w sumie doszedłem do wniosku, że lepiej jest tak, jak jest. Dostosowałem się więc do sytuacji, odpowiadając Natalii na jej okrężne pytania i napomknienia, a nawet dorzuciłem tu i ówdzie wzmiankę świadcząca o mojej domowej sielance, w rodzaju: „Dziś rano, kiedy oboje z Sally jedliśmy śniadanie...” albo: „Jak ci się podoba ten krawat? To Sally go wybrała...” Biedna Natalia przyjmowała je w chmurnym milczeniu, a ja, jak już tyle razy przedtem, miałem poczucie winy i popełnionej niedelikatności. Aż wreszcie, pod koniec lutego, gdy zadzwoniłem do jej domu, dowiedziałem się, że wyjechała za granicę.

Bernharda także już kawałek czasu nie widziałem. Toteż bardzo byłem zaskoczony, kiedy któregoś rana usłyszałem w telefonie jego głos. Chciał się dowiedzieć, czybym się nie wybrał z nim wieczorem „na wies”, gdzie mieliśmy przenoćować. Brzmiało to bardzo tajemniczo, ale tylko się roześmiał, gdy usiłowałem z niego wyciągnąć, dokąd mamy jechać i po co.

Podjechał po mnie koło ósmej wieczorem dużą limuzyną z kierowcą. Samochód, jak mi wyjaśnił, należy do firmy. Używają go obaj ze stryjem. Jakie to typowe — pomyślałem — dla patriarchalnej prostoty życia Landauerów, że rodzice Natalii nie mają prywatnego samochodu i że Bernhard skłonny jest nawet się tłumaczyć z istnienia tego jednego. Skomplikowana to prostota, negacja negacji. Jej korzenie zaplątały się głęboko w straszliwą winę posiadania. O, Boże, westchnąłem, czy kiedykolwiek zdołam zgłębić tych ludzi do dna, czy kiedykolwiek ich zrozumiem? Już sam proces myślenia o strukturze psychicznej Landauerów wyczerpywał mnie całkowicie i dawał poczucie klęski.

— Jesteś zmęczony? — zagadał Bernhard u mego ramienia, zatroskany.

— O, nie... — zebrałem się w sobie. — Ani trochę.

— Pozwolisz, że zahaczmy jeszcze o dom mojego przyjaciela? Bo widzisz, ktoś jeszcze z nami pojedzie... Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

— Nie, skądże — odpowiedziałem uprzejmie.

— On jest bardzo spokojny. Stary przyjaciel domu. — Bernhard wydawał się, nie wiedząc czemu, ubawiony. Chichotał z cicha sam do siebie.

Samochód zatrzymał się przed willą na Fasanenstrasse. Bernhard zadzwonił i wszedł. Po paru chwilach wrócił niosąc w ramionach teriera. Roześmiałem się.

— Byłeś nadzwyczaj uprzejmy — powiedział z uśmiechem. — Ale i tak wyczułem chyba niepokój z twojej strony... Mam rację?

— Może...

— Ciekawe, kogo się spodziewałeś. Jakiegoś potwornego starego nudziarza zapewne? — Bernhard pogłaskał psa. — Obawiam się jednak, że jesteś o wiele za dobrze wychowany, żeby przyznać się do tego nawet teraz.

Samochód zwolnił i zatrzymał się przed roгатką autostrady Avus.

— Gdzie my jedziemy? — zapytałem. — Wolałbym, żebyś mi powiedział!

Bernhard odpowiedział tym swoim miękkim, szerokim uśmiechem orientalnym. — Jestem bardzo tajemniczy, nieprawdaż?

— Bardzo.

— Przecież to powinno być dla ciebie cudowne przeżycie: jechać w głąb nocy i nie wiedzieć dokąd! Gdybym ci powiedział, że jedziemy do Paryża albo do Madrytu czy do Moskwy, byłoby po tajemnicy i straciłbyś połowę przyjemności... A tak, zazdroszczę ci, że nie wiesz, dokąd jedziemy!

— Można i tak na to popatrzeć, niewątpliwie... W każdym razie, wiem już, że nie jedziemy do Moskwy. Zmierzamy w odwrotnym kierunku.

Bernhard roześmiał się. — Jesteś czasami tak bardzo angielski, Christopherze. Ciekawe, czy zdajesz sobie z tego sprawę?

— Myślę, że to ty wyzwalasz we mnie tę moją angielskość — odpowiedziałem i natychmiast poczułem się trochę niewyraźnie, jakby to była uwaga po trosze obraźliwa. Bernhard zdawał się odczytywać moje myśli:

— Mam to uważać za komplement czy za naganę?

— Za komplement, oczywiście.

Samochód wił się czarną szosą Avus, zapadając w nieogarnione ciemności zimowego krajobrazu. Potężne znaki drogowe lśniły przez moment w strugach światła z przednich lamp i gasły jak wypalone zapalki. Oto Berlin za

naszymi plecami stał się już tylko czerwoną luną na niebie, kurczącą się gwałtownie, w miarę jak ją przesłaniał zwierający się za nami las sosnowy. Reflektor na Funkturm przebijał swoją świetlną lancą nocny mrok. Prosta czarna szosa grzmiała pędząc na oślep ku nam jak na zatracenie. W miękko wyściełanym, mrocznym wnętrzu samochodu Bernhard głaskał na swoich kolanach niespokojnego psa.

— No dobrze już, dobrze, powiem ci... Jedziemy do takiego zakątka nad brzegiem Wannsee, który należał kiedyś do mojego ojca. W Anglii nazywacie to wiejską chatą.

— Do chaty? Bardzo miło...

Mój ton rozbawił Bernharda. Poznałem po jego głosie, że się uśmiecha.

— Mam nadzieję, że nie będziesz narzekał na niewygody?

— Na pewno będę zachwycony.

— Na pierwszy rzut oka może się wydać trochę prymitywna... — Bernhard zaśmiał się do siebie cichuteńko. — Ale to zabawne, tak czy owak...

— Niewątpliwie...

Zdaje się, że mi majaczył w głowie jakiś hotel, światła, muzyka, wyśmienita kuchnia. Pomyślałem z goryczą, że tylko bogaty, dekadentcko przerafinowany mieszcuch może nazwać biwakowanie w nędznej, wilgotnej wiejskiej chacie, i to w środku zimy, czymś zabawnym. I jakież to typowe, że wiezie mnie do tej chaty luksusowym samochodem! A gdzie będzie nocował szofer? Pewnie w najlepszym hotelu w Poczdamie... Kiedy mijaliśmy światła budynku rogatki na drugim końcu autostrady, spostrzegłem, że Bernhard wciąż jeszcze uśmiecha się pod nosem.

Samochód skręcił zamaszyście w prawo, zjechał ze wzgórza i pomknął drogą między sylwetkami drzew. Czuło się bliskość wielkiego jeziora, niewidocznego za lasami z lewej strony. Ledwie rozpoznałem koniec drogi, bramę wjazdową i aleję. Zatrzymaliśmy się przed drzwiami dużej willi.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytałem Bernharda, sądząc w oszołomieniu, że jeszcze po kogoś musi wstąpić, może po następnego teriera. Bernhard roześmiał się wesoło:

— Dotarliśmy do celu, mój drogi Christopherze! Wsiadaj!

Służący w pasiastej liberii otworzył drzwiczki auta. Terier wyskoczył pierwszy, za nim my obaj. Bernhard, z ręką na moim ramieniu, prowadził mnie przez hall, potem schodami w górę. Gruby dywan, sztychy oprawione w ramy. Otworzył drzwi do biało-różowej sypialni z rozkosznym kraciastym, jedwabnym puchowym piernatem na łóżku. Z tyłu była łazienka, połyskująca wypolerowanym srebrem i obwieszona puszystymi białymi ręcznikami.

Bernhard wyszczerzył w uśmiechu zęby:

— Biedny Christopher! Boję się, że nasza chata cię rozczarowała. Jest za duża dla ciebie, za dużo w niej przepychu? Czekaleś na przyjemność spania na podłodze, z karaluchami?

Klimat tego żartu nie odstępował nas również przy kolacji. Za każdym razem gdy służący wnosił kolejne danie na srebrnym półmisku, Bernhard porozumiewał się ze mną wzrokiem z uśmiechem dezaprobaty. Jadalnia była utrzymana w stylu spokojnego baroku, wykwinna, w kolorze stonowana. Zapytałem, kiedy tę willę zbudowano.

— Ojciec zbudował ją w 1904. Chciał, żeby w miarę możliwości przypominała dom angielski przez wzgląd na moją matkę...

Po kolacji ruszyliśmy na przechadzkę w ciemnościach, po wietrznym ogrodzie. Między drzewami wiał silny wiatr znad wody. Potykając się o teriera, który uparł się, żeby biec między moimi nogami, zszedłem za Bernhardem po kamiennych stopniach na pomost. Po ciemnym jeziorze przebiegały gęste fale, a dalej, w stronę Poczdamu, parę rozrzuconych, rozhuśtanych świateł odbijało się gwiazdną smugą w czarnej wodzie. Zdemontowana latarnia gazowa na balustradzie grzechotała na wietrze, a pod nami fale, miękkie, tajemnicze, spryskiwały wilgocią niewidoczny kamień.

— Kiedy byłem chłopcem, schodziłem po tych stopniach w zimowe wieczory i wystawałem tutaj godzinami...

— odezwał się nagle Bernhard. Mówił bardzo cicho, tak że ledwie go słyszałem. Twarz miał odwróconą, patrzył w ciemnościach gdzieś daleko na jezioro. Za każdym silniejszym podmuchem wiatru docierały do mnie wyraźniej jego słowa, jakby to sam wiatr przemawiał do mnie: — To było w czasie wojny. Mój starszy brat zginął, na samym początku wojny... Później jacyś handlowi rywale mego ojca rozetali na niego nagonkę z powodu żony Angielki, toteż nikt do nas nie przychodził i krążyły plotki, że jesteśmy szpiegami. W końcu nawet ci miejscowi kupcy nie chcieli nas odwiedzać... Wszystko to było dosyć niedorzeczne, ale też strach pomyśleć, że ludźmi może zaważnąć taka złość...

Drżałem odrobinę, zapatrzony w wodę. Było zimno. Łagodny, rozważny głos Bernharda sęczył się wciąż do moich uszu:

— Wystawałem tutaj w te zimowe wieczory i wmawiałem sobie, że jestem ostatnią ludzką istotą żyjącą na tym świecie... Byłem chyba jakimś dziwnym chłopcem... Nigdy nie żyłem dobrze z innymi chłopakami, choć tak bardzo chciałem być lubiany, mieć przyjaciół. Może to był mój błąd, że za bardzo starałem się być przyjacielski. Chłopcy to dostrzegali i stawali się okrutni. Obiektywnie, mogę to zrozumieć... Być może w innych okolicznościach sam byłbym zdolny do okrucieństwa. Trudno powiedzieć... Ale dla mnie, takiego, jakim byłem, szkoła stała się wręcz chińską torturą... Możesz więc sobie wyobrazić, dlaczego lubiłem tu przychodzić nocą, nad jezioro, i przesiadywać tu samotnie. No i ta wojna... Wówczas myślałem, że potrwa dziesięć, piętnaście, może nawet dwadzieścia lat. Wiedziałem, że i mnie wkrótce powołają. Ciekawe, bo nie przypominam sobie, żebym się choć trochę bał. Przyjąłem to do wiadomości. Wydawało się całkiem naturalne, że wszyscy musimy zginąć. Przypuszczam, że tak właśnie powszechnie myślano w tym wojennym czasie. Sądzę jednak, że w moim przypadku w tym nastawieniu było także coś typowo semickiego... Bardzo trudno jest mówić o tych rzeczach całkiem bezstronnie. Bywa, że człowiek nie chce dopuścić czegoś do swojej świadomości, bo to coś rzutuje nieprzyjemnie na miłość własną...

Zawróciliśmy z wolna od jeziora i zaczęliśmy podchodzić ogrodowym zboczem. Raz po raz dochodził mnie zziębnięty oddech teriera, który polował gdzieś w ciemnościach. Bernhard ciągnął dalej swą opowieść, wahał się, dobierał słowa:

— Po śmierci mojego brata matka prawie nie wychodziła z domu, nie ruszała się na krok z posesji. Myślę, że próbowała zapomnieć o Niemczech, o tym, że taki kraj w ogóle istnieje. Zaczęła się uczyć hebrajskiego i skoncentrowała całą swą uwagę na historii starożytnej Żydów i ich literaturze. Mam wrażenie, że to wręcz symptomatyczne dla obecnej fazy rozwoju narodu żydowskiego — to odwrócenie się od europejskiej kultury i europejskich tradycji. Odnajduję to czasem w sobie... Pamiętam, że moja matka snuła się po domu jak somnambuliczka. Żałowała każdej chwili nie spędzonej na tych swoich dociekaniach, co było straszne, bo przez cały ten czas umierała już na raka... Kiedy się dowiedziała o swym stanie, nie dopuściła do siebie lekarza. Bała się operacji... I w końcu, kiedy już ból stał się nieznośny, odebrała sobie życie...

Dotarliśmy do domu, Bernhard otworzył szklane drzwi i przeszliśmy przez małą cieplarnię do ogromnego salonu, pełnego skaczących cieni z powodu ognia płonącego w angielskim kominku. Bernhard zapalił kilka lamp i pokój wprost rozjarzył się światłami.

— Czy potrzebujemy tyle światła? — zapytałem.

— Chyba ogień w kominku jest dużo przyjemniejszy.

— Tak uważasz? — Bernhard uśmiechnął się leciutko.

— Ja też... Ale myślałem, że może będziesz wolał lampy.

— A to dlaczego? — Od razu nie spodobał mi się jego ton.

— Nie wiem. Wyobraziłem sobie, że to leży w twoim charakterze. Co za głupek ze mnie!

W głosie Bernharda pobrzmiwała drwina. Nie odpowiedziałem. Wstał i zgasił wszystkie lampy oprócz jednej, malutkiej, na stoliku koło mnie. Zapanowało długie milczenie.

— Chcesz posłuchać radia?

Tym razem jego ton sprawił, że się uśmiechnąłem.

— Nie musisz mnie zabawiać, wiesz przecie! Czuję się znakomicie, siedząc tutaj przy kominku.

— Jeśli ci dobrze, to się cieszę... Głupek ze mnie, bo odniosłem wrażenie, że jest wręcz przeciwnie.

— To znaczy?

— Bałem się, że może się nudzisz.

— Skądże znowu! Co za bzdura!

— Jesteś bardzo uprzejmy, Christopherze. Zawsze jesteś uprzejmy. Ale ja umiem czytać całkiem wyraźnie w twoich myślach... — Nigdy nie słyszałem u Bernharda takiego tonu; naprawdę tchnął wrogością. — Zastanawiasz się, dlaczego cię przywiozłem do tego domu. A przede wszystkim, dlaczego ci opowiedziałem to, co niedawno usłyszałeś.

— Cieszę się, że mi opowiedziałeś...

— Nie, to nieprawda. Jesteś trochę zaszokowany. Według ciebie, o takich rzeczach się nie mówi. To razi twoje angielskie, ekskluzywne wychowanie, razi cię ten żydowski emocjonalizm. Pochlebiasz sobie, że jesteś człowiekiem światowym i że żadna odmiana ludzkiej słabości cię nie razi, ale twoje wychowanie bierze górę. Uważasz, że ludzie nie powinni z sobą o takich rzeczach rozmawiać. To nie przystoi.

— Bernhard, ty fantazjujesz!

— Doprawdy? Może... Choć nie sędzę. Wszystko jedno... Skoro chcesz wiedzieć, spróbuję ci wytłumaczyć, dlaczego cię tutaj sprowadziłem... Chciałem przeprowadzić eksperyment.

— Eksperyment? Na mnie?

— Nie. Eksperyment na sobie. To znaczy... Od dziesięciu lat nie rozmawiałem z nikim o sprawach tak intymnych jak dziś z tobą... Ciekaw jestem, czy potrafisz siebie postawić na moim miejscu, czy rozumiesz, co to znaczy. A dziś wieczór... Może zresztą nie da się tego wytłumaczyć... Spróbuję od innej strony. Przywożę cię więc tutaj, do tego domu, który nie wywołuje w tobie żadnych skojarzeń. Nie ma powodu, by przytłaczała cię przeszłość. Potem ci opowiadam swoje dzieje... Niewykluczone, że w ten sposób można odzęgnywać duchy... Wypowiadałem się bardzo mętnie. Czy to brzmi nonsensownie dla twojego ucha?

— Nie, ani trochę... Tylko dlaczego obrałeś sobie mnie dla swego eksperymentu?

— Powiedziałeś to bardzo twardym głosem, Christopher. Myślisz sobie, że mną pogardzasz.

— Nie, Bernhardzie. Myślę, że to ty musisz pogardzać mną... Często się zastanawiam, dlaczego w ogóle ze mną przestajesz. Czasem mam wrażenie, że w gruncie rzeczy mnie nie lubisz i że mówisz albo robisz różne rzeczy po to, żeby tego dowieść, choć z drugiej strony, chyba nie, bo inaczej nie zapraszałbyś mnie do siebie... Tak czy owak, zaczyna mnie już nużyć to, co nazywasz swoimi eksperymentami. Ten dzisiejszy nie był wcale pierwszy. Eksperymenty zawodzą, a potem się złościś na mnie. Muszę powiedzieć, że uważam to za mocno niesprawiedliwe... A już wręcz nie mogę znieść tej twojej udawanej pokory, w jaką się przyoblekasz, chcąc okazać swoją niechęć... W istocie jesteś najmniej pokornym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem.

Bernhard milczał. Zapalił już wcześniej papierosa i teraz powoli wypuszczał nosem dym. Wreszcie przemówił:

— Zastanawiam się, czy masz rację... Chyba niezupełnie. Choć częściowo... Tak, masz w sobie coś, co mnie przyciąga i czego ci bardzo zazdroszczę, ale ta sama cecha budzi we mnie jednocześnie antagonizm... Może dlatego, że ja też jestem po części Anglikiem, a ty przedstawiasz w moich oczach pewną cechę mojego własnego charakteru... Nie, to też nie tak... To nie takie proste, jak bym chciał... Obawiam się — Bernhard znużonym, kapryśnym gestem przejechał dłonią po czole — obawiam się, że jestem mechanizmem, nie wiedzieć po co tak skomplikowanym.

Nastąpiła chwila ciszy, lecz zaraz dodał:

— Ale to wszystko jest głupia, egoistyczna gadanina. Musisz mi wybaczyć. Nie mam prawa tak do ciebie mówić.

Podniósł się, przeszedł miękkiem krokiem przez pokój i włączył radio. Wstając, na moment oparł mi rękę na ramieniu. Później, przy akompaniamencie pierwszych dźwięków muzyki, uśmiechając się powrócił na swój fotel przed kominkiem. Uśmiech był łagodny, a jednak zadziwiająco nieprzyjazny. Tliła się w nim jakaś zamierzczła wrogość. Przeszedł mi na myśl jeden z posążków orientalnych w jego berlińskim mieszkaniu.

— Dziś wieczór — uśmiechnął się łagodnie — jest retransmisja ostatniego aktu *Die Meistersinger* [*Śpiewacy norymberscy* R. Wagnera (przyp. tłum.)].

— Bardzo ciekawe — powiedziałem.

Pół godziny później Bernhard odprowadził mnie do drzwi mego pokoju, wciąż jeszcze uśmiechnięty, z ręką na moim ramieniu. Nazajutrz rano, przy śniadaniu, miał zmęczony wygląd, lecz był wesoły i zabawny. Żadnym słowem ani gestem nie nawiązał do naszej wieczornej rozmowy.

Odwiózł mnie do Berlina i wysadził przy rogu Nollendorfplatz.

— Zadzwoń prędko — powiedziałem.

— Naturalnie. Z początkiem przyszłego tygodnia.

— I dziękuję pięknie.

— Dziękuję, że ze mną pojechałeś, mój drogi Christopherze.

I znów go nie widziałem prawie sześć miesięcy.

Którejś niedzieli, w pierwszych dniach sierpnia, odbywało się referendum, które miało zdecydować o losie rządu Brüninga [Heinrich Brüning (1885-1970) — polityk niemiecki, kanclerz w latach 1930-32 (przyp. tłum.)]. Mieszkałem znów u Frä. Schroeder i całą przepiękną, upalną pogodę przeleżałem w łóżku, przeklinając swój palec u nogi — skaleczyłem się kawałkiem blachy, kiedy ostatni raz kąpałem się w Ruegen, i teraz nagle palec zaczął rościć, pełen trującego jadu. Toteż byłem po prostu wniebowzięty, kiedy niespodziewanie zadzwonił Bernhard.

— Czy pamiętasz taką jedną małą wiejską chatę nad brzegiem Wannsee? Pamiętasz? No bo tak sobie myślę, czybyś nie zechciał spędzić tam ze mną paru godzin dzisiaj po południu... Tak, twoja gospodyni już mi powiedziała, co ci się przytrafiło. Żal mi ciebie... Ale mogę przysłać po ciebie samochód. Myślę, że dobrze byłoby wyrwać się trochę z tego miasta. Możesz tam robić, co ci się będzie podobało, możesz po prostu leżeć i odpoczywać. Nikt ci nie będzie przeszkadzał.

Tuż po lunchu samochód podjechał zgodnie z zapowiedzią. Było przepyszne popołudnie i w czasie jazdy błogosławiłem Bernharda za jego życzliwość. Za to gdy przyjechaliśmy do willi, doznałem przykrego szoku: na trawniku kłębił się tłumek.

Dotknęło mnie to do żywego. Paskudny kawał, pomyślałem. Tu ja, w najgorszym ubraniu, z obandażowaną nogą i z laską, zwabiony na taki ogrodowy szpan, a tam Bernhard we flanelowych spodniach i chłopięcej bluzie. Wyglądał zadziwiająco młodo. Zrywając się, by mnie powitać, lekko przeskoczył niskie ogrodzenie.

— Christopher! Jesteś nareszcie! Rozgość się wygodnie!

Mimo moich protestów, siłą zdarł ze mnie płaszcz i kapelusz. A ja jak na złość miałem na sobie szelki. Większość gości była ubrana w eleganckie flanelowe garnitury. Uśmiechając się kwaśno, przywdziewając instynktownie zbroję kapryśnej ekscentryczności, która chroni mnie w takich momentach, wszedłem kuśtykając w sam środek gromadki. Kilka par tańczyło przy dźwiękach walizkowego gramofonu; dwaj młodzi mężczyźni rzucali w siebie poduszkami, zagrzewani do walki przez swe damy, większość jednak leżała gwarząc między sobą na dywanikach rozłożonych wprost na trawie. Wszystko to wyglądało tak naturalnie acz niekonwencjonalnie, zaś lokaje i szoferzy stali dyskretnie na uboczu, obserwując te błazeństwa niczym niańki swoją utytułowaną dziatwę.

Co oni tu robią? Po co Bernhard ich zaprosił? Czy to jeszcze jedna, bardziej wyszukana próba wyegzorcyzmowania jego duchów? Nie; doszedłem do wniosku, że to raczej przyjęcie zobowiązaniowe, wydawane raz do roku dla wszystkich krewnych, przyjaciół i ludzi uzależnionych od jego rodziny. A ja byłem tylko jeszcze jedną osobą, którą należało odfajkować, gdzieś na końcu listy. No cóż, głupotą by było okazać niewdzięczność. Skoro już tu jestem, postaram się dobrze bawić.

Nagle, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, zobaczyłem Natalię. Miała na sobie sukienkę z jakiegoś jasnożółtego materiału, z małymi bufiastymi rękawami, w ręce trzymała duży słomkowy kapelusz. Wyglądała tak ładnie, że ledwie ją poznałem. Podeszła radośnie, żeby mnie przywitać:

— Ach, Christopher! Jak ja się cieszę, wiesz?

— Gdzieś ty się podziewała tyle czasu?

— Byłam w Paryżu... Nie wiedziałeś? Uczciwie? Czekam zawsze listu od ciebie, a ty nic!

— Ależ Natalio, nie przysłałaś mi swego adresu.

— Jak to? Wysłałam.

— W takim razie nie otrzymałem tego listu... Bo widzisz, ja także wyjeżdżałem.

— Tak? Wyjeżdżałeś? No to przepraszam... nic na to nie poradzę!

Roześmieliśmy się oboje. Śmiech Natalii jakoś się odmienił, tak jak ona cała. Nie był to śmiech surowej uczennicy, która przykazała mi czytać Jacobsena i Goethego. A na jej twarzy błąkał się marzycielski, zachwycony uśmiech, jakby — pomyślałem sobie — przez cały ten czas słuchała ożywczej muzyki pieszczącej ucho. Mimo widocznej przyjemności ponownego spotkania ze mną, sprawiała wrażenie, jakby nie bardzo uważała na to, o czym rozmawiamy.

— A co ty robisz w Paryżu? Studiujesz sztukę, tak jak chciałeś?

— Ależ naturalnie!

— Podoba ci się to?

— Cudowne! — energicznie przytaknęła głową. Oczy jej się jarzyły. Ale to słowo jakby miało się odnosić do

czegoś innego.

— Czy twoja mama jest razem z tobą?

— Tak. Tak...

— Macie wspólne mieszkanie?

— Tak... — Znów skinęła głową. — Mieszkanie... Och, jest cudownie!

— I wracasz tam niezabawem?

— No pewnie... Naturalnie! Jutro! — Zdawało się, że jest takim pytaniem zaskoczona, bo jakże świat może nie wiedzieć...? Dobrze znałem to uczucie! Teraz już byłem pewien: Natalia była zakochana.

Rozmawialiśmy jeszcze parę minut — Natalia przez cały czas uśmiechnięta, słuchająca w rozmarzeniu, tylko że nie mnie. Potem ni stąd, ni zowąd zaczęła się bardzo śpieszyć. Powiedziała, że jest już spóźniona. A musi się spakować. Musi zaraz wyjść. Ucisnęła moją rękę i patrzyłem, jak radośnie biegła przez trawnik do czekającego samochodu. Zapomniała nawet mnie poprosić, żebym napisał, w ogóle dać mi swój adres. Machając jej na pożegnanie, poczułem w moim zakażonym palcu ostre ukłucie zazdrości.

Później co młodsi biesiadnicy pluskali się hałaśliwie w brudnej wodzie jeziora u stóp kamiennych schodków. Bernhard kąpał się także. Miał białe, dziwnie niewinne ciało jak u niemowlęcia i, też jak niemowlę, okrągły, lekko wystający brzuch. Śmiał się, rozpryskiwał wodę i pokrzykiwał głośniejsz od innych. Spozstrzegłszy, że go obserwuję, jął hałasować jeszcze bardziej — czyżby w tym było jakieś wyzwanie? Czy myślał, tak jak ja, o tym, co mi powiedział stojąc w tym samym miejscu sześć miesięcy wcześniej? — Właż i ty, Christopher! — wołał. — Dobrze ci to zrobi na nogę! — Kiedy wreszcie wyszli z wody i zabrali się do wycierania, Bernhard z paru innymi młodzikami zaczęli się ścigać pośród śmiechów między ogrodowymi drzewami.

Jednakże mimo całej tej Bernhardowej brykaniny, zabawa w gruncie rzeczy się nie kleiła. Towarzystwo rozbiło się na grupki i koterie; i nawet w momentach największego rozbawienia co najmniej czwarta część gości przyciszonymi, poważnymi głosami wymieniała uwagi na tematy polityczne. Zresztą, niektórzy najwyraźniej przyjechali do Bernharda, żeby spotkać się z innymi i pomówić o własnych sprawach, więc nawet się nie trudzili, by udawać towarzyskość. Równie dobrze mogliby pozostać w swoich biurach albo w domu.

Zmrok zapadł i jakaś dziewczyna zaczęła śpiewać. Śpiewała po rosyjsku i brzmiało to, jak zwykle, smętnie. Lokaje wnieśli kieliszki i olbrzymią wazę z koktajlem z czerwonego wina. Na trawniku pochłodziła. W górze świeciły miliony gwiazd, a w dali, na wielkim, wypełnionym ciszą jeziorze ostatnie żagle jak widma lawirowały to tu, to tam na wątlej nocnej bryzie. Kwilił gramofon. Leżałem na poduszkach, słuchając wywodów chirurga żydowskiego, który przekonywał, że Francja nie może zrozumieć Niemiec, ponieważ Francuzi nigdy nie doświadczyli niczego, co dałoby się porównać z neurotycznym powojennym życiem narodu niemieckiego. Z samego środka grupki młodzieżowej rozległ się nagle piskliwy śmiech dziewczyny. A tam, w mieście, liczono właśnie głosy. Pomyślałem o Natalii: wymknęła się — może wcale nie za wcześnie. Choćby nie wiedzieć jak często odkładano tę decyzję, wszyscy ci ludzie są nieodwołalnie skazani. Dzisiejszy wieczór jest próbą generalną katastrofy. To jak zamknięcie epoki.

O wpół do jedenastej przyjęcie zaczęło się załamywać. Staliśmy wszyscy w hallu albo wokół drzwi frontowych, podczas gdy ktoś dzwonił do Berlina, żeby uzyskać wiadomości. Jeszcze parę chwil bezgłośniego wyczekiwania i mroczna, wsłuchana twarz przy telefonie odprężyła się z uśmiechem. Rząd ocalał — obwieściła. Parę osób wykrzyknęło „Hurra!”, na wpół ironicznie, ale z ulgą. Odwróciłem się i zobaczyłem Bernharda u mego ramienia. — Kapitalizm ocalał raz jeszcze. — Uśmiechał się leciutko.

Zorganizował mi odwrót w tyle samochodu jadącego do Berlina. Gdy dotarliśmy do Tauentzienstrasse, sprzedawano tam gazety z wiadomością o strzelaninie na Bulowplatz. Pomyślałem o naszym towarzystwie porozkładanym na trawniku przy jeziorze, popijającym koktajl z czerwonego wina przy dźwiękach gramofonu; a także o tym oficerze policji, który z rewolwerem w ręku, śmiertelnie ranny potykał się na stopniach kina, by paść bez ducha u stóp tekturowej figury reklamującej filmową farsę.

Następna przerwa — tym razem osiem miesięcy. I oto ja sam zadzwoniłem do drzwi Bernharda. Był w domu, a jakże.

— To wielki zaszczyt, Christopherze. Tylko szkoda, że taki rzadki.

— Tak. Przepraszam. Tyle razy chciałem cię odwiedzić... Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem...

— Byłeś przez ten cały czas w Berlinie? Bo wiesz, telefonowałem dwa razy do mieszkania Frl. Schroeder i jakiś obcy głos mi odpowiedział, że wyjechałeś do Anglii.

— Powiedziałem tak Frl. Schroeder. Nie chciałem, żeby wiedziała, że tu jestem.

— O, doprawdy? Pokłóciliście się?

— Wręcz przeciwnie. Powiedziałem jej, że wyjeżdżam do Anglii, bo inaczej koniecznie chciałaby mnie wesprzeć. Było u mnie trochę krucho z gotówką... Wszystko już jest w najlepszym porządku — dodałem spieszenie, widząc na jego twarzy zatroskanie.

— Na pewno? No, to się bardzo cieszę... Ale co się z tobą działo przez ten cały czas?

— Mieszkałem u pięcioosobowej rodziny w dwupokojowym mieszkaniu na poddaszu w Hallesches Tor.

Bernhard uśmiechnął się. — Na Jowisza, cóż za romantyczny żywot prowadzisz, Christopherze!

— Dobrze, że uważasz to za romantyczne, bo ja nie! Obaj parsknęliśmy śmiechem.

— W każdym razie — zauważył Bernhard — najwyraźniej ci to służy. Wyglądasz jak okaz zdrowia.

Nie mogłem mu odwzajemnić tego komplementu. Miałem wrażenie, że jeszcze nigdy nie widziałem Bernharda w tak złej formie. Twarz miał ściągniętą, bladą i nawet kiedy się uśmiechał, nie opuszczało jej znużenie. Pod oczami głębokie, ziemiste półksiężycy, a i włosy jakby mu się przeredziły. Mógł sobie śmiało dodać dziesięć lat.

— A jak tobie się powodziło? — zapytałem.

— Moja egzystencja jest w porównaniu z twoją żałośnie monotonna... Choć mimo wszystko zdarzają się pewne tragikomiczne urozmaicenia.

— Jakie urozmaicenia?

— Takie, na przykład... — Bernhard podszedł do biurka, wziął stamtąd arkusik i podał mi. — To przyszło pocztą dziś rano.

Przeczytałem tekst, napisany na maszynie.

„Bernhardzie Landauer, ostrzegamy. Zamierzamy się porachować z tobą, z twoim stryjem i z innymi parszywymi Żydami. Dajemy wam dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie Niemiec. Jeśli nie, zginiecie.”

Bernhard zaśmiał się. — Łakną krwi, nie uważasz?

— To nie do wiary... Jak myślisz, kto to wysłał?

— Może jakiś zwolniony pracownik. A może dowcipniś. Albo wariat. Albo jakiś zapalczywy uczeń-nazista.

— I co z tym zrobisz?

— Nic.

— Chyba zgłosisz do policji?

— Policja, mój drogi, już niedługo będzie miała dość wysłuchiwanie takich bzdur. Otrzymujemy po kilka takich listów tygodniowo.

— Ale mimo to, może ten właśnie został napisany serio... Naziści mogą pisać jak uczniaki, ale są zdolni do wszystkiego. Dlatego są tacy niebezpieczni. Ludzie się z nich śmieją, i to do ostatniej chwili...

Bernhard obdarzył mnie swoim znużonym uśmiechem. — Bardzo mi pochlebia, że tak się o mnie niepokoisz. Tylko że ja wcale na to nie zasługuję... Moje życie nie ma aż tak

istotnego znaczenia, ani dla mnie, ani dla innych, żeby dla mojej ochrony trzeba było odwoływać się do Prawa... A co do stryja, to jest teraz w Warszawie... Spostrzegłem, że pragnie zmienić temat.

— Masz jakieś wiadomości o Natalii i pani Landauer?

— O tak, naturalnie! Natalia wyszła za mąż. Nie wiedziałeś? Za młodego lekarza, Francuza... Podobno są bardzo szczęśliwi.

— Jakże się cieszę!

— Tak... To miło pomyśleć, że przyjaciele są szczęśliwi, nieprawdaż? — Bernhard podszedł do kosza na śmieci i wrzucił do niego liścik. — Zwłaszcza jeśli są w innym kraju... — Uśmiechnął się markotnie.

— A jak myślisz, co się stanie teraz w Niemczech? — zapytałem. — Czy zanosi się na pucz nazistowski, czy na komunistyczną rewolucję?

Bernhard roześmiał się.

— Widzę, że nie straciłeś ani odrobiny z dawnego entuzjazmu. Żałuję tylko, że to pytanie nie ma dla mnie takiego znaczenia jak dla ciebie...

„Nabierze znaczenia któregoś pięknego poranka” — miałem na końcu języka; dobrze się stało, że się powstrzymałem. Zamiast tego zapytałem: — Dlaczego żałujesz?

— Bo byłoby to oznaką czegoś zdrowszego w mojej własnej naturze... W dzisiejszych czasach należy się interesować takimi rzeczami. Doceniam takie zainteresowanie. Dowodzi rozsądku, zdrowia... A że dla mnie wszystko to jest trochę nierealne, trochę... nie gniewaj się, Christopher... banalne, więc wiem, że tracę kontakt z życiem. To niedobrze, bez wątpienia... Trzeba zachować poczucie proporcji... Czy wiesz, że czasem, kiedy tu siedzę samotnie wieczorami, pośród tych książek i kamiennych posążków, ogarnia mnie jakieś dziwne wrażenie nierzeczywistości, jakby takie było całe moje życie? Niekiedy nawet powątpiewam, czy nasza firma — ten wielki budynek wyładowany od podłogi aż po dach masą nagromadzonego przez nas dobra — nie istnieje aby tylko w mojej wyobraźni... A potem przychodzi takie nieprzyjemne uczucie, jakie się miewa we śnie, że ja sam także nie istnieję. To bardzo nienaturalne, chorobliwe, świadczy o wielkim niezrównoważeniu, niewątpliwie... Coś ci wyznam, Christopherze... Któregoś wieczoru tak mnie prześladowała ta halucynacja, że firma Landauerów w ogóle nie istnieje, że chwyciłem za słuchawkę i odbyłem długą rozmowę z naszym sklepowym nocnym stróżem, tłumacząc się głupkowato, dlaczego go niepokoję. Tylko po to, żeby się upewnić, rozumiesz? Czy nie myślisz, że zaczynam wariować?

— Nic takiego nie myślę... To się może zdarzyć każdemu, kto jest przepracowany.

— Doradzasz mi wakacje? Miesiąc we Włoszech tuż z nadejściem wiosny? Tak... Pamiętam czasy, kiedy miesiąc włoskiego słońca rozwiązywał wszystkie moje problemy. Ale teraz, niestety, to lekarstwo straciło swoją moc. Oto masz paradoks: firma Landauerów przestała być dla mnie czymś realnym, a jednak jestem bardziej niż kiedykolwiek jej niewolnikiem! Masz przed sobą człowieka skazanego na życie dyktowane przez plugawy materializm. Wystarczy, że przestanę tyrać, a będę głęboko nieszczęśliwy... Ach, Christopher, niechże mój los będzie dla ciebie przestroga!

Mówił to lekko, z uśmiechem, na wpół żartobliwie. Nie miałem ochoty tego tematu podtrzymywać.

— A wiesz — powiedziałem — ja rzeczywiście wyjeżdżam teraz do Anglii. Za jakie trzy, cztery dni.

— Przykro mi to słyszeć. Jak długo masz zamiar tam posiedzieć?

— Pewnie całe lato.

— Dokuczył ci już Berlin?

— O, nie... Raczej mam wrażenie, że to ja dokuczyłem Berlinowi.

— To znaczy, że wrócisz?

— Tak, mam nadzieję.

— Jestem przekonany, że ty zawsze będziesz wracał do Berlina, Christopherze. Wrosłeś w niego.

— Może i tak, poniekąd.

— To przedziwne, jak ludzie wrastają w niektóre miejscowości, zwłaszcza w miejscowości, w których się nie urodzili... Kiedy pierwszy raz pojechałem do Chin, zdawało mi się, po raz pierwszy w życiu, że jestem tam u siebie... Może jak umrę, mój duch poszybuje do Pekinu.

— Lepiej, żeby go tam zawiózł pociąg razem z ciałem, i to jak najprędzej!

Bernhard roześmiał się. — Świetnie... Posłucham twojej rady! Ale pod dwoma warunkami: pierwszy, że pojedziesz ze mną, a drugi, że wyjedziemy z Berlina dziś wieczorem.

— Serio?

— Oczywiście.

— Co za szkoda! Chętnie bym pojechał... Ale niestety, mam tylko sto pięćdziesiąt marek całego majątku.

— Byłbyś, naturalnie, moim gościem.

— O, Bernhardzie, jak to znakomicie! Zatrzymalibyśmy się na parę dni w Warszawie, żeby wyrobić sobie wizy. Potem do Moskwy, a stamtąd Koleją Transsyberyjską...

— No to jedziesz?

— Oczywiście!

— Dziś wieczór?

Udawałem, że się zastanawiam: — Boję się, że dziś wieczór nie dam rady... Muszę przedtem odebrać bieliznę z pralni... Może jutro?

— Jutro już będzie za późno.

— Co za szkoda!

— Prawda?

Roześmieliśmy się. Bernhard jakoś szczególnie ubawił się swym żartem. Śmiał się trochę przesadnie, jakby humorystyczność sytuacji sięgała dalej, do obszarów, których ja nie spenetrowałem. Śmieliśmy się jeszcze, kiedy się z nim żegnałem.

Być może nie od razu chwytałem żarty. Tak czy owak, dopiero po niespełna osiemnastu miesiącach pojąłem puentę tamtego; zrozumiałem, że był to ostatni, najśmielszy i najbardziej cyniczny Bernhardowy eksperyment przeprowadzony na nas obu. Teraz jestem pewien — absolutnie pewien — że tamta oferta była poczyniona najzupełniej serio.

Kiedy wróciłem do Berlina jesienią 1932 roku, zadzwoniłem naturalnie do Bernharda i usłyszałem, że go nie ma, wyjechał do Hamburga za interesami. Robię sobie dziś wyrzuty poniewczasie — że byłem nie dość wytrwały. Ale tyle miałem do zrobienia, tylu uczniów, z tyloma ludźmi musiałem się zobaczyć, że tygodnie zamieniły się w miesiące. Nadeszło Boże Narodzenie i wysłałem Bernhardowi kartkę, ale nie otrzymałem odpowiedzi — pewnie znowu gdzieś wyjechał. A potem przyszedł Nowy Rok.

Nastał Hitler, później pożar Reichstagu i wyborcza farsa. Zastanawiałem się, co się mogło stać z Bernhardem. Dzwoniłem do niego trzy razy — z budki, żeby nie narazić Frl. Schroeder na kłopoty — ale nikt nie odbierał telefonu. Wreszcie któregoś wieczoru na początku kwietnia poszedłem do niego do domu. Dozorca wychylił głowę przez małe okienko, jeszcze bardziej niż zwykle podejrzliwy; wydawało się z początku, że w ogóle ma ochotę zaprzeczyć, jakoby znał Bernharda. W końcu warknął: — Herr Landauer wyjechał... wyjechał, i tyle.

— To znaczy, że się wyprowadził? Może mi pan podać jego adres?

— Wyjechał — powtórzył cięć i zatrzasnął okienko.

I na tym poprzestałem, wyciągając całkiem naturalny wniosek, że Bernhard przebywa gdzieś bezpiecznie za granicą.

Rankiem w dniu bojkotu antyżydowskiego przespacerowałem się do domu towarowego Landauerów. Na pozór wszystko tam wyglądało prawie tak jak zawsze. Tyle że przy każdym z dużych wejść stało po paru umundurowanych chłopców z S.A. i kiedy podchodził potencjalny klient, któryś z nich ostrzegał: — Proszę pamiętać, że to jest żydowska firma! — Chłopcy byli dość uprzejmi, szczerzyli w uśmiechach zęby, wymieniali między sobą żarty. Przechodnie gromadzili się w niewielkich grupkach, żeby popatrzeć na to widowisko — zaciekawieni, rozbawieni albo po prostu obojętni — wciąż jeszcze niezdecydowani, czy pochwałać te poczynania. Nie było tam nic z atmosfery, o jakiej czytało się później w odniesieniu do małych prowincjonalnych miast, gdzie ludzi dokonujących takich zakupów piętnowano, pieczętując im siłą czoła i policzki. Tu sporo osób wchodziło do budynku. Wszedłem i ja, kupiłem pierwszą z brzegu rzecz — tarkę do gałki muszkatołowej, jak się okazało — i wolnym krokiem wyszedłem, wywijając swoją małą paczuszką. Jeden z chłopaków przy drzwiach mrugnął i powiedział coś do kolegi. Przypomniałem sobie, że widziałem go już parę razy w „Alexander Casino”, w czasach, kiedy mieszkalem u Nowaków.

W maju wyjechałem z Berlina już na dobre. Po drodze mój pierwszy przystanek wypadł w Pradze i tam właśnie, siedząc samotnie w piwnicznej restauracji, usłyszałem okrężną drogą ostatnie wiadomości o rodzinie Landauerów.

Przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch mężczyzn; rozmawiali po niemiecku. Jeden z nich był na pewno Austriakiem, drugiego nie mogłem umiejscowić — miał jakieś czterdzieści pięć lat, taki ulizany grubas, który mógł prowadzić niewielki biznesik w każdej europejskiej stolicy, od Belgradu po Sztokholm. Obu najwyraźniej dobrze się powodziło, obaj formalnie byli Aryjczykami, politycznie obojętnymi. Grubas obudził moją czujność pytaniem:

— Znasz Landauerów? Tych z Berlina?

Austriak przytaknął głową. — No pewnie... Robiłem kiedyś z nimi sporo interesów... Ładny budynek sobie wystawili. Musiał kosztować trochę grosza...

— A przeglądałeś dziś gazety?

— Nie. Nie miałem kiedy... Przeprowadzałem się do naszego nowego mieszkania, sam rozumiesz. Żona wraca.

— Wraca? Nie mów! Ona była w Wiedniu, tak?

— Zgadza się.

— I co, chwali sobie?

— Wierz jej! W każdym razie, to kosztuje.

— W Wiedniu teraz jest drożyzna.

— Jakbyś zgadł.

— Jedzenie drogie.

— Wszędzie jest drogie.

— Właściwie, masz rację. — Grubas zaczął dłużyć w zębach. — O czym to ja mówiłem?

— Mówiłeś o Landauerach.

— Ano właśnie... Nie czytałeś dzisiaj rano gazet?

— Nie, nie czytałem.

— Było tam coś o Bernhardzie Landauerze.

— Bernhardzie? — powtórzył Austriak. — Zaraz, zaraz... to chyba syn, nie?

— A bo ja wiem... — Gruby wydobyl czubkiem wykałaczki odrobinę mięsa i podnosząc ją do światła, przyglądał jej się w zamyśleniu.

— Zdaje się, że syn — powiedział Austriak. — A może bratanek... Nie, chyba syn.

— Syn czy nie syn — gruby gestem obrzydzenia strząsnął sobie na talerz mięso z wykałaczki — dość, że nie żyje.

— Co ty powiesz?

— Atak serca. — Gruby nachmurzył się i beknał, podniósłszy rękę do ust, żeby się zasłonić. Miał na palcach trzy złote pierścienie. — Tak przynajmniej piszą w gazetach.

— Atak serca! — Austriak niespokojnie poruszył się na krześle. — Kto by to powiedział!

— W Niemczech — zauważył gruby — jest teraz bardzo dużo tych ataków serca.

Austriak pokiwał głową. — Nie można wierzyć wszystkiemu, co się słyszy, to fakt.

— Po mojemu — odparł gruby — każdemu może wsiąść serce, jak w nie wpakują kulę.

Austriak miał bardzo skwaszoną minę. — Ci naziści...

— zaczął.

— Oni mają w tym swój interes. — Grubasa cieszyło najwyraźniej, że wywołał u przyjaciela zimne dreszcze.

— Zapamiętaj moje słowa: oni usuną z Niemiec wszystkich Żydów. Pozbędą się ich, jak nic!

Austriak potrząsnął głową. — Nie podoba mi się to.

— Obozy koncentracyjne — ciągnął gruby, zapalając cygaro. — Pakują ich tam najpierw, każą podpisać to i tamto... a potem te ataki serca.

— Nie podoba mi się to — powtórzył Austriak. — Handlowi to przynosi szkody.

— No właśnie — zgodził się gruby. — Handlowi to przynosi szkody.

— Dlatego wszystko jest takie niepewne.

— A jakże. Nigdy nie wiesz, z kim robisz interesy.

— Gruby zaśmiał się. Był na swój sposób dosyć makabryczny. — Może z trupem.

Austriak wstrząsnął się odrobinę. — A co ze starym, starym Landauerem? Jego też złapali?

— Nie, on żyje. Za stary wróbel na nich. Siedzi w Paryżu.

— Nie mów!

— Myślę, że naziści przejmą jego firmę. Robią takie rzeczy teraz. •

— No to stary Landauer pójdzie z torbami?

— Każdy, ale nie on! — Gruby strzepnął popiół z cygara pogardliwie. — Pewnie gdzieś tam coś odłożył. Przekonasz się. Otworzy co innego. Oni mają kiepele, ci Żydzi...

— Masz rację — przyznał Austriak. — Żyda nie pognebisz.

Myśl ta jakby nieco podniosła go na duchu. Twarz mu się rozjaśniła: — O, właśnie! Wiedziałem, że coś ci miałem opowiedzieć... Słyszałeś kawał o Żydzie i gojce z drewnianą nogą?

— Nie. — Gruby zaciągnął się cygarem. Trawił teraz obiad, jak należy. Był w dobrym poobiednim nastroju. — Mów, mów...

DZIENNIK BERLIŃSKI

Zima 1932-33

Dziś wieczór, po raz pierwszy tej zimy, jest bardzo mroźno. Głuchy ziąb trzyma w uścisku miasto, wypełnione nieruchomą ciszą podobną do ciszy upalnego letniego południa. W tym zimnie miasto jakby nawet się skurczyło, zanikło do rozmiarów małej czarnej plamki, niewiele większej od setek innych plamek, samotnych i trudnych do odnalezienia na olbrzymiej mapie Europy. Za miastem, za ostatnimi, świeżo wybudowanymi betonowymi blokami mieszkalnymi, tam, gdzie ulice kończą się na zamrożonych ogródkach działkowych, ciągnie się w mroku nocy równina pruska. Dziś wieczór czuje się ją wokół siebie — wkrada się do miasta niczym olbrzymia pusta nieprzyjaznego oceanu, upstrzona bezlistnymi zagajnikami, lodowatymi jeziorami i maleńkimi wioszczynami, które się pamięta tylko z racji ich obco brzmiących nazw, nazw pól bitewnych z na wpół zapomnianych wojen. Berlin to kościec, który na zimnie boli; to mój własny bolący kościec. Czuję w kościach przenikliwy ból mrozu w dźwigarach kolei żelaznej nad głową, w żelaznych balustradach balkonów, w mostach, w przewodach linii tramwajowych, w słupach latarnianych i w szaletach. Żelazo drży i kurczy się, kamień i cegły sprawiają tępy ból, tynk kostnieje.

Berlin jest miastem o dwóch centrach — jedno to skupisko drogich hoteli, barów, kin i sklepów wokół Gedachtnis Kirche, roziskrzone źródło światła niczym sztuczny brylant w ubogim miejskim półmroku, a drugie to świadome swego znaczenia centrum administracyjne, złożone ze starannie rozplanowanych budynków wokół Unter den Linden. Przepych stylów międzynarodowych, będących kopiami kopii, wzbudza respekt należny stolicy — parlament, kilka muzeów, bank państwowy, katedra, opera, z tuzin ambasad, łuk triumfalny — o niczym nie zapomniano. A jakież one wszystkie wzniosłe, godne, wszystkie oprócz katedry, której architektura zdradza błysk owej hysterii migocący zza każdej ponurej, szarej pruskiej fasady. Przytłoczona przez dziwaczną kopułę, jest na pierwszy rzut oka tak komiczna, że szuka się dla niej odpowiednio niedorzecznej nazwy, jak na przykład: Kościół Niepokalanego Napoczęcia.

Ale prawdziwym sercem Berlina jest mały, wilgotny czarny lasek — Tiergarten. O tej porze roku chłód zaczyna ściągać wiejskich chłopców z ich maleńkich, niczym nie chronionych wioszek do miasta w poszukiwaniu pracy i chleba. Ale to miasto, które jarzyło się tak radośnie i zapraszająco na nocnym niebie nad równiną, jest zimne i okrutne, martwe. Jego ciepło jest złudzeniem, mirażem zimowej pustyni. Miasto tych chłopców nie ugości. Nie ma nic do dania. Ziąb przepędza ich z ulic do lasu, który jest jego okrutnym sercem. Tam też kulą się na ławkach, marzną i głodują, i śnią o swym dalekim piecu w chacie.

Frl. Schroeder nie znosi zimna. Zakutana w obszyty futrem welwetowy żakiet siedzi w kącie, oparłszy na piecu obleczone w skarpetki stopy. Czasem wypala papierosa, czasem popija herbatę ze szklanki, na ogół jednak po prostu tylko siedzi wpatrzona tępo w kafle pieca, jakby zapadła w jakiś szczególny sen zimowy. Jest teraz osamotniona. Frl. Mayr wyjechała do Holandii na tournée kabaretowe, Frl. Schroeder nie ma więc do kogo ust otworzyć, chyba że do Bobby'ego albo do mnie.

Bobby zresztą i tak popadł w głęboką nielaskę. Nie dość, że jest bez pracy i już od trzech miesięcy nie płaci komornego, to jeszcze Frl. Schroeder ma powody, by go podejrzewać, że wykrada jej pieniądze z torebki. — Wie pan, Herr Issyvoov — powiada do mnie — wcale bym się nie dziwiła, gdyby to on zwędził te pięćdziesiąt marek Frl. Kost... Ten świntuch jest do tego zdolny! I pomyśleć, że mogłam się tak co do niego pomylić! Niech mi pan wierzy, Herr Issyvoov, traktowałam go jak własnego syna... i taką mam podziękę! Mówi, że mi zapłaci wszystko co do grosza, jeśli tylko dostanie tę posadę barmana w „Lady Windermere”... jeśli, g d y b y . . . — Frl. Schroeder prychnęła pogardliwie: — Szkoda mówić! Gdyby ciocia miała wąsy, byłaby wujaszkiem!

Bobby został wyrzucony ze swego dawnego pokoju i skazany na „Szwedzki Pawilon”. Straszliwe przeciągi pewnie hulają tam na górze. Biedny Bobby jest czasem zsiniały z zimna. Bardzo się zmienił w ciągu ostatniego roku — włosy mu się przerzedziły, ubiera się niechlujnie, a jego tupet stał się wzywający, wręcz żalony. Ludzie pokroju Bobby'ego są nierozłącznie związani ze swoim zawodem — odbierz im ich zajęcie, a przestają właściwie istnieć. Czasem wślizguje się do saloniku, nieogolony, z rękami w kieszeniach, i snuje się po nim prowokująco acz niepewnie, gwizdząc pod nosem, a te jego szlagiery, które gwizdzą, są już trochę przestarzałe. Frl. Schroeder rzuca mu od czasu do czasu jakieś słówko niby skąpy okrucieństwo, ale nigdy nie spojrzy w jego stronę ani mu nie zrobi miejsca przy piecu. Może w gruncie rzeczy nigdy mu nie wybaczyła tej afery z Frl. Kost. Podszczypywanki i klapsy po tyłku należą do przeszłości.

Wczoraj odwiedziła nas sama Frl. Kost. Nie było mnie wtedy w domu i po powrocie zastałam Frl. Schroeder w stanie silnego podniecenia. — Wystaw pan sobie, Herr Issyvoov, że ja bym jej nigdy nie poznała! Zrobiła się z niej dama całą gębą! Ten Japończyk, jej przyjaciel, kupił jej futro... prawdziwe futro; wolę nie myśleć, ile go to kosztowało! A pantofle... z najprawdziwszej wężowej skórki! No, no, pewno na nie zasłużyła! To dziś jedyny

interes, który jeszcze dobrze idzie... Chyba sama będę musiała na niego się przerzucić! — Ale mimo tych sarkastycznych uwag widziałem, że Frl. Schroeder była pod dużym wrażeniem, i to wcale nie takim niekorzystnym. Nie chodziło nawet o futro czy pantofle; bo Frl. Kost osiągnęła coś bardziej znaczącego, stanowiącego znak probierczy poważania w świecie Frl. Schroeder: przebyła mianowicie operację w prywatnej klinice. — Nie, nie, nie taką, jak pan myśli, Herr Issyvo! To było coś z gardłem. Jej przyjaciel to opłacił, ma się rozumieć... Wyobraź pan sobie tylko: lekarze wycięli jej coś głęboko w nosie i teraz ona potrafi nabrać wody w usta i strzyknąć ją przez nos całkiem jak strzykawka! Nigdy bym nie uwierzyła, gdyby mi nie pokazała! Słowo honoru, Herr Issyvo, strzyknęła przez całą kuchnię! Co tu gadać, to nie ta sama Frl. Kost, która tu mieszkała... Wcale bym się nie zdziwiła, jakby któregoś dnia wyszła za jakiegoś dyrektora banku. Tak, tak, wspomni pan moje słowa, ta dziewczyna daleko zajdzie...

Herr Krampf, młody inżynier i zarazem jeden z moich uczniów, opowiada o swoim dzieciństwie w okresie Wojny i Inflacji. W ostatnich latach wojny zniknęły pasy z okien wagonów kolejowych, bo ludzie odcinali je, by sprzedać skórę. Widywało się nawet mężczyźni i kobiety w ubraniach zrobionych z wagonowych obić. Banda koleżków szkolnych Krampfa włamała się którejś nocy do fabryki i ukradła wszystkie pasy transmisyjne. Wszyscy kradli. Każdy sprzedawał, co tylko miał do sprzedania — włącznie z sobą samym. Czternastoletni chłopak z klasy Krampfa między lekcjami sprzedawał potajemnie na ulicach kokainę.

Farmerzy i rzeźnicy byli wszechwładni. Każdy ich kaprys należało zaspokoić, jeśli się chciało mieć jarzyny albo mięso. Rodzina Krampfów знаła takiego rzeźnika w małej wiosce pod Berlinem, który miał zawsze do sprzedania mięso. Ale ów rzeźnik odznaczał się jakąś szczególną perwersją seksualną: znajdował najwyższą przyjemność erotyczną w szczypaniu i poklepywaniu policzków co wrażliwszych, dobrze wychowanych dziewcząt albo kobiet. Możliwość poniżenia takiej damy jak Frau Krampf podniecała go nad wyraz; jeśli mu nie pozwalano spełnić tej zachcianki, odmawiał bezwzględnie handlowania. Toteż co niedziela matka Krampfa wyprawiała się do wioski z dziećmi i cierpliwie nadstawiała policzki do szczypania i poklepywania w zamian za parę kotletów albo stek wieprzowy.

U wylotu Potsdamerstrasse jest wesołe miasteczko z karuzelami, huśtawkami i fotoplastikonem. Jedną z głównych jego atrakcji stanowi namiot, w którym odbywają się mecze bokserskie i zapasy. Płaci się i wchodzi, zapaśnicy walcą trzy czy cztery rundy, po czym sędzia ogłasza, że kto chce zobaczyć więcej, musi zapłacić dodatkowe dziesięć fenigów. Jeden z zapaśników, łysy, z potężnym brzuchem, ma na sobie płócienne spodenki zawinięte u dołu, jakby szedł wiosłować. Jego przeciwnik występuje w czarnych trykotach i skórzanych nakolannikach, które wyglądają jak zdjęte ze starej dorożkarskiej szkapy. Zapaśnicy rzucają sobą nawzajem ile wlezie i wywijają w powietrzu koziołki ku uciesze widzów. Tłuścioch, który gra rolę przegrywającego, udaje, że wpada w straszny gniew, gdy mu dołożą, i grozi, że się rzuci na sędziego.

Jeden z bokserów jest Murzynem. Ten zwycięża niezmiennie. Bokserzy tłuką się otwartą rękawicą, czyniąc potężny hałas. Drugi bokser, wysoki, dobrze zbudowany młody chłopak, o jakieś dwadzieścia lat młodszy od Murzyna i wyraźnie od niego silniejszy, z absurdalną łatwością ulega „nokautowi”. Wije się na deskach boleściwie, ledwie mu się udaje podnieść, gdy sędzia już odlicza: dziesięć, po czym z jękiem wali się z powrotem. Po tej walce sędzia zbiera dodatkowo po dziesięć fenigów i wzywa do walki jakiegoś ochotnika spośród publiczności. Zanim jednak taki nieświadom rzeczy śmiałek zdąży się objawić, już inny młokos, który dotąd otwarcie sobie pogadywał i żartował z zawodnikami, wskakuje pośpiesznie na ring, zrzuca odzienie i ukazuje się widowni już ubrany w krótkie spodenki i bokserskie buty. Sędzia ogłasza, że stawką jest pięć marek, i — tym razem — Murzyn zostaje „znokautowany”.

Publiczność przyjmowała te walki ze śmiertelną powagą, dopingując okrzykami zawodników, a nawet klóćąc się i czyniąc między sobą zakłady. I prawie wszyscy pozostali w namiocie tak jak ja, a nawet dłużej ode mnie. Morał polityczny, jaki z tego płynie, jest z pewnością przygnębiający: oto można sprawić, że ci ludzie uwierzą każdemu i we wszystko.

Przechadzając się dziś wieczorem po Kleiststrasse, zobaczyłem niewielki tłumek zgromadzony wokół prywatnego samochodu. W samochodzie siedziały dwie dziewczyny, a na chodniku obok dwaj młodzi mężczyźni, Żydzi, klóćli się zajadle z jasnowłosym dryblasem, najwyraźniej pijanym. Młodzi ludzie zdaje się jechali wolniutko ulicą na podryw i zaproponowali tym dziewczynom przejażdżkę. Dziewczyny się zgodziły i wsiadły do samochodu. W tym momencie wszakże wmieszał się do sprawy blondas. Jest nazistą, twierdził, i jako taki poczytuje sobie za swoją misję bronić honoru wszystkich niemieckich kobiet przed tym plugawym antynordyckim zagrożeniem. Żydzi wydawali się wcale tym nie zastraszeni; powiedzieli mu twardo, żeby pilnował swego nosa. Dziewczyny tymczasem, korzystając z zamieszania, wysliznęły się z samochodu i uciekły.

Blondas usiłował teraz pociągnąć z sobą jednego z Żydów w poszukiwaniu policjanta, lecz tamten, schwytany pod ramię, jednym hakiem rozciągnął go na ziemi. Zanim blondas zdołał podnieść się na nogi, dwaj młodzi ludzie wskoczyli do samochodu i odjechali. Tłum zaczął się z wolna rozchodzić, wymieniając między sobą uwagi. Zaledwie paru otwarcie trzymało stronę nazisty, paru innych opowiedziało się za Żydami. Przeważnie

jednak kręcili tylko z powątpiewaniem głowami, poszeptując: „*Allerhand!*” [Co to się nie dzieje! ... (niem.) (przyp. tłum.).]

Kiedy trzy godziny później przechodziłem tamtędy, nazista nadal patrolował ulicę, wypatrując głodnymi oczami jeszcze jakiejś niemieckiej kobiecości, którą trzeba ocalić.

Przyszedł list od Frl. Mayr, przeto Frl. Schroeder zawezwała mnie, żebym posłuchał. Frl. Mayr nie podoba się Holandia. Musiała śpiewać w bardzo wielu drugorzędnych lokalach w trzeciorzędnych miastach, a jej pokój jest często niedograny. Holendrom — pisze — brak kultury. Poznała tylko jednego naprawdę wytwornego, pierwszej klasy dżentelmena, wdowca. Wdowiec powiada, że ona jest prawdziwym uosobieniem kobiecości — on nie leci na dzierlatki. Złożył jej dowód swego uwielbienia dla jej sztuki, ofiarowując jej nowiusieńki komplet bielizny.

Frl. Mayr ma również kłopoty z kolegami po fachu. W jednym mieście rywalizująca z nią aktorka, zazdrosna o jej możliwości wokalne, usiłowała wbić jej w oko kapeluszną szpilkę. Nie mogę się powstrzymać od podziwu dla odwagi tej aktorki. Frl. Mayr, gdy już się z nią uporała, była tak paskudnie pokancerowana, że przez tydzień nie mogła pokazywać się na scenie.

Wczoraj wieczór Fritz Wendel zaproponował mi rundkę po knajpach. Miało to być coś w rodzaju wizyty pożegnalnej, jako że policja zaczęła się bardzo interesować tymi przybytkami. Raz po raz robią tam naloty i spisują nazwiska gości. Mówi się nawet o generalnej czystce w Berlinie.

Fritz trochę się zmartwił, że nalegałem, abyśmy poszli do „Salome”, gdzie jeszcze nigdy nie byłem. Jako znawca nocnego życia odniósł się do tego projektu nad wyraz pogardliwie. Ona nie jest nawet autentyczna, przekonywał. Tamtejsze kierownictwo ma na względzie wyłącznie prowincjonalnych turystów.

„Salome” okazała się piekielnie droga i jeszcze bardziej przygnębiająca, niż sobie wyobrażałem. Parę niby-lesbijek i kilku młodych mężczyzn z wyskubanymi brwiami siedziało rozpartych przy barze; od czasu do czasu wybuchali ochryłym rechotem albo też wyli dyszkantem, co pewnie miało wyobrażać śmiech potępieńców. Całe wnętrze jest koloru złota i czerwieni piekiel — szkarłatny plusz grubości chyba paru cali i potężne złoczone lustra. Lokal był nabity. Publiczność składała się głównie z szacownych kupców w średnim wieku i ich rodzin, rozbawionych, wykrzykujących ze zdumieniem: „Czy oni tak naprawdę?” i: „Coś podobnego!” Wyszliśmy w połowie programu kabaretowego, po numerze, w którym młodzian w błyszczącej krynolinie i wyciętym damskim staniku ze świecidełkami wykonał w mękach acz skutecznie trzy szpagaty.

W drzwiach natknęliśmy się na gromadkę amerykańskich młokosów, do cna pijaniuteńkich; zastanawiali się, czy wejść do środka. Przewodził im mały, krępy młodzieniaszek w binoklach, z nieprzyjemnie wystającą szczęką.

— Hej, ty — zagadnął Fritza — co tu jest?

— Mężczyźni przebrani za kobiety. — Fritz radośnie wyszczerzył zęby.

Mały Amerykanin po prostu nie dowierzał. — Mężczyźni przebrani za k o b i e t y ? Za k o b i e t y , powiadasz? Chcesz powiedzieć, że oni są n i e t e g o...?

— Koniec końcem, wszyscy jesteśmy „nie tego” — zaciągnął uroczyście Fritz ze smętną nutką w głosie. Młody człowiek powoli obrzucił nas spojrzeniem. Biegł tutaj i jeszcze teraz był zziąjany. Jego kompani nieporadnie zbili się za nim w gromadkę, gotowi na wszystko, choć ich szczeniące twarze z półotwartymi ustami miały wygląd trochę przestraszony.

— Ty też jesteś nie t e g o , co? — mały zwrócił się nagle do mnie.

— Tak — odparłem. — I to zdrowo!

Stał przede mną chwilę, dysząc, wysuwając szczękę, jakby nie był pewny, czy nie powinien dać mi w zęby. Wreszcie odwrócił się, wydał z siebie jakiś dziki młodzieżowy okrzyk wojenny i razem z koleżkami runął do wnętrza.

— Byłeś kiedy w tej komunistycznej melinie koło zoo?

— zapytał mnie Fritz, gdy oddaliliśmy się od „Salome”.

— Koniec końcem, moglibyśmy zerknąć, co tam słyhać... Za pół roku może wszyscy będziemy nosić czerwone koszule...

Zgodziłem się. Ciekaw byłem, co Fritz rozumie przez „komunistyczną melinę”.

Była to w istocie mała pobielana piwnica. Siedziało się na długich drewnianych ławach przy dużych, gołych stołach — po dwanaścioro przy jednym stole, jak w jadalni szkolnej. Na ścianach nagryzmołone

ekspresjonistyczne rysunki, a między nimi świeże wycinki z gazet, prawdziwe karty do gry, poprzybijane gwoździkami podstawki do kufli, pudełka od zapalek, kartony od papierosów i głowy powycinane ze zdjęć. Lokal był pełen studentów ubranych przeważnie z agresywnym politycznym niechlujstwem — mężczyźni w marynarskich swetrach i wyplamionych workowatych spodniach, dziewczyny w niedopasowanych bluzach, spódnicach wyraźnie pozapinanych na agrafka i jaskrawych, niedbale zawiązanych cygańskich szalach. Właścicielka lokalu paliła cygaro. Chłopak, który służył za kelnera, snuł się po sali z papierosem przyklepionym do warg i klepał w kark klientów, odbierając zamówienie.

Wszystko na wskroś było tu zgrywą, wesołą i swojską. Trudno było nie poczuć się od razu jak u siebie w domu. Fritz jak zwykle rozpoznawał tłumek przyjaciół. Przedstawił mi troje: jakiegoś Martina, Wenera — studenta na wydziale sztuki — i Inge, jego dziewczynę. Inga była rozrośnięta, pełna życia; miała na głowie mały kapelusik z piórkami, w którym wyglądała jak Henryk VIII z jakiejś farsy. Podczas gdy Werner z Ingą szczebiotali, Martin siedział w milczeniu; był chudy, ciemnowłosy, miał wąską, ostrą twarz z ironicznym uśmiechem wyższości świadomego rzeczy konspiratora. Później, kiedy Fritz i Werner z Ingą przesunęli się na koniec stołu do innej gromadki, Martin zaczął mówić o zbliżającej się wojnie domowej. Kiedy wybuchnie wojna, tłumaczył, komuniści, którzy mają bardzo mało broni maszynowej, opanują dachy domów. Policję powstrzymają ręcznymi granatami. Trzeba będzie tylko wytrzymać tak trzy dni, bo flota radziecka natychmiast popłynie całą parą w kierunku Swinemünde i dokona tam desantu wojsk. — Ja teraz poświęcam prawie cały czas na robienie bomb — dorzucił. Pokiwałem głową, wykrzywiając twarz w uśmiechu, ogromnie zakłopotany; nie wiedziałem, czy kpił sobie ze mnie, czy celowo popełnia zatrwającą nieostrożność. Na pewno nie był pijany, nie zrobił też na mnie wrażenia chorego umysłowo.

Do kawiarni wszedł teraz szesnastoletni, może siedemnastoletni chłopak, niezwykle urodziwy. Miał na imię Rudi. Ubrany był w rubaszkę, skórzane szorty i sztylpy. Szedł wielkimi krokami do naszego stołu z całym arsenałem bohaterskich min i gestów właściwych posłańcowi, który wraca zwycięsko z desperackiej misji. Nie miał wszakże nic do przekazania. Dokonawszy tego oszałamiającego wejścia, uściśnawszy po drodze krótko, po wojskowemu, parę rąk, usiadł najspokojniej koło nas i zamówił szklanekę herbaty.

Dziś wieczór odwiedziłem znów „kawiarnię komunistów”. Jest to naprawdę fascynujący świat intrygi i kontrintrygi. Jego Napoleonem jest ponury wytwórca bomb, Martin. Werner jest Dantonem. Rudi — Joanną d'Arc. Każdy każdego o coś podejrzewa. Martin zdążył mnie już ostrzec przed Wernerem: jest „politycznie niepewny” — zeszłego lata ukraść cały fundusz komunistycznej organizacji młodzieżowej. Werner zaś ostrzegł mnie przed Martinem: to agent Nazich albo policyjny szpieg, albo jest na żołdzie rządu francuskiego. Do tego jeszcze obaj, i Martin, i Werner, stanowczo mi radzą, abym nie zadawał się przypadkiem z Rudim, i za nic nie chcą mi powiedzieć dlaczego.

Ale nie zadawać się z Rudim było wręcz niepodobieństwem. Usadowił się koło mnie i z miejsca zaczął mówić — gejzer entuzjazmu. Jego ulubione słówko to „*knorke*”:

— Och, w d e c h o w o ! — On jest tropicielem. Chciałby wiedzieć, jacy są angielscy skauci. Czy mają w sobie ducha przygody? — W Niemczech wszyscy chłopcy gonią za przygodą. Przygoda jest wdechowa. Nasz druż jest wdechowy. W zeszłym roku pojechał do Laponii i mieszkał w szałasie całe lato, samiuteńki... Jesteś komunistą?

— Nie. A ty? Rudi był dotknięty.

— Oczywiście! Wszyscy jesteśmy, tutaj... Jak chcesz, pożyczę ci trochę książek... Musisz przyjść do naszego klubu. Jest wdechowy... Śpiewamy *Czerwony Sztandar* i wszystkie zakazane pieśni... Nauczysz mnie angielskiego? Chcę się nauczyć wszystkich języków.

Zapytałem, czy są tam jakieś dziewczyny w jego grupie tropicieli. Rudi był tak zaszokowany, jakbym powiedział coś naprawdę nieprzyzwoitego.

— Kobiety są do bani — powiedział z goryczą. — Wszystko psują. Nie mają ducha przygody. Mężczyźni rozumieją się nawzajem znacznie lepiej, jak są sami. Wuj Peter (to nasz druż) mówi, że kobiety powinny siedzieć w domu i cerować skarpetki. Tylko do tego się nadają.

— Czy Wuj Peter to także komunistą?

— Oczywiście! — Rudi popatrzył na mnie podejrzliwie. — Dlaczego o to pytasz?

— Och, tak, bez szczególnego powodu — zapewniłem spieszenie. — Chyba pomyliłem go z kimś innym...

Dziś po południu wybrałem się do zakładu poprawczego, by odwiedzić jednego z moich uczniów, Herr Brinka, który jest tam wychowawcą. Brink to mały człowieczek o szerokich ramionach, płowych, jakby martwych włosach, podwójnym podbródku, oczach bez wyrazu i wydatnym, przyciężkim czole niemieckiego intelektualisty, wegetarianina. Chodzi w sandałach i koszuli z rozpiętym kołnierzykiem. Zastałem go w gimnazjum — prowadził ćwiczenia fizyczne w klasie dzieci niedorozwiniętych umysłowo, bowiem zakład

oprócz młodocianych przestępców mieści w swoich murach również dzieci upośledzone. Z jakąś melancholijną dumą pokazał mi różne przypadki: oto chłopczyk z dziedzicznym syfilisem — miał przerażającego zęza; drugi, dziecko podstarzałych pijaków, chichocze bez końca. Malcy łazili jak małpki po drabinkach, śmiejąc się i paplając, na pozór wręcz szczęśliwi.

Przeszliśmy potem do warsztatów, gdzie starsi chłopcy w niebieskich kombinezonach — wszyscy skazani za przestępstwa — robili buty. Na widok Brinka większość obdarzyła go uśmiechem, tylko paru miało posępne twarze. Nie mogłem im jednak spojrzeć w oczy. Czułem się potwornie winny, przepełniony wstydem — miałem wrażenie w tym momencie, że stałem się jedynym przedstawicielem ich strażników więziennych, kapitalistycznego Społeczeństwa. Zastanawiałem się, czy któryś z nich nie został czasem zaaresztowany w „Alexander Casino”, a jeśli tak, czy mnie rozpoznaje.

Zjedliśmy lunch w pokoju przełożonej. Herr Brink przeproszał, że podają mi to samo, co jedzą chłopcy: kartoflanekę z dwiema kielbaskami i potrawę z jabłek i suszonych śliwek. Zapewniłem wszakże — jak niewątpliwie oczekiwano — że bardzo mi to smakuje. A przecież każdy kęs stawał mi ością w gardle, bo myślałem o tych chłopcach, którzy to muszą jeść, to czy co innego, w tym budynku. Jedzenie podawane w instytucjach ma smak nieokreślony, choć może to tylko wytwór wyobraźni. (Jednym z najżywszych wspomnień z moich lat szkolnych, wspomnieniem, które przyprawia mnie o mdłości, jest zapach zwykłego białego chleba.)

— Nie macie tutaj żadnych krat ani zamkniętych bram — zauważyłem. — Sądziłem, że są we wszystkich poprawczakach... Czy wasi chłopcy nieczęsto uciekają?

— Prawie nigdy — odparł Brink, wyraźnie tym stwierdzeniem zatroskany. Znużonym gestem zanurzył głowę w dłoniach. — Gdzież by mieli uciec? Tu jest źle, a w domu jeszcze gorzej. Większość zdaje sobie z tego sprawę.

— Ale nie ma czegoś takiego jak naturalny pęd do wolności?

— Tak, masz rację. Tylko że chłopcy szybko go tracą. Pomaga im w tym system. Myślę, że chyba u Niemców ten instynkt nigdy nie jest zbyt silny.

— Wobec tego nie masz tu wiele kłopotów?

— Mam, a jakże. Czasem... Trzy miesiące temu zdarzyła się tu straszna rzecz. Jeden chłopak ukradł drugiemu palto. Poprosił, żeby mu pozwolono wyjść do miasta — to jest dozwolone — i przypuszczalnie zamierzał sprzedać to palto. Ale właściciel palta poszedł za nim i wywiązała się bójka. Podniósł z ziemi duży kamień i cisnął w tamtego, a tamten, poraniony, celowo wtarł w ranę trochę brudu, mając nadzieję, że rana się pogorszy i on sam uniknie dzięki temu kary. Rana się istotnie pogorszyła i po trzech dniach chłopak umarł z powodu ogólnego zakażenia. A wtedy ten drugi, na wiadomość o tym, przebił się kuchennym nożem... — Brink westchnął ciężko. — Czasem jestem bliski rozpaczony — dodał. — Mam takie uczucie, jakby dzisiejszy świat opanowało jakieś zło, jakaś choroba.

— Ale co naprawdę możecie dla tych chłopców zrobić?

— Niewiele. Uczymy ich zawodu. Później staramy się im znaleźć pracę, co jest prawie niemożliwe. Jeśli pracują gdzieś w sąsiedztwie, wolno im nadal sypiać tutaj... Dyrektor wierzy, że ich życie może się odmienić pod wpływem nauki chrześcijańskiej. Niestety nie podzielam tego zdania. Problem nie jest taki prosty. Obawiam się, że większość z nich, jeśli nie dostanie pracy, wejdzie na drogę przestępczą. W końcu, ludziom nie można nakazać, żeby umierali z głodu.

— Czy nie ma żadnej alternatywy? Brink wstał i podprowadził mnie do okna.

— Widzisz te dwa budynki? Jeden to warsztaty mechaniczne, a drugi — więzienie. Chłopcy z tej dzielnicy mieli jedną alternatywę... Ale warsztaty właśnie bankrutują. W przyszłym tygodniu ulegną likwidacji.

Dziś rano poszedłem odwiedzić klub Rudiego, gdzie mieści się także redakcja czasopisma Tropicielea. Naczelny redaktor i haremistrz, Wuj Peter, to wymizerowany, młody jeszcze mężczyzna o pergaminowej twarzy i głęboko zapadniętych oczach, w szortach i sztruksowej marynarce. Niewątpliwie idol Rudiego. Jeśli Rudiemu zamykają się na chwilę usta, to tylko wtedy, gdy Wuj Peter ma coś do powiedzenia. Pokazali mi dziesiątki fotografii chłopców, wszystkie robione aparatem przechylonym z dołu w górę, tak że postacie wyglądają jak olbrzymy z legend, odwrócone profilem na tle potężnych chmur. Samo czasopismo zawiera artykuły na temat polowania, tropienia śladów i przyrządzania posiłków — wszystkie w stylu pełnym wybujałego entuzjazmu, podszytym osobliwą egzaltacją, jakby opisane tam działania były częścią religijnego czy erotycznego rytuału. W pokoju było jeszcze kilku chłopców — wszyscy świecili bohaterską półgolizną, odziani w możliwie najkrótsze szorty i najcieńsze koszule albo podkoszulki mimo takiego chłodu na dworze.

Kiedy już obejrzałem fotografie, Rudi zaprowadził mnie do salki, gdzie odbywają się zebrania klubu. Wzdłuż ścian zwisały długie kolorowe proporce z wyhaftowanymi inicjałami i tajemniczymi znakami-totemami. W

jednym rogu sali stał niski stół przykryty szkarłatnym haftowanym materiałem — coś na kształt ołtarza, ze świecami w mosiężnych lichtarzach.

— Zapalamy je w czwartki — wyjaśnił Rudi — w czasie naszej gawędy przy ognisku. Zasiadamy kołem na podłodze i śpiewamy piosenki, i opowiadamy historyjki.

Nad stołem ze świecami wisiał — niczym ikona — oprawiony w ramki rysunek młodego tropiciela niezmiernie piękności, spoglądającego twardo w dal, z chorągiewką w dłoni. Cała ta siedziba okropnie na mnie podziałała. Użyłem pierwszego lepszego pretekstu, by czym prędzej się stamtąd wynieść.

Podsluchane w kawiarni: młodociany Nazi siedzi ze swoją dziewczyną; rozprawiają o przyszłości Partii. Chłopak jest pijany.

— Och, ja wiem, że zwyciężymy, tak czy owak — wykrzykuje niecierpliwie — ale to nie wystarczy! — I wali pięścią w stół. — Krew się musi polać!

Dziewczyna głaszcze go uspokajająco po ramieniu. Próbuje go nakłonić, by poszedł już do domu. — Ależ n a t u r a l n i e , że popłynię, mój kochany — grucha ku jego ukojeniu. — Wódz obiecał to w naszym programie.

Dziś jest „Srebrna Niedziela”. Na ulicach tłumy ludzi, którzy się wybrali na zakupy. Wzdłuż całej Taubentzenstrasse mężczyźni, kobiety i chłopcy głośno reklamują swój towar: kartki pocztowe, kwiaty, śpiewniki, brylantyne, bransoletki. Na centralnym deptaku między torami tramwajowymi leżą stopy choinek na sprzedaż. Umundurowani faceci z S.A. grzechocą puszkami kwestarskimi. W bocznych uliczkach stoją w pogotowiu ciężarówki pełne policjantów, bo ostatnimi czasy każdy większy tłum może wywołać rozruchy polityczne. Na Wittenbergplatz Armia Zbawienia postawiła ogromną, rzęsiście oświetloną choinkę z elektryczną niebieską gwiazdą. Zebrała się wokół niej gromadka studentów, którzy rzucali kąśliwe uwagi. Rozpoznałem wśród nich Wernera z „komunistycznej” knajpy — W przyszłym roku o tej porze — powiedział — ta gwiazda będzie miała inny kolor! — Zaniósł się głośno śmiechem, był w stanie wręcz histerycznego podniecenia. Zwierzył mi się, że wczoraj miał wielką przygodę. — Bo widzisz, ja i trzech inni towarzysze postanowiliśmy zrobić demonstrację w Biurze Pośrednictwa Pracy w Neukölln. Ja miałem przemawiać, a tamci trzej mieli pilnować, żeby mi nie przerywano. Poszliśmy tam gdzieś tak kolo wpół do jedenastej, kiedy w biurze jest największy tłok. Oczywiście zaplanowaliśmy to wszystko z góry: każdy z towarzyszy miał pilnować jednych drzwi, tak żeby nikt z urzędników nie mógł się wydostać. Siedzieli więc tam ściśnięci jak króliki... Wiedzieliśmy, rzecz jasna, że będą telefonować po policję i że na to nie ma rady. Obliczyliśmy, że mamy jakieś sześć czy siedem minut... No więc, jak tylko drzwi zostały obstawione, wskoczyłem na stół. Wrzeszczałem, co tylko przyszło mi do głowy — nie wiem, co mówiłem, dość, że się podobało... W pół minuty zapanował taki szal, że aż się przestraszyłem. Bałem się, że tłum wtargnie do biura i zlincuje kogoś. Mówię ci, draka na całego! Ale właśnie jak się zaczynało robić fest gorąco, przyszedł z dołu towarzysz i powiada, że policja już przyjechała i że właśnie wysiadają z samochodów. Trzeba było dać drapaka... Pewnie by nas złapali, gdyby nie to, że tłum był po naszej stronie i zagradzał im drogę, póki nie wyskoczyliśmy innymi drzwiami na ulicę... — kończył Werner zdyszany i dodał jeszcze: — Powiadam ci, Christopher, kapitalizm już się długo nie utrzyma. Robotnicy się ruszyli...

Wczesnym wieczorem byłem na Bielowstrasse. Odbывał się tam w Sportpalast wielki wiec nazistów i wychodzili właśnie stamtąd grupkami mężczyźni i chłopcy w brunatnych lub czarnych mundurach. Przedemną kroczyło po chodniku trzech z S.A. Wszyscy nieśli na ramionach niczym karabiny sztandary nazistowskie, ciasno zwinięte na drzewcach zakończonych metalowymi szpikulcami w kształcie grotów strzał.

W pewnym momencie natknęli się twarzą w twarz na siedemnastoletniego, może osiemnastoletniego młodzika ubranego po cywilnemu i spieszącego w przeciwnym kierunku. Usłyszałem, jak któryś z nazistów wrzasnął: „To on!”, i w mgnieniu oka wszyscy trzej pognali za chłopakiem. Ten krzyknął, próbując im się wymknąć, ale oni byli szybsi. Po chwili już go popychali w cień bramy i stając nad nim, kopali go i dźgali metalowymi końcami swych sztandarów. Wszystko to stało się w tak niewiarygodnie krótkim czasie, że nie wierzyłem własnym oczom — bo oto już ci trzej z S.A. porzucili swą ofiarę i teraz torowali sobie drogę pośród tłumu. Zmierzali ku schodom prowadzącym w górę, do stacji kolei nadziemnej.

Byłem jednym z dwóch przechodniów, którzy pierwsi dopadli bramy, gdzie został tamten młody człowiek. Leżał w kącie zgięty w kabłąk niczym porzucony worek. Kiedy go podnoszono, mignęła mi jego twarz i zrobiło mi się słabo — lewe oko na wpół wylupane, a z rany lała się krew. Żył jednak. Ktoś zaofiarował się go zawieźć taksówką do szpitala.

Do tego momentu zebrało się tam już sporo gapiów. Wyglądali na zdziwionych, ale nie wstrząśniętych — takie rzeczy zdarzały się ostatnio nazbyt często. — *Allerhand...* — szeptali. Niecałe dwadzieścia metrów dalej, przy Potsdamerstrasse, stała grupka uzbrojonych po zęby policjantów. Z wypiętymi piersiami i rękami na kaburach,

wyniośle zignorowali całe wydarzenie.

Werner stał się bohaterem. Parę dni temu „Rotę Fahne” zamieściła jego zdjęcie z podpisem: „Jeszcze jedna ofiara rozlewu krwi dokonanego przez policję”. Wczoraj, w dzień Nowego Roku, poszedłem odwiedzić go w szpitalu.

Zdaje się, że tuż po świętach wywiązała się w pobliżu Stettiner Bahnhof jakaś walka uliczna. Werner stał z brzegu tłumu, nie wiedząc, o co chodzi. Na wszelki wypadek, gdyby to miała być sprawa polityczna, zaczął wrzeszczeć: „Czerwony Front!” Jakiś policjant usiłował go zaaresztować. Werner kopnął go w brzuch. Wówczas policjant wyciągnął rewolwer i strzelił mu po trzykroć w nogę. Wezwał następnie kolegę i obaj zawlekli Wenera do taksówki. W drodze do komisariatu policjanci walili go pałkami w głowę, dopóki nie zemdłał. Kiedy dostatecznie ozdrowieje, najprawdopodobniej będzie miał rozprawę.

Opowiedział mi to wszystko z najwyższą satysfakcją, siedząc na łóżku w otoczeniu wielbiących go przyjaciół, wśród których był Rudi, a także Inga w tym swoim kapelusiku a la Henryk VIII. Wokół niego, na kocu, leżały wycinki z gazet. Ktoś starannie zakreślił każdą wzmiankę o Wenerze czerwonym ołówkiem.

Dziś, 22 stycznia, naziści przeprowadzili demonstrację na Bülowplatz, przed Domem Karola Liebkechta. Przez ostatni tydzień komuniści zabiegali o to, by tej demonstracji zakazano, twierdząc, że jej celem jest po prostu prowokacja — którą oczywiście była. Poszedłem popatrzeć razem z Frankiem, korespondentem prasowym.

Frank sam później orzekł, że w gruncie rzeczy nie była to wcale demonstracja nazistowska, tylko policyjna, bo na każdego przypadało co najmniej dwóch policjantów. Być może generał Schleicher zezwolił na ten pochód, by pokazać, kto naprawdę rządzi miastem. Wszyscy mówią, że zamierza wprowadzić wojskową dyktaturę.

W istocie jednak miastem rządzi nie policja i nie armia, a już na pewno nie naziści. Berlinem rządzą robotnicy — zrozumiałem to dzisiaj po raz pierwszy mimo całej propagandy, jaką słyszałem i czytałem, mimo wszystkich demonstracji, jakich byłem świadkiem. Spośród setek ludzi stojących na ulicach wokół Bülowplatz stosunkowo niewielu było zorganizowanych komunistów, lecz miało się wrażenie, że wszyscy jak jeden mąż zjednoczyli się przeciwko temu pochodowi. Ktoś zaczął śpiewać *Międzynarodówkę* i już za moment wszyscy ją podchwycili, nawet kobiety z dziećmi, przyglądające się temu z okien górnych pięter. Naziści przemaszerowali chyłkiem, tak szybko, jak tylko zdołali, między podwójnymi rzędami swej ochrony. Większość z nich wlepiała oczy w ziemię lub patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem, paru zdobyło się na anemiczny, niepewny ni to uśmiech, ni to grymas. Pochód przeszedł, a tu jakiś starszawy mały grubas z S.A., który nie wie, czemu został z tyłu, drobi zdyszany, śmiertelnie przerażony, że się znajdzie sam, na próżno usiłujący dołączyć do reszty. Tłum ryknął śmiechem.

Podczas demonstracji nikomu nie pozwolono wejść na Bülowplatz, więc falujący niespokojnie tłum napierał wokół i sprawy zaczęły przybierać nieprzyjemny obrót. Policja wymachując bronią kazała nam się cofnąć, przy czym ci mniej doświadczeni, poczuwszy zagrożenie, mierzyli do nas, jakby mieli strzelać. W końcu nadjechał wóz pancerny i umieszczony na nim karabin maszynowy z wolną jął się obracać w naszą stronę. Ludzie w popłochu rzucili się do bram i kawiarni. Nie zdążył jednak się przesunąć, gdy znów wylegli na ulicę z okrzykami i śpiewem. Było to zbyt podobne do zabawy rozbrykanych uczniów, żeby mogło na serio zatrwożyć. Frank był w siódmym niebie, roześmiany od ucha do ucha podskakiwał w tym swoim rozwianym płaszczu i wielkich sowych okularach jak niezdarne ptak przedrzeźniacz.

Minął zaledwie tydzień, odkąd to wszystko napisałem. A tu już Schleicher podał się do dymisji. Monokle obsadziły sztab. Hitler sformował gabinet z Hugenbergiem. Nikt nie przypuszcza, żeby ten gabinet utrzymał się do wiosny.

Gazety coraz bardziej przypominają szkolne czasopismo. Zawierają tylko nowe zarządzenia, nowe kary i wykazy osób „zatrzymanych”. Dziś rano Göring wymyślił trzy nowe odmiany zdrady stanu.

Co wieczór siaduję w ogromnej, pustawej kawiarni artystów nie opodal Gedachtnis Kirche, w której Żydzi i lewicujący intelektualiści pochylają ku sobie głowy nad marmurowymi stolikami, rozmawiając przyciszonymi, zaleknionymi głosami. Wielu z nich wie, że niechybnie zostaną aresztowani — jeśli nie dziś, to jutro lub za tydzień. Są więc dla siebie uprzejmi, dobrotliwi, uchylają przed sobą nawzajem kapeluszy i dopytują o rodziny. O wieloletnich, notorycznych sprzeczkach literackich zapomniano.

Prawie co wieczór także odwiedzają kawiarnię ci z S.A.

Aluzja do monokla Hermanna Göringa (przyp. tłum.).

Czasem przychodzą tylko po kweście, a wtedy każdy jest zmuszony coś im dać. Niekiedy przychodzą kogoś aresztować. Któregoś razu pewien pisarz żydowski, który tam przebywał, pobiegł zadzwonić po policję, lecz naziści wyciągnęli go z kabiny i zabrali z sobą. Nikt nie ruszył palcem. Póki się nie wynieśli, można było usłyszeć spadającą szpilkę.

Korespondenci prasy zagranicznej obiadują co wieczór w małej włoskiej restauracji, przy dużym okrągłym stole w kącie. Wszyscy inni w tym lokalu obserwują ich, próbując podsłuchać, o czym mówią. Jeśli chcesz przekazać im jakąś wiadomość — szczegóły aresztowania czy adres ofiary, której krewni mogliby udzielić bliższych informacji — wówczas jeden z dziennikarzy wstaje od stołu i wychodzi z tobą na ulicę.

Mój znajomy, młody komunista, został aresztowany przez S.A., zabrany do baraków nazistów i paskudnie poturbowany. Po paru dniach zwolniono go i wrócił do domu. Nazajutrz rano ktoś zapukał do jego drzwi. Chłopak, z ręką na temblaku, pakuścił tam, żeby otworzyć. W progu stał Nazi z kwestarską puszką. Na jego widok młody komunista wyszedł z siebie. — Czy nie dość — krzyknął — żeście mnie pobili? Macie czelność przychodzić do mnie po pieniądze?

Tamten jednak tylko się uśmiechał. — Spokojnie, towarzyszu! Po co te polityczne kłótnie? Pamiętajcie, że żyjemy w Trzeciej Rzeszy! Jesteśmy wszyscy braćmi! Postarajcie się wyrzucić tę głupią polityczną nienawiść ze swojego serca!

Dziś wieczór poszedłem do rosyjskiej herbaciarni na Kleiststrasse i zastałem tam D. Myślałem z początku, że mi się coś przyśniło. Powitał mnie jak zawsze, z rozpromienioną twarzą.

— Wielki Boże! — wyszeptalem. — A cóż ty tu robisz, u licha?

D. promieniał. — Myślałeś, że pewnie wyjechałem za granicę?

— Naturalnie...

— Ale sytuacja jest teraz tak ciekawa...

Roześmiałem się. — Można i tak na to patrzeć, niewątpliwie... Ale czy to dla ciebie nie jest piekielnie niebezpieczne?

D. uśmiechnął się tylko. Potem, zwracając się do siedzącej z nim dziewczyny, oznajmił: — To jest pan Isherwood... Możesz z nim rozmawiać zupełnie otwarcie. Nie cierpi nazistów tak jak my. A jakże! Pan Isherwood to zagorzały antyfaszysta!

Roześmiał się całą gębą i poklepał mnie po plecach. Parę osób siedzących w pobliżu słyszało, co powiedział. Ciekawe były ich reakcje. Albo po prostu nie wierzyli własnym uszom, albo tak byli przerażeni, że mieli miny, jakby niczego nie słyszeli, i popijali dalej herbatę sparaliżowani strachem. Rzadko w moim życiu czułem się tak nieswojo.

(Metoda D. ma zresztą, jak się okazuje, swoje zalety. D. nigdy nie był aresztowany. Dwa miesiące później przekroczył bez przeszkód granicę holenderską.)

Dziś rano, kiedy szedłem po Biilowstrasse, naziści robili nalot na dom skromnego wydawcy, liberała i pacyfisty. Zajechali ciężarówką i teraz zrzucali na nią książki. Kierowca drwiąco odczytywał zgromadzonej gawiedzi tytuły:

— *Me Wieder Krieg!* — zagrzemiał, trzymając jakąś książkę za rożek okładki gestem obrzydzenia, jakby miał do czynienia z jakimś obrzydliwym gadem. Tłum ryknął śmiechem.

— Nigdy więcej wojny! — zawtórowała mu jakaś gruba, zasobnie ubrana jejmość ze wzgardliwym, prostackim śmieszkiem. — Też mi pomysł!

Jednym z moich stałych uczniów jest obecnie Herr N., szef policji za reżimu weimarskiego. Przychodzi do mnie codziennie. Chce wyszlifować swój angielski, ponieważ wkrótce wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, gdzie ma podjąć pracę. Te lekcje ciekawe są dlatego, że odbywają się zawsze w trakcie przejazdów po ulicach jego olbrzymią limuzyną. Herr N. nigdy sam nie wchodzi do naszego domu; przysyła po mnie szofera i potem samochód od razu rusza z miejsca. Czasem zatrzymujemy się na parę minut na skraju Tiergarten i przechadzamy się ścieżkami, a wtedy szofer podąża za nami w przyzwoitej odległości.

Herr N. rozmawia ze mną głównie o swojej rodzinie. Niepokoi się o syna, który jest mizerakiem, a którego musi tu zostawić, żeby się poddał operacji. Żona też jest wątpliwa — Herr N. ma nadzieję, że ta podróż jej nie zmęczy. Opisuje jej przypadłości i leki, które zażywa. Opowiada mi historyjki o synu, kiedy ten był małym chłopcem. W jakiś sposób, taktowny, bez osobistych wynurzeń, nasze stosunki stały się wręcz zażyłe. Herr N. jest zawsze urzekająco grzeczny i słucha z powagą i skupieniem, gdy mu objaśniam reguły gramatyczne. We wszystkim, o czym mówi, kryje się na dnie jakiś bezgraniczny smutek.

Nigdy nie rozprawiamy o polityce, lecz wiem, że Herr N. na pewno jest wrogiem nazistów, może nawet każdej chwili grozi mu aresztowanie. Któregoś ranka, jadąc po Unter den Linden, mineliśmy grupkę pyszałkowatych S.A.-manów; trajkotali między sobą, blokując cały chodnik, tak że przechodnie musieli ich obchodzić ryszotkiem. Herr N. z leciutkim, smętnym uśmiechem zauważył: — Ostatnio widuje się na ulicach przedziwne

obrazki. — To był jego jedyny komentarz.

Czasami pochyła się do okna i wpatruje posepnie, uparczywie w jakiś budynek albo plac, jakby chciał wyryć w pamięci jego wizerunek i pożegnać go na zawsze.

Jutro jadę do Anglii. Wrócę za parę tygodni, ale tylko po to, żeby zabrać swój dobytek i opuścić Berlin już na dobre.

Biedna Frl. Schroeder jest niepocieszona. — Nigdy nie znajdę drugiego takiego dżentelmena jak pan, Herr Issyvo... co by tak punktualnie płacił za mieszkanie. Naprawdę nie wiem, dlaczego pan chce opuścić Berlin, i to tak nagle...

Żadne próby wyjaśnienia czy rozmowy na tematy polityczne nie mają w tym wypadku sensu. Ona się już przystosowuje, tak jak się przystosuje do każdego nowego reżimu. Słyszałem nawet dziś rano, jak opowiadała z najwyższym uznaniem o „Führerze” żonie stróża. Gdyby ktoś jej przypomniał, że w listopadowych wyborach głosowała na komunistów, zaprzeczyłaby pewnie z gniewem, i to w najlepszej wierze. Aklimatyzuje się po prostu, zgodnie z prawem przyrody, jak zwierzę, które na zimę zmienia futro. Tysiące ludzi takich jak Frl. Schroeder robi to samo. W końcu, bez względu na to, jaki rząd sprawuje władzę, oni są skazani na życie w tym mieście.

Dziś świeci przepyszne słońce; powietrze jest łagodne, ciepłe. Wychodzę na swój ostatni ranny spacer bez płaszcza i kapelusza. Słońce świeci, a Hitler jest panem tego miasta. Słońce świeci, a dziesiątki moich przyjaciół — moi uczniowie ze Szkoły Robotniczej, kobiety i mężczyźni, których poznałem w I.A.H. — siedzą w więzieniu, może już nie żyją. Ale ja nie o nich myślę — nie o tych trzeźwych, wytrwałych, bohaterskich; ci świadomie podjęli ryzyko. Myślę o nieszczęsnym Rudim w tej idiotycznej rubaszce. Jego zabawa w bajki, w przebieranki, stała się poważną sprawą. Naziści już się z nim zabawią. Nie będą się z niego śmieli; wezmą go za tego, za kogo się podawał — uwierzą mu na słowo. Może właśnie w tej chwili Rudi kona w mękach.

Dostrzegam własną twarz w sklepowym lustrze i przeraża mnie to, że się uśmiecham. Trudno się nie uśmiechać w tak piękną pogodę. Tramwaje jeżdżą po Kleiststrasse tak jak zawsze. I one, i ludzie na chodnikach, i podobna do poduszki na czajniczek herbaciany kopuła dworca przy Nollendorfplatz mają w sobie coś dziwnie swojskiego, przypominają rzeczy zapamiętane z przeszłości jako normalne i przyjemne — jak bardzo dobra fotografia.

Nie. Jeszcze teraz nie mogę ani rusz uwierzyć, że to wszystko naprawdę się zdarzyło.